

KULTURA

Szkice • Opowiadania • Sprawozdania

PARYŻ

Nr 3/318

1974



• *« La Culture » • Revue mensuelle •*

ARCHIPELAG GUŁag

M. BROŃSKI :

ARCHIPELAG

M. HELLER :

ZIEMIA GUŁAG

CZ. MIŁOSZ :

OGRÓD NAUK

R. GOMBROWICZ : **OFELIO, IDŹ DO KLASZTORU !**

SPIS RZECZY

Czesław Miłosz:	<i>Ogród nauk</i>	3
Gustaw Herling Grudziński:	<i>Dziennik pisany nocą</i>	29
ARCHIPELAG GUŁAG		
—	<i>Od Redakcji</i>	40
M. Broński:	<i>Archipelag</i>	41
Michał Heller:	<i>Ziemia GUŁag</i>	59
—	<i>Komunikat o polskim wydaniu „Archipelagu GUŁag”</i>	67
ARCHIWUM POLITYCZNE		
Dominik Morawski:	<i>Korespondencja z Rzymu</i>	68
N. N.:	<i>Chile</i>	82
Brukselczyk:	<i>Widziane z Brukseli</i>	87
SĄSIEDZI		
Adam Kruczek:	<i>W sowieckiej prasie</i>	95
—	<i>O niemiecko-polskiej współpracy kulturalnej</i>	101
K R A J		
—	<i>Poszerzone tezy tow. Kwiatka</i>	104
Jan Hammel:	<i>Bóg, honor, Ojczyzna i Bohdan Poreba</i>	106
SPRAWY I TROSKI		
Edward Puacz:	<i>Polska praca i płaca w USA</i>	113
E. Żagiell:	<i>Kronika australijska</i>	120
KRONIKA KULTURALNA		
Rita Gombrowicz:	<i>Ofelio, idź do klasztoru!</i>	122
Maria Czapska:	<i>Laski i ich założyciele</i>	127
—	<i>Major Tadeusz Nowacki</i>	131
SPRAWY (NIE TYLKO) WYDAWNICZE		
Adam Bromberg:	<i>Fikcja i rzeczywistość w prawie autorskim</i>	133
KSIĄŻKI		
Murielle Werner-Gagnebin:	<i>Książka o Józefie Czapskim</i>	140
Maria Danilewicz Zielińska:	<i>Krajowe nowości wydawnicze</i>	141
—	<i>Nadesłane nowości wydawnicze</i>	143
◆		
—	<i>Wydarzenia miesiąca</i>	144
◆		
—	<i>Listy do Redakcji</i>	154
A. Bromberg, M. Broński, K. Czarnocki, A. Czerniawski, Z. Jurieff, Cz. Maliszewski, A. Mieczysławska, F. Miszczak, D. Mostwin, A. Słonimski, T. Wyrwa (w odp. F. Miszczakowi):		

D.c. ze str. 2-iej na Fundusz „Kultury” 160

KULTURA

Szkice • Opowiadania • Sprawozdania

PARYŻ

Marzec - Mars

1974

INSTYTUT



LITERACKI

WPLĄTY NA FUNDUSZ "KULTURY"

Maria Babicka, Londyn	F. 100,00
E. Baczymalski, Penrhos, N. Walia (W. Bryt.), po raz dwunasty	F. 30,00
Ada i Jerzy Bajor, Longmeadow, Mass., (USA), po raz drugi ..	F. 125,00
N. M. Barakońscy, Sherman Oaks, Cal. (USA), po raz szósty	F. 80,00
Marian Barski, Buenos Aires, po raz szósty	F. 50,00
Wilhelm Bismayer, Chicago, Ill. (USA), po raz dziewiąty ..	F. 30,00
Marian J. Blachaczek, Chicago, Ill. (USA), po raz drugi	F. 30,00
Józef Blondowski, Hamilton, Ont. (Kanada), po raz czwarty ..	F. 30,00
Mieczysław Błaszkiwicz, Brooklyn, N.Y. (USA), po raz dwunasty	F. 25,00
Karolina Borchardt, Londyn, po raz drugi	F. 550,00
Helena Brzechwa, Los Angeles, Cal. (USA), po raz czwarty ..	F. 50,00
Prof. Andrzej Brzeski, Davis, Cal. (USA), po raz dwudziesty drugi	F. 100,00
Bezimiennie z Ameryki, po raz piąty	F. 25,00
Bezimiennie, Cambridge, Mass., (USA), po raz trzeci	F. 130,00
Bezimiennie, Hamden, Conn. (USA), po raz czwarty	F. 125,00
Bezimiennie, Londyn	F. 100,00
Bezimiennie, Mediolan, po raz szósty	F. 100,00
Bezimiennie, Mediolan, po raz jedenasty	F. 25,00
Bezimiennie, Milwaukee, Wis. (USA), po raz jedenasty	F. 25,00
Bezimiennie, Toronto (Kanada)	F. 100,00
Czesław Deminet, Kent, Wash. (USA), po raz czwarty	F. 200,00
G. Dobrzański, Toronto, Ont. (Kanada), po raz jedenasty ..	F. 25,00
Ryszard Fiks, Chicago, Ill. (USA), po raz dziewiąty	F. 25,00
Jerzy Gintel, Caracas (Wenezuela), po raz czternasty	F. 25,00
Stanisław Gombiński, Paryż, po raz dziewiąty	F. 110,00
Aleksander Grzonka, Gossau (Szwajc.), po raz dwudziesty drugi	F. 37,00
Inż. mgr Zbigniew Hornung, Vlissingen (Holandia)	F. 52,00
Marek Hurvic, Paryż, po raz szósty	F. 50,00
W. Iwanowski, Milton, Mass. (USA), po raz piętnasty	F. 80,00
Kamila Januskiewicz, Ceresco, Mich. (USA), po raz drugi ..	F. 25,00
Marian Kaczor, Clifton, N.J. (USA), po raz czwarty	F. 25,00
Inż. Tadeusz Knapkiewicz, Winterthur (Szwajcaria)	F. 67,00
Mieczysław Kościuch, Detroit, Mich.	F. 125,00
A. Kowarska, Milford-Auckland (Nowa Zelandia), po raz trzeci	F. 35,00
Irena Kubik, Syracuse, N.Y. (USA)	F. 25,00
Prof. Jerzy Langrod, Paryż, po raz dwudziesty pierwszy	F. 100,00
Kazimierz Lenkiewicz, Lidino (Szwecja)	F. 100,00
Antoni Lindner, Yarraville, Vic. (Australia), po raz trzeci ..	F. 15,00
A. K. Ludwig, Springfield, Mass. (USA), po raz piąty	F. 30,00
Ks. Henryk Maria Malak, Lemont., Ill. (USA), po raz czwarty	F. 27,50
Ks. Bonifacy Miązek, Wiedeń	F. 31,00
Józef i Irena Miętusowie, Yarrambat, Vic. (Australia), zamiast kwiatów na grób śp. Edmunda Pańnickiego, jednego z naj- starszych prenumeratorów Kultury	F. 35,00
Leon Naleway, Winnipeg, Man. (Kanada), po raz czwarty	F. 25,00
N.N. (Szwajcaria)	F. 37,00
M. S. Ochalski, Chicago, Ill. (USA), po raz trzeci	F. 112,50
Jan Pawłowski, Bois-Colombes (Francja), po raz czwarty	F. 40,00
Jerzy Jan Piórkowski, New York, po raz dwunasty	F. 50,00
Tomasz Płodowski, Upper Montclair, N.J. (USA), po raz szósty	F. 50,00

Dalszy ciąg wpłat na stronie 160 (Red.).

Ogród nauk

(Kilka rozdziałów)

OBJAŚNIENIE

Ogród nauk jest moją prywatną księgą różności. Zawiera ona wypisy z różnych autorów, przekłady wierszy, krótkie noty itd. Nie jest to zgrabnie oprawiony tom ale cała półka cieńszych i grubszych zeszytów, z różnych lat, które służyły do celów roboczych. Wyławiam teraz stamtąd to i owo, dopisując komentarz. Zwracam się przy tym do jednego czytelnika, takiego, jakiego sobie upodobałem, jakiego mogę sobie wyobrazić, choć być może istnieje on tylko w mojej fantazji.

GORLIWOŚĆ

A iż żywot ten nasz którego używamy, krótki, słaby i cieniowi podobny jest, dla tego pamiętkę po sobie co najwięcej z sławnych dzielności zostawować przystoi wszystkim cnotliwym, ślachtetnie urodzonym ojczycom, od których są bardzo daleko różni owi (acż się tymże szlachectwem pokrywają) którzy od brzucha i lenistwa będąc zniewoleni, dobra czerstwego ciała na próżnowanie, spanie i zbytki obracają, a zmysły rozumu swego na gnuśność i niedbałość wydawają, których żywot i śmierć w jednakej są wadze, bo tak o nim gdy żył, jako i o umarłym sława i historie milczą, ponieważ nic godnego nie uczynił, ale będąc próżnym, a nie pożytecznym ciężarem ziemi, tylko się do chleba trawienia

urodził, czym więcej gdy był żyw dowcipnym ludziom szkodził, zjadając im przynależący pokarm.

Maciej Strykowski, *Która przedtem nigdy światła nie widziała, Kronika polska, litewska, zmodzka i wszytkiej Rusi. Królewiec, 1582.*

Strykowski miał wielką ciekawość spraw ludzkich, wydarzeń historycznych, wierzeń, obyczajów. Niemało podróżował po różnych krajach, cudem niemal, jak sam opowiada, wychodząc obronną ręką z niebezpiecznych przygód na lądzie i morzu. Trudził się też bez ustanku, czytał, badał, pisał mową rymowaną i nierymowaną. Był to więc mąż renesansowy, choć co prawda tylko na miarę wschodnich okrain ówczesnej Europy. Jego *Kronika* nie jest dziełem jednolitym, raczej mieszaniną przeróżnych płodów jego pióra i brak jej jakiegokolwiek kompozycji. Szlachetna wypowiedź, którą przytoczyłem, drażni rozlazłością stylu: autor jakoś nie może zdobyć się na postawienie w porę kropki. Jako jego gorliwy spadkobierca, powinienem stąd właśnie, z jego niedostatków, czerpać dla siebie naukę tj. być świadomym moich ograniczeń. Jak on, pochodzę z okrain, gdzie sól wziętych z zewnątrz idei szybko wietrzeje. Jak on, jestem samoukiem, bo choć mam uniwersytecki dyplom, wszystko prawie, co zmieniło mnie w człowieka mego stulecia, zdobyłem własnym wysiłkiem. Jak on wreszcie, noszę w sobie kulturę polską, która w ogólnych swoich rysach wykazuje ciągłość. Główną jej cechą wydaje mi się słabo rozwinięty zmysł formy, stąd też za formę płacono zwykle umysłowym zwięzieniem. Łudziłby się kto by sądził, że jego własna pierwszorzędność albo drugorzędność zależy tylko od niego samego a nie od kultury w jakiej się wychował. Nie nadrobi się, pisząc po polsku, luk pozostawionych przez potężne dzieła myśli, jakie w tym języku mogły czy nie mogły powstać, ale nie powstały. Tylko zdobywając się na trzeźwą ocenę własnej tradycji wolno mieć nadzieję, że to, co się robi nie będzie bezużyteczne.



Nie znam innego Chrześcijaństwa ani innej Ewangelii jak tylko wolność i ciała i ducha dla ćwiczenia się w Boskich Sztukach Wyobraźni. Wyobraźnia jest rzeczywistym i wiecznym Światem, którego ten Roślinny Wszechświat jest jedynie bladym cieniem, i tam to będziemy żyli w Wiecznych czyli Wyobraźniowych Ciałach kiedy te Roślinne Śmiertelne Ciała zginą. Nie znali innej Ewangelii i Apostołowie. Czym były duchowe dary jakie otrzy-

mali? Co to jest Duch Boży? Czy Duch Święty jest czym innym, niż Źródłem Intelaktu? Co to są Ewangeliczne Żniwo i Ewangeliczne Trudy? Co to jest Talent, ukrywanie którego jest przekleństwem? Co to są Skarby Niebieskie, które mamy dla siebie gromadzić? Czy są czym innym niż Umysłowymi Ćwiczeniami i Dokonaniami? Co to są Ewangeliczne Dary? Czy nie są to Umysłowe Dary? A Bóg, jest czy nie jest Duchem, który ma być wielbiony w Duchu i Prawdzie? Czy Dary Ducha nie są wszystkim dla Człowieka? O wy, ludzie Kościoła, zawstydyście tych pośród was, którzy będą udawać, że gardzą Sztuką i Nauką! Wzywam was w Imię Jezusa! Czym jest Życie Człowieka jeżeli nie Sztuką i Nauką? Czy może Mięsem i Napojem? Czy Ciało to nie więcej niż Ubiór? Czymże jest Śmiertelność jeżeli nie rzeczami przynależnymi do Ciała które umiera? Czymże jest Nieśmiertelność jeżeli nie rzeczami przynależnymi do Ducha który żyje Wiecznie? Czymże jest Radość Niebiańska jeżeli nie doskonaleniem rzeczy Ducha? Co to są Męki Piekielne, czyż to nie Głupota, Cieleśna Pożądliwość, Lenistwo i zniszczenie rzeczy Ducha? Odpowiedzcie sobie sami i wyrzućcie spośród was tych, którzy udają, że gardzą trudami Sztuki i Nauki, jedynymi trudami Ewangelii. Czyż to nie proste i jasne dla myśli? Czy potraficie myśleć w ogóle i nie zgodzić się z całego serca, że Trudzić się w Wiedzy to znaczy Budować Jeruzalem; i że mieć pogardę dla Wiedzy, znaczy mieć pogardę dla Jeruzalem i jej Budowniczych. A pamiętajcie, kto zlekceważy i wyśmieje Umysłowy Dar w kimkolwiek, nazywając to pychą i samolubstwem i grzechem, wyśmieje Jezusa, dawcę wszelkich Umysłowych Darów, które głupotę lubiącym Hipokrytom zawsze wydają się Grzechem; ale co jest Grzechem w oczach okrutnego Człowieka, nie jest nim w oczach naszego łaskawego Boga. Niech każdy Chrześcijanin, ile tylko ma mocy, otwarcie i publicznie, przed całym światem, przykłada się do jakiegos Umysłowego przedsięwzięcia, aby budował Jeruzalem.

William Blake, *Jerusalem*, 1804.

Jeżeli czytałeś parę wierszy Blake'a i zdarzyło ci się oglądać reprodukcje jego miedziorytów, nie mów, że znasz Blake'a. W najprostszych nawet z pozoru jego utworach kryje się wiele zaszyfrowanych znaczeń. Gdybyś natomiast chciał uciec się do pomocy interpretatorów, powinienes pamiętać, że „blakiści” nie są ze sobą zgodni i że zależy, na kogo z nich natrafisz. Obecność Blake'a wśród nas, teraz, kiedy przygnębia nas niepewny los człowieka na ziemi, jest zjawiskiem radosnym i powinna przywracać nadzieję. Skłonni jesteśmy uważać „Odę do młodości” Mickiewicza

za rzewną pamiątkę górnych marzeń i bodajże tak samo, z odzieniem melancholii, podziwiamy „Ode do radości” Schillera-Beethovena. Otóż Blake wyzwała nas z koszarowców, jakimi obdarzyła nas Historia, ustanawiając niejako nowy początek i zarazem uprawomocniając dążenia wszystkich duchów czynnych działających po nim. Nieuznany i nieznany, toczył wojnę przeciwko ówczesnemu światopoglądowi naukowemu, który zmieniał człowieka w rzecz i cyfrę. Wrogami jego byli zarówno Bacon, Locke i Newton, jak Voltaire i Rousseau. W deizmie, racjonalizmie, w „religii naturalnej”, nie mniej niż w fałszywym bóstwie chrześcijańskich kościołów, rozdawcy nagród i kar, znalazł tylko zapowiedź udreń i ucisku, kuźnię kajdan dla ludzkości. Mickiewicza „Czucie i wiara silniej mówi do mnie / Niż mędrca szkiełko i oko” wywodzi się z romantycznego rozłam na subiektywność i obiektywność, gdyby Blake opowiadał się za „czuciem i wiarą”, byłby zaledwie jednym z zachodnich poetów romantycznych, rozłam ten utwierdzających. On natomiast z całych sił sprzeciwiał się takiemu rozdzieleniu i jego Wyobraźnia, poprzez którą uczestniczymy w Boskim Człowieczeństwie, miała za zadanie połączyć w jedno, już wtedy sobie przeciwstawiane, naukę i sztukę. Na określenie Blake’a nie ma w polskim języku wyrazu, jeżeli odrzucimy zbyt zużyte „wieszcz” i zbyt lekkomyślne „wizjoner”. Starając się zrozumieć co Blake widział (a widział rzeczywiście) i o co mu chodziło, pozbywamy się różnych nałogów, tak że inaczej przedstawiają się nam przyczyny wielu dziejowych nieszczęść i inaczej zaczynamy odnosić się do losów literatury i sztuki w nowoczesnej, to jest od końca osiemnastego wieku, epoce. Zbyt obszerny to temat, ale obiecuję, że jeszcze do Blake’a wrócę.

◆
VOLTAIRE W FERNEY

Teraz prawie szczęśliwy, oglądał gospodarstwo.
Tu zegarmistrz-emigrant w oknie go przywitał
I powrócił do pracy. Gdzie szybko rosnął szpital
Cieśla uchylił czapki. Ogrodnik meldował
Że dobrze idą drzewa, które sam plantował.
Białe Alpy błyszczały. Był wielki. Było lato.

Tam daleko w Paryżu, gdzie jego przeciwnicy
Syczeli, że jest podły, w sztywnym swoim krześle
Stara, ślepa, czekała na śmierć i listy. Do niej
„Nic lepszego nad życie” pisał. Gdyż jest bojem.
To coś warte. Oprawców, kłamców straszyl niezłe.
Pleć chwast. Cywilizować. I tylko to się liczy.

Śładki, cięty, intrygant, prześcignął wszystkich dawno.
Inne dzieci rozważnie wiódł na święte wojny
Przeciw obrzydłym dorosłym. A chytryś miał dziecka.
Wiedział kiedy udawać, że jest już pokorny,
Chronić się w dwulicowość, łgać dla bezpieczeństwa,
Ale jak chłop cierpliwie trwał wiedząc, że upadną.

Nigdy, jak D’Alambert, nie zwątpił o wygranej.
Tylko Pascal był wielkim wrogiem. Ten czy ów
To szczury już otrute. Choć zostało wiele
Do zrobienia, a nie miał nikogo prócz siebie.
Pocziwy Diderot był głupi, starał się jak mógł.
Rousseau, wiedział to zawsze, wykpił się swoim łkaniem.

Więc, jak na warcie, nie spał. Noc była pełna ech:
Krzywdy, trzęsienia ziemi, egzekucje. Umrze,
A straszne nianki ciągle stoją nad Europą
Chcąc dzieci oblać wrzątkiem. Chyba tylko słowo
Wiersza mogło je wstrzymać: musiał pisać. W górze
Nie skarżące się gwiazdy składały jasny śpiew.

W. H. Auden (przekład własny)

Voltaire pozostaje, podoba nam się to czy nie, jednym z naszych gorliwych patronów. Nie ma sprzeczności w cytowaniu razem Blake’a, który deistów i racjonalistów nie znosił, i wiersza sławiącego służbę, tak jak ją rozumieł pisarze Oświecenia. Sam Blake w 1826, a więc na rok przed śmiercią, powiedział Crabbowi Robinson, że często obcował z Voltaire’em (w krainie Wyobraźni) i przytoczył co od niego usłyszał: „Błuzniłem przeciwko Synowi Człowieczemu i to będzie mi wybaczone, ale oni (wrogowie Voltaire’a) błuznili przeciwko Duchowi Świętemu we mnie, i to nie będzie im wybaczone”.

◆
— Jako więc w świata tego którejkolwiek stronie,
Na mchu jeśli w odludnym przylegniesz parowie,
Planeta Ci się zaraz pod Twe małe skronie
Zbiega, i czujesz globu kulę za wezgiem —

Norwid, Do Walentego Pomiana

Norwida trudno pominąć, skoro całe jego dzieło jest szkołą gorliwości: „Bo piękno na to jest, by zachwycało / Do pracy —

praca, by się zmartwychwstało". A jednak powołując się na niego czuję zażenowanie. Jakie są tego powody? Żaden polski poeta nie stał się w dwudziestym wieku osobistością tak albumową, tj. ktoś go nie używał na motta i epigrafy. I zwykle przypominało to pobożne pienia na pokładzie okrętu, we wnętrzu którego przewozi się niewolników, tj. jego zdania zostawały podniesione w jakiś wymiar idealny, ważny gdzieś i kiedyś, nigdy tu i teraz. Rzecz nie w tym, że Norwida współcześni jego skazali na skrajną nędzę i poniewierkę, bo taki był los wielu poetów, w wielu krajach. Rzecz w tym, że od jego czasu niewiele się zmieniło i że te same przyczyny, które przesądziły o jego odtrąceniu, działały nadal w całej pełni, natomiast jego czciciele wrażliwi byli na wstyd miniony, nie zauważając, że jest nadal dosyć powodów do wstydu. Czyli polskie głupstwo polegające na braku hierarchii, a więc niezdolne rozróżnić pomiędzy tym co prawdziwie ważne i tym co mało ważne, tak się zawsze urządzało, żeby Norwida nie tłumaczyć na konkretny język nowych sytuacji.

Jest jednak i inny powód zażenowania. Sam Norwid. Arystokracja została ośmieszona i sama się ośmieszyła, a Norwid jest poetą ściśle arystokratycznym, nie tyle z rodu ile przez swoją wybredność. Jego odraza do zła i głupoty jest wręcz fizyczna, jak wstręt niektórych ludzi do gadów i karaluchów. Taki charakter ma jego odraza do duchowego parweniusza, tj. do kogoś, kto przebiera się i udaje pana, choć nie ma żadnych zalet możliwych do zdobycia tylko przez zakorzenienie w starej tradycji. Najsilniejsze słowo pogardy u Norwida to „lokajstwo”. Zarazem czujemy, że jeżeli istnieje jakaś esencja polskości, to zawarta jest w Norwidzie, podobnie jak sama esencja rosyjskości zawarła się w Dostojewskim. Norwid i Dostojewski urodzili się w tym samym roku, 1821, i nigdy chyba ziemia nie nosiła równocześnie dwóch mniej podobnych do siebie pisarzy. I mówić tu o „duszy słowiańskiej”. Norwid jest kruchy, zraniony, wycofujący się, nie chce dotykać ani zgłębiać zła i podłości, choć poeta według niego powinien zebrać w sobie „chór ludzkich współ-łez i współ-jęków” całej planety. Jego zmaganie się ze słabością polskiej formy daje w wyniku formę z nadwyżką, formę aż zbyt delikatną, subtelną, przyćmioną, skrycie-ironiczną, formę wycofania się, stosowną chyba na jakimś intelektualnym księżącym dworze, którego nie było. Otóż jeżeli polskie dzieje tak tylko, arystokratycznie, mogą naprawdę owocować, jest to niepokojące, nawet jeżeli nie żądamy od ludzi wybitnych, żeby mieli „kocią żywotność”, którą podziwiał u siebie Dostojewski i żeby umieli współżyć ze zbrodniarzami. Być może daje tutaj znać o sobie zasadnicza anty-ludowość polskiej kultury, co nie musi łączyć się z pochodzeniem, tyle, że każdy kto sięga wyższego pułapu zostaje wyłączony, dosłownie

albo przenośnie. Zupełnie podobny do Norwida, przez swoją arystokratyczną skalę wartości, jest Joseph Conrad. A bliżej nas w czasie, St. Ign. Witkiewicz, którego mania osobistej higieny, ciągłego mycia się, kąpeli, coś symbolicznie znaczyła (patrz Lord Singleworth Norwida). Arystokratyzm Gombrowicza jest dostatecznie znany: król u niego traci królewskość jeżeli zostanie przez chłama *duknięty*. Należąc do takiej rodziny, tak dziedzicznie obciążonej, nie mogę nie podejrzewać, że wygnała mnie na emigrację po prostu tak niegdyś zwana *idyosynkrazja*, jak u tych co nie mogą jeść niektórych potraw bo dostają wysypki.



Raz, kiedy rabbi Bunam zrobił komuś zaszczyt w swoim Domu Modlitwy prosząc go, żeby zadął w barani róg, i człowiek ów zaczął długo przygotowywać się, zastanawiając się nad znaczeniem dźwięków, rabbi wrzasnął: „Durniu, dmuchaj!”

*Przypowieść chasydzka
(w barani róg dmie się podczas obrzędów
Nowego Roku i w Sądny Dzień)*

KOSZTA GORLIWOŚCI

Próżność tkwi tak mocno w sercu człowieka, że żołnierz, ciura, kuchcik, tragarz wychwalają siebie i chcą mieć swoich wielbicieli; i nawet chcą ich mieć filozofowie; i ci, którzy piszą przeciwko nim chcą zyskać chwałę tym, że dobrze napisali; i ci, którzy ich czytają chcą zyskać chwałę tym, że ich przeczytali; i ja, który to piszę, mam być może taką ochotę; i być może ci, którzy będą to czytać...

Pascal, Myśli

Jesteśmy tak pyszni, że chcielibyśmy, żeby znała nas cała ziemia, i nawet żeby znali nas ludzie, którzy przyjdą kiedy nas już nie będzie; i jesteśmy tak próżni, że szacunek pięciu czy sześciu osób które nas otaczają bawi nas i daje nam zadowolenie.

Pascal, Myśli

Prawdopodobnie jednak nie wszyscy ludzie mają równy talent do pychy. Pytanie, dlaczego u niektórych pojawia się on wcześniej, w dzieciństwie, należy do genetyki i psychologii głębinowej,

dziedzin mnie raczej obcych. Dziecko o bardzo władcym *ego* chce przodować we wszystkim, i to od razu. Ponieważ w grze i sporcie trudno przodować natychmiast, strach przed okazaniem się nie-pierwszym tak paraliżuje, że spycha na miejsce ostatnie. Wtedy dziecko, wycofując się, tworzy sobie drugi, zamknięty świat, świat zastępczy. Moja szczęśliwość skończyła się kiedy posłano mnie do szkoły. Do tego czasu mało obcowałem z rówieśnikami i nie byłem poddany *cudzemu spojrzeniu*. Zawilość tego, co odbywało się we mnie kiedy ustalał się urazowy schemat mego życia, między rokiem dziesiątym i piętnastym, mnie przeraża. Mimo zajęć szkolnych, udziału w harcerstwie i Kole Miłośników Przyrody (spore, poza-szkolne, czytanie w biologii) musiało to mieć silne cechy tzw. autyzmu, połączonego z niesamowitą wręcz zaprawą w maskowaniu się i udawaniu normalności. W każdym razie mój rozwój (jeżeli zasługuje na tę nazwę) był zupełnie inny niż wszystkich moich kolegów. Nie miało to nic wspólnego z powołaniem literackim, które przyszło później. Wielowarstwowe pokręcenie, ironiczny dystans, są u źródeł późniejszych moich ideologicznych konfliktów.

Mój świat zastępczy nie był szczególnie egotyczny, to znaczy nie był zbudowany głównie z marzeń o odgrywaniu bohaterskiej roli. Tyle, że był to świat o stałych prawach, bezbolesny i bezpieczny. Wyobraźnia nie podsuwała urojonych akcji, nie szukała też ujścia w słowach, natomiast zapełniała i porządkowała przestrzeń, co wyrażało się w fantastycznych rysunkach i mapach nieistniejących krajów. Swoje ucieczki odczuwałem jako konieczność i skazę, wszystko chyba bym oddał za to, żeby móc być takim jak inni, równy wśród równych. Odkrycie, że obwarowując się w swojej przestrzeni zachowuję się dokładnie jak poeta romantyczny, nastąpiło pod wpływem poezji Mickiewicza i Słowackiego, bodaj jednak nie przed szesnastym rokiem życia. Mimo że wcześniej pisywałem trochę wierszy, bardzo się tego wstydząc, były one jakby produktem ubocznym mojej wyobraźni przestrzennej, nie przypominałem więc tych, którzy od dziecka plagiują właśnie przeczytane wiersze czy powieści. Natrafiwszy na wzór zachowania się romantycznego, nie powiedziałem sobie, że jestem poetą, ale że będę poetą i przystąpiłem do pisania na razie wierszy-ćwiczeń, najzupełniej klasycznych (pod Joachima du Bellay), całkiem, jeżeli sądzić po zachowanych w pamięci liniijkach, niezłych.

Co mówi Pascal jest najzupełniej prawdziwe i jest zwłaszcza prawdziwe w zastosowaniu do kogoś, kto przyjął wzór romantyczny (bo w Polsce jaki inny?) poety-wieszczka. Niemniej decydujący udział pychy, zranionej, da się przesunąć daleko wstecz, w dzieciństwo, i wypada przyznać w dalszych losach tyle ile się należy

samemu przymusowi prowadzenia takiej a nie innej egzystencji. Tor zostaje wyznaczony i ma się do wyboru albo bezustanną umysłową aktywność, codzienną pracowitość, albo zgubę — nawet gdyby wyrzuciło nas na wyspę bezludną. Co oczywiście pozostaje tylko domysłem, bo moja próżność czerpała zadowolenie z szacunku „pięciu czy sześciu osób”.



Sprzeczność. — *Pycha, przeciwwaga wszelkiej nędzy: albo ukrywa swoje nędzy; albo, jeżeli je odłania, chlubi się tym, że je zna.*

Pascal, *Myśli*

Nie zadawalniamy się życiem które mamy w sobie i w naszym własnym istnieniu: chcemy żyć w wyobrażeniu innych życiem imaginacyjnym i dlatego to usiłujemy wydać się kimś. Pracujemy bez ustanku nad upiększaniem i zachowaniem naszej imaginacyjnej osoby i pomijamy prawdziwą.

Pascal, *Myśli*

Dar: nie można ofiarować niczego prócz ja, a to co nazywa się darem, jest tylko etykietką, pod którą kryje się rewanż ja.

Simone Weil, *Wybór pism*

Nie jesteś we Władzy innego Nieprzyjaciela, nie jesteś w innej Niewoli i nie pragniesz innego Wyzwolenia jak tylko spod Władzy twego własnego Ziemskiego Ja. Ten jest jedyny Morderca Boskiego Życia w tobie. On to jest twoim własnym Kainem, który zabija twój własny Abla. A wszystko cokolwiek czyni twoja ziemski natura, jest poddane wpływowi Samo-woli, Samolubstwa i Samo-chwały, czyli wiedzie ona ciebie do chwalebnych czy nagannych postępów; wszystko czynione jest według natury i ducha Kaina i takie tylko dobro pomaga tobie zdobyć jak wtedy kiedy Kain zamordował swego brata. Albowiem każdy Czyn i każdy Ruch twego Ja ma w sobie Anty-chrystowego Ducha i zabija Boskie Życie w tobie.

William Law (1686-1761), *The Spirit of Love*

Zdaję sobie oczywiście sprawę, że w tych cytatach zawiera się materiał do dzieła filozoficznego w piętnastu tomach. Dla celów praktycznych ograniczmy się do paru uwag. Poczucie winy z powodu samego własnego istnienia może być tak czy owak wyjaśniane przez Dr. Freuda i jego uczniów, nigdy jednak nie odno-

siłem się poważnie do tych mitów mego stulecia, a kiedy doświadczalnie musiałem nauczyć się jak z poczuciem winy dawać sobie radę, nic o nich nie wiedziałem. Uświadamia się sobie zło u samego rdzenia naszej istoty, tj. natrafia się na błędne koło, polegające na tym, że cokolwiek zrobi się dobrego, będzie to w służbie naszego Ja. Stąd przeskok, w wieku lat czternastu, do rozmyślań nad bezlitosną strukturą bytu, rozmyślań wspomaganym przez lektury z zakresu biologii. Czy wpadły mi wtedy w ręce jakieś stronicy Schopenhauera, nie pamiętam, chyba jednak tak. Co ważne, to to, że istnieje niewątpliwie temperament manichejski, uzdolniony do udręk obolałej ambicji i zarazem do wrogięgo ich osądu, niewykluczone przy tym, że czerpie niejaką ulgę z rozciągnięcia zasady zła na istnienie w ogóle. Ten to temperament, bardziej niż wpływy Indii i Persji, przyczynił się do powstawania w chrześcijaństwie herezji pewnego typu i do ich trwałości, co zresztą nie znaczy, że wszyscy tym temperamentem obdarzeni byli zaliczani do heretyków. Święty Augustyn był tym samym człowiekiem i kiedy należał do Kościoła Manichejskiego i później, jako prawowitny chrześcijanin. Wspólną cechą takich ludzi jest nieufność do Natury, i natury ludzkiej i przyrody. Wyodrębniając ich, kieruje się po prostu doświadczeniem, bo kolejno odkrywałem pisarzy mających wiele ze sobą wspólnego. Byli to: Święty Augustyn (*Wyznania*); Pascal (Jansenistów o przyjazny stosunek do Natury trudno posądzić); Simone Weil (bliska w wielu swoich myślach, i to otwarcie, Katarom czyli Albigensom); William Blake (nazywany przez niektórych, i nie bez pewnej słuszności, gnostykiem); Lew Szestow (którego cała filozofia opiera się na proteście przeciwko Prawu Natury — choć ten gnozy nie lubił). Używam tutaj skrótów, być może nieuprawnionych, zechcesz jednak czytelniku wybaczyć, bo boję się żeby nie popaść w erudycję.

Koleiny, po których będziemy się poruszać, zostają wydrążone wcześniej i dlatego to zatrzymuję się na okresie szkolnym. Samo poczucie winy nie dostarcza wskazówki co do tego kim zostanie dany człowiek, skoro może być wspólne i ludziom czystym, takim jak Simone Weil, i nie nazbyt czystym, czyli, w zakresie moralnych uzdolnień chudopachołkom. U tych drugich bywa wybiegiem, pozwalającym uchylić się od postępowania tak jak postępować się powinno. Zdawałoby się, nic prostszego, jeżeli gnębi nas chytra marność naszego Ja, jak to Ja w sobie pokonać i złożyć w ofierze, przez co czulibyśmy się mniej winni. Ale nie, nic takiego się nie zdarza, i nawet wręcz przeciwnie, wygląda na to że wina, na razie bezkształtna i w znacznej mierze urojona, przygotowuje akty wyboru, które by ją w pełni uzasadniły. Im dalej w las — las życia, jak u Dantego — im więcej aktów

wyboru naznaczonych złośliwym triumfem naszego Ja — tym pewniej rozsiada się wina jako udzielny władca. Jedyne co można, to próbować ją czymś okupić. Wtedy świat zastępczy, który początkowo był wydzieloną wyspą, zagarnia w nas co raz to nowe tereny i gorliwość jakiej żąda (a pisanie książek pochłania więcej czasu niż kreślenie map nieistniejących krajów) powoduje dalsze uchybienia naszym codziennym obowiązkom wobec ludzi. Tak więc gorliwość, z winy poczęta, winę pomnaża i dlatego, jako że jest ciąglą ucieczką przed samym sobą, ucieczką w przód, nie wolno nam niczym się zadowolić: liczy się to tylko, co jeszcze mamy nadzieję dokonać.

Moje uwagi mogą się tobie przydać, choć ten przebieg nie musi być typowy. Jest to poza tym temat z wariacjami. Od czasu do czasu potrzeba uznania, jakiegoś powszechnego złożonego nam hołdu, dotkliwie daje się we znaki i wyładowuje się w wybuchach gniewu, poskramianego z trudem przez rozum. To znów następuje bunt przeciwko temu, co nauczyliśmy się uważać za swoje przeznaczenie: czy to możliwe, żeby być tylko „tym, który napisał tyle i tyle książek”, i niczym więcej? Czy zawsze ideał „prawdziwego człowieka”, po cichu pielęgnowany, musi zostać poza naszym zasięgiem i nieznana siła zapędzać nas musi z powrotem do okupującej pracy? Moje zrywy „prawdziwego człowieczeństwa” nie były długotrwałe. Jedyne kariera pedagogiczna, zaczęta późno, koło pięćdziesiątki, dostarczała trwalszej pociechy. W sali wykładowej, wobec młodych którym mogłem coś dać, zapominałem o moich nędzach i czułem się w swoim prawie.

PIASEK W KLEPSYDRZE

Kontemplacja czasu jest kluczem do życia ludzkiego. Jest to niesprowadzalna do niczego tajemnica, do której żadna nauka nie ma dostępu. Pokora jest nieunikniona kiedy wiemy, że nie jesteśmy pewni jak zachowamy się w przyszłości. Osiągamy stabilizację tylko wyrzekając się swego ja, które podlega czasowi i zmianom.

Dwie rzeczy nie dają się sprowadzić do żadnego racjonalizmu: czas i pięknó. Od nich należy zaczynać.

Simone Weil, *Wybór pism*

Tajemnicy należy się szacunek. Gdyby człowiek nie był świa-

domy przemijania i swego życia i wszystkich rzeczy ludzkich, nie byłby człowiekiem. Nie byłoby mu też dostępne piękno, którego samą istotą jest i nietrwałość i moc chwili przeciwstawionej upływowi czasu. Słowa Eklezjasty są wzorem wszelkiej poezji lirycznej, bo w nich ten kto mówi i stwierdza, że musi przeminać tak jak inni, i wznosi się ponad swoją zniszczalność poprzez rytm języka. Tak samo linia i kolor wyzwala nas z naszego ja i, jakkolwiek był brud którym żywił się akt twórczy, są zamienione w nie-ja.

Stałe rozmyślanie o czasie jest niemożliwe, bo paraliżowałoby czyny, podszeptując, że każdy będzie daremny. Ludzie muszą dążyć, kochać, nienawidzić, zakładać rodziny, zarabiać, walczyć. Ich dnie muszą być poddane dyscyplinie narzucanej przez doraźne cele. Usposobienie artystyczne odznacza się wrażliwością na sam nurt czasu, który magnetyzuje, jak wąż królika. Nie można odmówić racji tym, którzy w sztuce i w kontemplacji religijnej widzieli dystans wobec Woli, woli życia, wzniesienie się ponad koło narodzin i śmierci. Dlatego podział na dwa gatunki ludzi, ludzi Woli i ludzi Medytacji, jest czymś trwałym, co nie znaczy, że istnieją w stanie czystym, bez domieszki, i że nie toczą nieraz ze sobą sporu w jednej cielesnej powłoce.

Nikt mnie, kiedy byłem dzieckiem, w grozę przemijania nie wtajemniczał, sam na to wpadłem, mając ją daną niejako z natury. Na wzmiankę zasługuje jednak sposób w jaki czytałem pewną książkę dla młodzieży. Był to Fenimore Cooper. Czytać Coopera po angielsku dzisiaj prawie nie można, ze względu na rozwlekłość. Ale tamta książka była, jeżeli dobrze pamiętam, skrótem, wyciągiem z wszystkich tomów, być może przekładem takiego skrótu, który zrobił jakiś Francuz czy Rosjanin. W pierwszej części bohater, Nataniel Bumppo ukazywał się jako młodzieniec, Tropiciele, Pogromca Zwierza, w ostatniej jako stary człowiek zwany Skórzaną Pończochą. Przeżycie moje było tak ostre i słodko-bolesne, że dotychczas trwa we mnie jak bym obcował z tym bohaterem wczoraj. Wtedy było nagie, poza jakimikolwiek słowami, teraz potrafię ocenić nie byle jaki jego wymiar i nazwać. Tropiciele wędrował: w przestrzeni — bo uciekając przed cywilizacją posuwał się coraz dalej na Zachód, do puszczy gdzie mieszkali tylko Indianie; w czasie — bo z potężnego, beztroskiego młodzieńca zmieniał się w dojrzałego męża i wreszcie w starca. Wtedy to następowało jego spotkanie z cywilizacją, która podlegała innemu czasowi. Okolice gdzie spędził młodość były już gęsto zasiedlone, jego indiańscy przyjaciele zginęli w bitwach albo umarli, dla nowych pokoleń kolonistów jego prawdziwa, leśna ojczyzna była tylko legendą a on sam dziwnym zabytkiem, z tą swoją staroświecką długą rusznicą. I zupełnie samotny, z nikim już nie

znajdując wspólnego języka, jeszcze raz odchodził — w obszar, który oznaczał wygnanie, bo nie był już lasem, był pustką, bezgraniczną prerią.

Coopera więc czytałem niby symboliczną przypowieść o ludzkim losie. Mały chłopiec, współczułem ze starym traperem, który wszystko już miał za sobą. I kto wie czy nie Cooper odezwał się w wierszu napisanym później przeze mnie, dwudziestotrzyletniego:

*Wicher włosy siwe
Czesze palcami i wreszcie prawdziwe
Słowa powtarza wpatrzonym w pamięci
Przepaść otwartą.*

Nawiasem. Jak jedno ziarnko pomaga krystalizować się roz-tworowi, tak jeden obraz u Coopera mógł być zaczątkiem moich marzeń porządkujących przestrzeń. Wyobraźmy sobie jezioro, ze-wsząd otoczone dziewiczym lasem, i pośrodku wodnej płasz-czynny rodzaj zakotwiczonej arki, pływający dom. Kiedy Tropiciele był młodzieńcem, do jeziora Otsego, w północnej części Stanu New York, koloniści jeszcze nie dotarli. W arce, niechętny lu-dziom i odgradzony wodą od buszujących w puszczy Indian, mieszkał emerytowany pirat z dwiema córkami. Czyż nie model całkowicie bezpiecznego państwa dla dziecinnej wyobraźni?

Tak więc romantyczny Amerykanin, Cooper, wcześniej do mnie przemówił niż polscy romantycy. Zapoznając się następnie z nimi, nie byłem szczególnie wrażliwy na miłosny szal Gustawa, ale bardzo na jego żal nad tym co minęło — kiedy odwiedził dom swego dzieciństwa i zobaczył, że tam „rudera, pustka i zniszczenie”. A już zupełnie urzekła mnie *Godzina myśli* Słowackiego, przez swój, wzmocniony przez klasyczną jeszcze powściągliwość, ton rozdzierający, wspomnień ze łzami, ten ton, który, jak dowie-działem się o wiele później, Edgar Allan Poe uważał za najbliż-szy samej istocie poezji. *Godzina myśli*, jak żaden inny utwór, mitologizowała ulice po których chodziłem, Świętojańską, Domi-nikańską a także park koło dworu w odległych o dwadzieścia kilometrów Jaszunach, miejsce spacerów Słowackiego i Śniadec-kiej Ludwiki.

„Melancholię przemijania” znajdujemy równie dobrze u sta-rych poetów chińskich jak w wierszu, który szczególnie wpłynął na romantyzm krajów słowiańskich, w „Elegii pisanej na wiejskim cmentarzu” Tomasza Graya. Jako nałogowiec żalu nad prze-mijalnością, od dziecka, nie mogłem nie zastanawiać się (od kiedy, trudno zgadnąć) nad skazą moralną właściwą usposobieniu este-tycznemu. Jeżeli to, co właśnie się zdarza nam samym czy wokoło nas, traktujemy jako już byłę, jako materię daną po to tylko,

żeby już, w tej chwili, przerzucić ją w przeszłość i tak ją oglądać jakby się ją wspominało, powstaje dystans wobec „teraz”, tak duży, że w najbardziej piekielnych okolicznościach, jakich w naszej epoce nie brakło, widz w nas zachowuje chłód i spokój, co jest niewątpliwie nieludzkie. Może nie tylko chłód i spokój, bo widz nie jest pozbawiony skłonności do sadyzmu. Zresztą postawa estetyczna nie jest wyłącznym przywilejem (ładny przywilej) artystów. Każda bardzo rozbudzona i ostra świadomość ucieka się do podobnych rozwiązań i rozdwarzając się na podmiot i przedmiot, popuszcza niejako przedmiotowi a nawet czerpie satysfakcje z jego zachowań się nieprzystojnych, jak w wypadku dandyzmu, błazenady i tzw. mentalnego okrucieństwa.

Zaduma nad przemijaniem zawsze towarzyszyła człowiekowi i nigdy go nie opuści, tonacja jej jednak się zmienia i np. „Danse Macabre” późnego średniowiecza jest czymś zasadniczo różnym od renesansowych przepisów na korzystanie z chwili, bo przecie młodość trwa krótko i krótkie jest życie. To *carpe diem* w horacjanских wierszach (przekładach i naśladownictwach) Kochanowskiego zawsze wydawało mi się dość płaską retoryką, chociaż rozumiem, że podobnie jak w tańcu śmierci chodziło tu o podkreślenie prawidłowości: nie jesteś pierwszy ani ostatni komu się to zdarza.

Stosunek do upływającego czasu, nawet gdybyśmy nie rozporządzali żadnymi innymi danymi o poszczególnych okresach historycznych, wystarczyłby do postawienia diagnozy. Kiedy czytałem Coopera już spełniały się dokładnie przepowiednie Fryderyka Nietzsche i odtąd musiałem albo ulegać albo opierać się działaniu „nihilizmu europejskiego”. Czas nihilistyczny, jeżeli sądzić po nam współczesnej literaturze i sztuce, jest całkowicie odwartościowany, nie ma żadnego sensu ani w jego poszczególnych momentach ani w ich ciągu. Ukazuje się tylko jako niszcząca, absurdalna siła, ale Horacy tu już nie pomoże, bo zgubiono nawet pogański szacunek dla Wielkiego Rytmu. Stąd też wobec upływu czasu postawa „omdlewająca” (było, minęło, nie ma) albo nienawistna (przeklęty absurd istnienia). Zapowiedzi tego odwartościowania czasu (a tym samym życia ludzkiego) dostrzegali nie tylko Nietzsche, wyczuwali to też piekłacy się na Zachodnią Europę rosyjscy pisarze.



Doskonały nihilista. *Oko nihilisty idealizuje w kierunku brzydoty i jest niewierne wobec wspomnień: pozwala im obnażyć się, stracić liście; nie chroni ich przed trupią bladeścią, jaka, wtedy kiedy jesteśmy słabi, okrywa wszystko co dalekie i mi-*

nione. A czego nihilista nie umie zrobić dla siebie, nie umie też zrobić dla całej przeszłości ludzkiego gatunku: pozwala jej przepaść.

Nietzsche, Nota z roku 1887, w zbiorze *Wola mocy*.

Mnemosyne była matką Muz. Jej rola wymaga jednak nowego przemyślenia w warunkach „europejskiego nihilizmu”. Dawniej poeta zwracał się do pięknej dziewczyny i wróżył jej, że kiedyś, stara, przedąc wieczorem, będzie pocieszać się: „Ronsard mnie sławił kiedy byłam urodziwa”. To znaczy uroda jej była czymś obiektywnym i znalazła odbicie, niby w lustrze, w wierszach Ronsarda, z tą różnicą, że obrazu w lustrze nie da się zatrzymać, natomiast poezja opiera się działaniu czasu. Taki to był fundament wszelkiej sztuki odtwarzającej, czy odtwarzana jest ludzka postać czy krajobraz. Pamięć może być niewierna, znajduje jednak ostoję w linii, w barwie, które przynależą do rzeczy tego świata i dostarczają wskazówki co do tego kiedy pamięć jest wierna a kiedy się myli. Jeżeli chcesz wiedzieć co się stało, zastanawiaj się nad upadkiem malarstwa odtwarzającego, ale także zanalizuj swoje wrażenia kiedy patrzysz na filmy sprzed lat pięćdziesięciu. Gwiazdy filmowe słynne kiedyś ze swojej piękności ukazują się jako istoty żałosne, przybrane w komiczne szmaty — i w komiczne gesty, uwięzione w stylu, w sposobie bycia ich epoki, tak że trudno pojąć czym kiedyś czarowały, o tyle nie trudno, że czarowały takich jak one, uwięzionych. Film więc podsuwa nam złośliwe, krzywe lustro, potwierdzając to, czego nas nauczyły socjologia i psychologia. Być może zresztą, że film, ponieważ jest wycinkiem rozwijającego się czasu, jest wrogi pięknu, które powinno być nieruchome (ruch w poezji, w muzyce, innego jest rzędu i, by tak rzec, cierpi nie mogąc znieruchomieć).

Uczono nas. Z tym wynikiem, że pamięć została z założenia uznana za kłamliwą i nabrała konsystencji marzeń sennych. Skoro wszystko, co kiedyś było ulega bezustannym przekształceniom, i dlatego że ciemne gospodarstwo w nas domaga się przeszłości tak czy inaczej ocenzonej, i dlatego że, schwytani przez Ducha Czasu, rzutujemy w przeszłość miary od niego wzięte, trudno wierzyć w prawdopodobność pamięci. A jednak Nietzsche rozróżniał oko wierne wspomnieniom i oko niewierne, to drugie nazywając okiem doskonałego nihilisty, a ponieważ sam w sobie znalazł nihilizm, wiedział chyba co mówi. Jeżeli w jego zdaniu zawarte jest potępienie nowoczesnego psychologizowania, które nie od Freuda przecie się zaczęło, będą oczywiście z Nietzschem.

Hołdownicy Mnemosyny jako matki Muz w dziwnym znaleźli się potrzasku. Opowiadają o tym jak np. wiele lat temu spotkali się ze lwem, ale śpiesznie muszą to zdarzenie wziąć w nawias,

dając do zrozumienia, że trochę to był lew a trochę nie lew, bo przebywa jedynie w ich zdradliwym umyśle. Dlatego rzeczywistość coraz to „omdlewa” pod ich piórem i jeżeli kolor jako tako się zachowuje, linie rozplywają się niby zarysy obłoku odbitego w falującej wodzie (nie darmo impresjonizm zapowiadał koniec malarstwa odtwarzającego). W tych warunkach przedsięwzięcie Prousta, który chciał uratować minioną chwilę, było bohaterkie i rozpaczliwe. Jego dzieło przypomina te cudownie barwne wschodnie dywany jakimi jest malarstwo Bonnarda i Vuillarda utkane z fragmentów „psychologicznego czasu”. I, podobnie jak to malarstwo, już w chwili powstawania było ariergardą. Bo już ogłoszono, że pamięć ludzi nas, jeżeli nie „idealizuje w kierunku brzydoty”. W jakimś muzeum przyszłości obok siebie położą tomy Prousta i *Krapp's Last Tape* Becketta, gdzie narrator, starzec, przesłuchuje samego siebie na taśmach magnetofonowych, dawno nagranych. Na śmieszna nicłość swojego żywota odpowiada szyderczymi prychnięciami i chrząknięciami.

Nie mnie pisać historię kultury europejskiej, inni tym się zajmą. Zagadnienie jest wysoce osobiste, bo w moich wierszach i prozie oparciem był dla mnie zapamiętany szczegół. Nie „wrażenie” i nie „przeżycie” — te są tak wielowarstwowe i tak trudne do przetłumaczenia na język, że wynaleziono różne sposoby próbując je uchwycić — mowę naśladującą „strumień świadomości”, aż po pozbycie się znaków przestankowych, magmę słowną i bełkot. Zapamiętany szczegół, np. słoików drewnych w wytartej dotykami wielu rąk kłamce, zasługiwał według mnie na to, żeby go wydzielić z chaosu wrażeń i przeżyć, niejako oczyścić, tak żeby zostało tylko bezinteresownie kontemplujące dany przedmiot oko. Wiem, jak łatwo do mego rozróżnienia się przyczepić, wystarczy wprowadzić parę pojęć z podręcznika psychologii, ale nie interesują mnie one, skoro rozróżnienie przybliży nas przynajmniej do istotnej linii podziału i potwierdza je praktyka.

Zabawna i pouczająca przygoda zdarzyła mi się po ukazaniu się mojej książki *Rodzinną Europą* w angielskim przekładzie. Wstępny jej rozdział zawiera niepoehlebną opinię o wszelkich pismach autobiograficznych, bo próbują one przebić się przez tzw. złoża świadomości; ponieważ jest to przedsięwzięcie bezna dziejne, czas miniony jest w nich zafałszowany — dlatego też opowiadam się za selekcją założoną z góry, lepszą od selekcji mimowolnej. Opowiadano mi o kimś, kto przeczytawszy to wykrzyknął: „Po cóż mam czytać dalej, jeżeli sam autor przyznaje się, że nie będzie mówić prawdy!”. Ten niewinny intelektualista wierzył w „prawdę” przeróżnych chwytów przy pomocy których rzekomo odtwarza się zawartość pamięci, choć gdyby był konsekwentny, musiałby dojść do wniosku, że jedynie chrząknięcia,

urwane sylaby, jęki, jak w *Krapp's Last Tape*, wtedy nie wydają się „sztuczne” i uchodzą za szczerść.

Cóż Nietzsche miał na myśli, przewidując, że „trupia bladeść” okryje sprawy minione? Wyjaśnia to inny jego aforyzm, z tego samego roku, 1887: „Skrajną formą nihilizmu byłby pogląd, że *jakikolwiek* przekonanie, *jakikolwiek* uznanie-czegoś-za-prawdziwego *świata*”. Mniej więcej dziesięć lat wcześniej Dostojewski napisał *Sen śmiesznego człowieka*; w tej opowieści bohater-narrator postanawia się zastrzelić, rozumując, że skoro świat istnieje tylko w jego głowie, z jego śmiercią przestanie istnieć.

Trudno uniknąć pytania jaki rodzaj bytu ma na przykład wschód słońca gdzieś nad Morzem Śródziemnym w pewien poranek majowy roku, dajmy na to, 1215, jak też kwiaty, które wtedy się otwierały, przelatująca mewa, ramię kobiety czerpiącej wodę ze studni. Czyżby, skoro nikt tego już nie widzi, żadnego bytu? Jednakże całe fantastyczne bogactwo dzieł ludzkiego umysłu i ludzkiej ręki, jakie zostawiła nam w spadku cywilizacja europejska, tak wielkie, że wydaje się nie do ogarnięcia, było możliwie tylko dlatego, że udzielano odpowiedzi wręcz przeciwnej. Świat, najzupełniej prawdziwy, trwał w każdym swoim momencie, niezależnie od świadomości poszczególnego podmiotu, który odbywał swoją wędrówkę od narodzin do śmierci. Ale coś, co nie jest przez nikogo widziane, nie istnieje — przyjmowano milcząco to założenie, choć z zasadniczą poprawką: jeden nadrzędny podmiot, najbardziej podmiotowy z podmiotów, skoro sam niewidziany jest widzący, Bóg, obejmował wzrokiem wszystkie momenty czasu rozpostarte przed nim jak otwarte karty — bo równoczesne, poza jakimkolwiek „było, jest, będzie”. Fizyka, taka jaka miała narodzić się nieprędko (Einsteina) nie dostarczała pomocy, jednakże religia skutecznie podtrzymywała intuicyjne przekonanie o względności czasu i przestrzeni, których przed Aktem Stworzenia nie było. Absolutyzacja czasu i przestrzeni w nauce, z jej nihilistycznymi następstwami w humanistyce, jest późnym nabytkiem, częścią naukowo-technicznego przewrotu czy raczej jego fazą, bo podzieliła los newtonowskiej fizyki. Widocznie poszczególne dziedziny ludzkiej myśli podlegają prawu nierównoległego rozwoju, bo na zrozumienie czym jest nowa faza trzeba jeszcze poczekać.

Dzięki religii świat prawdziwy, ugruntowany we wzroku Boga, przez wiele stuleci dostarczał wzorów artyście, który miał nadzieję przybliżyć się do nich drogą nie tyle naśladownictwa ile analogii. Pamięć odgrywała w tym rolę ważną ale niejako pomocniczą, ponieważ rozumiano, że „idealizacja” tj. wydobycie tego co najbardziej istotne dla danej poszczególnej rzeczy, jest nieunik-

niona. W cywilizacji zwanej chrześcijańską wizjonerzy odnosili się zresztą dość niechętnie do Mnemozyny, nazywając ją „matką upadłych naturalnych Muz”. I chyba słusznie, bo kiedy została sama wobec odwartościowanego świata, nie okazała się pewną przewodniczką.

Smak ciasta poznaje się jedząc. Przecie teraz, kładąc te słowa na papierze, dokonuję wyboru, opierając się różnym pokusom pamięci. Podsuwa mi ona np. uniwersyteckie nauki — wątkowany na katedrach „spór o istnienie świata” tudzież spór o ugruntowanie wartości, zgłaszając nawet do mnie pretensję, że mieszam dwa porządki rozumowań. Pewnie, lepiej jest wiedzieć, że ten labirynt pojęć zbudowano, ale jałowy to labirynt, bo nie ma w nim miejsca na nasze własne poczucie zagrożenia. Jeżeli w naszych chwilach szczęścia, potęgi, ekstazy mówimy niebu i ziemi „tak”, a wystarczy nieszczęścia, choroby, upadku fizycznych sił żebyśmy zaczęli krzyknąć „nie” znaczy to, że wszelkie nasze sądy mogą być jutro obalone i że łatwo świat i nasze życie pomylić. Nie widać jednak daczego słabość — czy poszczególnego człowieka czy całej historycznej epoki — miałyby być uprzywilejowana i dlaczego stary nihilista z *Krapp's Last Tape* Becketta miałyby być bliższy prawdy niż on sam kiedy miał lat dwadzieścia.

Kontemplacja czasu jest kluczem do życia ludzkiego — ale można dokoła tego klucza tylko krążyć, nie można go dotknąć. Jedno jest pewne: nie każda kontemplacja czasu jest równie dobra, ponieważ jednak sama w sobie nie daje się ująć w słowa, rodzaj jej poznajemy po tym, jaki użytek zrobił z niej dany człowiek.

„Ja cierpię”. *Lepiej tak powiedzieć, niż powiedzieć: „Ten krajobraz jest brzydki”.*

Simone Weil, *Wybór pism*

RZECZYWISTOŚĆ

*Zapomnicie nas, trudząc się w polu i w domu.
Wspominać nasze sprawy będziecie przy ogniu,
Kiedy czas i znużenie ułagodzą pamięć,
Jakby to tylko był sen, często opowiadany,
Zmieniany za każdym razem. Wydadzą się nieprawdziwe.
Ród ludzki rzeczywistości dużo znieść nie umie.*

T. S. Eliot, *Morderstwo w katedrze*

*Idzie faszysta, faszystę zabij. Trach! trach!
I komunista. Komunistę zabij. Ach! Ach!
Rzeczywistości! Święta mamo!
Dla ciebie pająki zabijać to to samo.*

K. I. Gałczyński. Zapisane z pamięci. Bodajże pochodzi to z *Balu u Salomona* (wydanie przedwojenne).

Siusiu szpaczka straszna trucizna suchych piersi rzeczywistości (należy to wymawiać głośnym syczącym szeptem, w pustej sali albo nocą w klatce podwórza, jak to czynili autorzy tego jednowierszowego utworu, młody kompozytor Roman Maciejewski i młody poeta Czesław Miłosz, kiedy mieszkali w domu dla polskich stypendystów przy rue Lamandé w Paryżu, jesienią 1934 roku).

Ohydne w dźwięku to słowo, przekład dosłowny francuskiego *réalité*, czasem wymienne z naturą rzeczy (*la réalité des choses*). Francuski rozróżnia pomiędzy *la réalité* i *le réel*, brak tego rozróżnienia w polskim a potrzebne. *Reality. Wirklichkeit*. Rosyjski ma *diejstwitielnost'*, więc od działania, nie od rzeczy, i *realnost'*.

Cóż to słowo znaczy? Dlaczego *rzeczom* wszyscy się kłaniają? W potocznym sensie rozumie się przez to słowo wszystkie rzeczy działające według swoich własnych praw, i to w taki sposób, że jeżeli znajdziemy się na torze po którym się poruszają, zostaniemy zabici. Bo kruche z nas istoty i niszczy nas lawina spadająca z gór, huragan, bakterie, wirusy, przemiany chemiczne w komórkach naszego ciała. Jednak nauczyliśmy się opierać tzw. siłom przyrody i chociaż dla znacznej części ludzkości susza, powódź, erozja gleby są nadal niebezpieczeństwem, z klęsk elementarnych zostały nam głównie starzenie się i nieopanowane jeszcze przez naukę rodzaje chorób. Rzeczą, która nam przede wszystkim zagraża, jest inny człowiek, albo dlatego, że jest uzbrojony a my bezbroni czy też za słabo uzbrojeni, albo dlatego, co wychodzi na jedno, że ma władzę od mówienia nam pieniędzy to znaczy pokarmu. Podstawą ludzkiego społeczeństwa jest nadal kara śmierci, czy śmierci od kuli, czy w więzieniu, czy z głodu, i humanitarne pienia na to nie pomogą.

Rzeczywistość jest więc dla nas w pierwszym rzędzie społeczna tj. taka, w której ludzie-rzeczy wykonują rozkazy podyktowane przez innych ludzi, niby panów własnego i cudzego losu, ale naprawdę zmienionych w rzeczy przez tzw. konieczności życiowe. W zrozumieniu jak się to wzajemnie zająbia nie zrobiliśmy dużego postępu i naukowiec badający wirusy albo wysyłający pojazdy na inne planety może odnosić się z poczuciem uzasad-

nionej wyższości do rzekomych specjalistów w zakresie rzekomych nauk społecznych.

Tej to naturze rzeczy wcześniej zacząłem udzielać uwagi, w przekonaniu, że poeta, jeżeli odmówi uznania jej ciężaru, zamieszka w raju głupców. Zdażyłem też zebrać, próbując z nią się uporać, wiele doświadczeń już w latach 1930-1939, a więc w okresie zupełnie tobie nieznanym. Niestety, gdybyś chciał się dowiedzieć czym był ten okres w Polsce i w Europie, nie umiałbym wskazać źródeł, bo na jako tako poprawny jego obraz nie zdobyła się ani literatura ani historia. Rzeczywistość społeczna tym się odznacza, że jest nieprzejrzysta, zdradliwa, że ludzi mnóstwem pozorów każdego, kto w nią jest uwikłany. A były wówczas dodatkowe powody zamroczenia, jak u człowieka mocno uderzonego po głowie. Zważ, że działo się to w niewiele lat po I wojnie światowej i choć dużo bredzono, to jakby po to, żeby uniknąć zastanawiania się nad tym co znaczyła. Kiedy byłem studentem, poznałem skromnego urzędnika rodem z Poznania, który żył tylko całkiem niedawnym dniem wczorajszym. Bo bił się pod Verdun jako żołnierz niemieckiej piechoty i napisał o tym książkę, na którą na próżno szukał wydawcy. Czytałem ją w maszynopisie. Ten reportaż z pobytu w piątym czy szóstym kręgu piekła był chyba dokładniejszy i przez to bardziej wstrząsający niż rozsławiona powieść Remarque'a *Na Zachodzie bez zmian*. Starsi w mojej rodzinie mieli za sobą lata wojny w armii carskiej i nawet piękna moja kuzynka Ela, której portret, pędzla Janowskiego, jest jednym z ładniejszych przykładów polskiego malarstwa z okolic roku 1914, była wtedy *siestricą*. Dla ogromnej liczby mieszkańców kraju rzeczywistość nadal oznaczała Rosję carską albo Galicję Habsburgów, a już przede wszystkim wojnę światową i kampanię 1920 roku — bardziej może niż samą niepodległą Polskę. Na ile rozumiano, że rok 1914 był ujawnieniem wszystkich kalectw Europy i jej końcem, że wymarzona wojna ludów powołała do życia Polskę jako twór pogrobowy? Duma z „odzyskanego własnego śmietnika” doradzała nadrabiać miną, jakby nigdy nic, nie bez tego jednak, żeby różne nurty podziemne nie podmywały oficjalnego myślenia. I wtedy to, kiedy każdy niemal człowiek dorosły borykał się z jakimś swoim Verdun, przyszło nowe uderzenie po głowie, krach na giełdzie nowojorskiej 1929 roku, masowe bezrobocie, hitleryzm, przez kombatanów I wojny zmajstrowany. Wkrótce potem poeta, jeden z legionistów Piłsudskiego, pisał: „Matko, podaj mi buty / Te sprzed dwudziestu lat”. Buty może nie zdążyły się zestarzeć, ale „przyśpieszenie historyczne” świat dokoła Polski trochę zmieniło.

Kiedy ktoś nas po latach zapewnia, że miał jasną świadomość stanięcia „w obliczu końca”, nie trzeba mu wierzyć, bo takiej

jasnej świadomości nikt prawie nie miał, z piszących może tylko Zdziechowski i St. Ign. Witkiewicz. Jako jeden z twórców „katakstrofizmu” mógłbym wprawdzie przytoczyć dowody na piśmie, będą to jednak dowody intuicyjnego, poetyckiego rozpoznania. Wytłumaczę po krótko skąd wziął się katastrofizm. Najpierw tło szersze, nie tylko polskie. Rzeczywistość społeczna dziewiętnastego wieku przygnębiała ludzi literatury i sztuki, toteż protest przeciwko niej uznali za główny cel swojej działalności, uciekając się zresztą do różnych rozwiązań. Najbardziej jednak nawet oderwane teorie estetyczne miały u swojej podstawy bunt przeciwko kłębowskiemu uciskającym i uciskanych, któremu należało przeciwstawić artystę jako jedynego człowieka wolnego. Chroniąc się w środowisko bohemy przed moralnością znieawidzonej burżuazji i zawierając rozliczne alianse ze społecznymi marzycielami, pisarz, artysta zaświadczał o swoim dziedzictwie, o wielowiekowej chrześcijańskiej tęsknocie do Drugiego Przyjścia. Postępowała jednak sekularyzacja i jeżeli jeszcze w socjalizmie utopijnym centralną postacią był Jezus, to Jezus tylko jako ideał etyczny i reformator. Wkrótce też proklamuje się otwarcie, że Człowiek-bóg, a nie Bóg-człowiek naprawi naturę upadłą.

Sam początek mojego stulecia ma w moim umyśle, wbrew temu co wiem o lekkomyślnym Paryżu z *La Belle Epoque*, barwę mroczną i kształt, że się tak wyrażę, rosyjsko-anglosaski. Rok 1905. Rosyjscy „zwiastunowie burzy”. Amerykańscy pisarze walki klasowej: *Dżungla* Uptona Sinclaira, 1906; *Żelazna stopa* Jacka Londona, 1907. I, zważywszy na to co wiem o New Yorku, nie mogę uznać za przesadę jego obrazu jako dał Gorki w *Mieście żółtego diabła*, 1906. Mroczna rzeczywistość ukazuje się zresztą nie tylko u pisarzy rewolucyjnych. Także w Józefa Conrada *Jądrze ciemności*, 1902, którą to opowieść Tomasz Mann nazwał otwarciem literatury dwudziestego wieku, czy w *Tajnym agencie*, 1907. Cóż za symboliczne tytuły! Wyrecytujmy: dżungla, żelazna stopa, miasto żółtego diabła, jądro ciemności, tajny agent. I kiedy tak określane ponure moce doprowadziły do rzezi I wojny, trudno się dziwić pisarzom różnych zachodnich krajów, że, wychowani na legendach jakie pozostały po Rewolucji Amerykańskiej i Rewolucji Francuskiej, przywitali z zachwytem Rewolucję Rosyjską jako (ostateczne?) zburzenie Bastylii.

Jakakolwiek była specyfika Polski, kraju, który otrzymał i obronił niepodległość, należał ten kraj do systemu naczyń połączonych i np. fala lewicowa w Ameryce oraz w Niemczech w tych samych dokładnie latach 1930-1933 przybierała w Polsce. Zostawię na boku kwestię tzw. przekonania, bo nie są tu istotne, zresztą wśród literatów „przekonania” mieli bardzo nieliczni. Ważniejsza jest sprawa uchwytu za rzeczywistość. Uprawiając, dość krótko-

ko, tzw. poezję społeczną, pełen byłem niesmaku. Bo oczywiście w tych różnych zbiorowych ruchach, których uczestnicy wzajemnie podbijają sobie bębenka, poeta zdradza siebie, z pychy, z potrzeby uznania. Koło dobrego wiersza przejdą mimo i nie zauważą, a daj im „temat”, zaraz ryki i brawa. Pojawiła się już wtedy zagadka, która, im dalej w wiek dwudziesty, tym bardziej stawała się dotkliwa. Jeżeli człowiek jest przez rzeczywistość społeczną od-człowieczony i umniejszony, to czy nie utwierdza się jego umniejszenia biorąc go tylko i jedynie za cząstkę owej rzeczywistości społecznej? Skąd ta nuda wszystkich utworów o „krzywdzie”, tak przecie szlachetnych w intencji? Napisano wtedy w Polsce i gdzie indziej dużo wierszy krzykliwych i niemało stron podobnej prozy, ale nie wydaje się, żeby coś z tego zostało. „Katastrofizm” był próbą przywrócenia wymiaru. Spór literacki, a więc opozycja poetów-katastrofistów wobec szkół literackich jak Skamander czy Awangarda, mniej tu wyjaśnia niż zaniechanie przez nich „poezji społecznej”, przy czym ich nie ujęte w teorię zarzuty tak by brzmiały: rzeczywistością się zajmujecie, ale ona całkiem nierealna, bo wy swoje, a wszystko odbywa się w skali planetarnej, Apokalipsa się zbliża, i kiedy usiłujecie obciąć człowieka do *homo aeconomicus*, w dziejowej Apokalipsie zawiera się jakaś treść ukryta i dla nas niepojęta. Być może taki wiersz jak „Oda na spadek funta” Jerzego Zagórskiego należał jeszcze do poezji społecznej ale była w nim nie tylko zapowiedź upadku imperium brytyjskiego. *Przyjście wroga* tegoż poety jest surrealistyczną baśnią o pojawieniu się Antychrysta, akcja odbywa się na równinach Eurazji, nad Oceanem Lodowatym, na Kaukazie.

Po roku 1939 młodzi poeci podziemnej Warszawy nie mogli pozostać niewrażliwi na tak trafne przewidywania swoich poprzedników. Jednakże przedwojenny katastrofizm tym młodym zagrażał, bo był w swoich myślowych odniesieniach międzynarodowy, a oni za wszelką cenę chcieli zamknąć się w narodowym wymiarze. Także natrafiając na inny katastrofizm, Witkacego, brali od niego głównie groteskę, z jego sztuk, podczas gdy na nas, przynajmniej jeżeli mogę sądzić po sobie, wpłynęły w pierwszym rzędzie historiozoficzne przesłanki jego powieści. Nie byliśmy jednak tak pesymistyczni jak rozpaczliwie błaznujący a samobójczo poważny Witkacy. Kto wie czy zupełnie pesymistyczna poezja jest w ogóle możliwa, czy, jeżeli ma być coś warta, nie jest zawsze nadzieją? W poezji katastrofistów co raz to odzywa się ironia wobec losu, jak im przypadł, ale jest też w niej tęsknota do ładu, do piękna, które powinny być udziałem człowieka uratowanego.

A cóż dzisiaj, kiedy i czarne prorocstwo i spełnienie (albo jego część) są w czasie minionym? Rzeczywistość planetarna rozdziwiła się na tzw. Zachód i tzw. Wschód, a zdarzyło mi się pić i z jednej

i z drugiej zatrutej studni. Przekonałem się też, że zagadka tamtych lat trzydziestych nadal domaga się rozwiązania.

Czy wiek dziewiętnasty kłamał śniąc swój sen o sobie? Nie-wykluczone. Ale przynajmniej wielkie jego miasto, w którym czarownice Makbeta mieszały swoje wywary, przemawia do nas ze stronic Balzaka, Dickensa, Dostojewskiego, jest sceną dla ludzkiej komedii jako *cité infernale* w wierszach Baudelaire'a, patrzy na nas twarzami przekupnych sędziów i sprzedajnych dziennikarzy z obrazów Daumiera i twarzą prostytutki z *Olimpii* Maneta. Było wtedy coś co można nazwać wolą realizmu. Ta wola przejawia się jeszcze w początku naszego stulecia, ale już jej nie na długo. Jej odpływ z literatury i sztuki jest mniej więcej równoległy z rozpowszechnieniem się kroniki filmowej i reportażu, to też szukano przyczyny w tym współzawodnictwie nowych, zastępczych środków ekspresji. Ale prawdziwe przyczyny leżą chyba o wiele głębiej. Człowiek albo jest istotą *podtrzymywaną*, albo sam dla siebie rozwiewa się w mgłę, w miraż. Wiekowi dziewiętnastemu jeszcze starczyło rozpedu nadanego przez chrześcijaństwo żeby człowieka podtrzymać tzn. pojmować los indywidualny jako mający znaczenie. Wyznawcy Człowieka jako Masy, pracowicie lepiąc tzw. literaturę społeczną w latach trzydziestych, łudzili się sądząc, że śmiech Nietzschego ich nie dotyczy. Gdyż jakkolwiek jest nasz gniew i jakiegokolwiek współczucie dla doli uciśnionych, z trudem tylko zdobywamy się na to minimum uwagi, bez którego literatura jest papierem, jeżeli jesteśmy przekonani, że ów człowiek o którego chodzi jest zamienny, bo jest bańką na nurcie „procesów”. Niedarmo dziełem Dostojewskiego, drugiego zapowiadacza „nihilizmu”, rządzi strach przyszłości. Dostojewski nie był psychologiem, był, jak słusznie powiedziano, pneumatologiem, a to duża różnica. *Pneuma* — duch, nie jest tym samym co aparat do zapisywania wrażeń zwany niekiedy duszą, i walka o ocalenie człowieka *pneumatikos*, wbrew zakusom człowieka *psychikos*, godna jest najwyższej stawki. Uważał się Dostojewski za prawdziwego realistę, i był nim, jeszcze mógł nim być, właśnie dlatego.

Mieszkając długo we Francji i w Ameryce, zdumiewałem się widząc, że rzeczywistości, twardej i drapieżnej, jaka mnie otacza, w literaturze tych krajów *nie ma*. Nie żeby warto było zalecać jakieś recepty, bo i one okazały się niemożliwe. Niemało recept stosowano, przysięgając nawet, że będzie się wiernie opisywać to tylko, co naprawdę się zdarzyło, trzymając się „faktów”, i za każdym razem wynikiem był najwyżej naturalizm. A naturalizm to zupełna nierzeczywistość, w przebraniu. Wiązki refleksów dręczą wiązki refleksów, wiązki refleksów spółkują z wiązkami refleksów, wiązki refleksów zabijają wiązki refleksów. Świat nie

ludzi ale much. A jeżeli człowiek jest tylko muchą, to po cóż tak się znowu jego nieszczęściem przejmować? Miara rzeczywistości może być tylko bohater, w którego istnienie i autor i czytelnik wierzy. Dziewiętnastowieczni bohaterowie, tacy jak Rastignac, Raskolnikow, Iwan Karamazow, Fabriccio del Dongo z *Pustelni Parmeńskiej*, dotychczas są. Zastanawiający są bohaterowie, jakich udało się stworzyć zachodnim autorom w ostatnich dziesięcioleciach. Najwybitniejszym jest niewątpliwie młodociany detektyw Tintin z obrazkowych książek dla dzieci, daleko za nim idzie drugi detektyw, dorosły, Maigret Simenona. To w krajach języka francuskiego. Natomiast w krajach języka angielskiego jedna chyba tylko postać naprawdę podbiła czytelników. Jest to Frodo Baggins, bohater *Trylogii pierścieni* Tolkiena, bogatej powieści alegorycznej o walce sił jasności z siłami ciemności, podobnej zresztą, w sposobie prowadzenia narracji, do *Trylogii* Sienkiewicza. Tylko że młody Frodo nie jest nawet dzieckiem człowieczym, jest stworzonkiem fantastycznym, *hobbitem*, który to ludek, marzenie Anglika o sobie samym, mieszka w zacisznych norkach, pije po południu herbatę i zdolny jest, ale tylko jeżeli będzie to absolutnie konieczne, do czynów heroicznych.

Rzeczywistość, żeby dawała się uchwycić, wymaga bohatera, ale wymaga też idei porządkującej. Ta nie musi mieszkać w głowie pisarza, bo przenika go powietrze jego epoki. Wiek dziewiętnasty jeszcze żył wielką nadzieją odrodzenia człowieka. Nie przypadkiem wspominałem o socjalizmie utopijnym, którego znaczenie było ogromne. Dzisiejsze idee sprawiedliwości społecznej obiecują co kto chce, tylko nie to, że uciśnieni uwolnią się spod władzy ludzi-rzeczy, nie są więc dostatecznie podniecające i ten ich niedowład warzy w zarodku opisy, jako że te są nierozłączne z poczuciem kierunku, z dążeniem. Ukryte prawo zjawisk okazuje się tutaj mocniejsze niż życzenia licznych zachodnich zwolenników Rewolucji, których zmysł rzeczywistości zdaje się być w zaniku, tak że nie mogą zdobyć się nawet na tyle rozeznania co tamci z lat trzydziestych.



Jest we wszystkich tych dziełach jakaś aura zbliżającej się powszechnej zagłady: zwłaszcza w Ulissiesie, z jego szyderczą, odi-et-amo, mieszkanką europejskich tradycji, z jego jaskrawym i rażącym cynizmem, z jego symbolizmem nie do zinterpretowania — bo nawet najbardziej żmudna analiza pozwoli najwyżej podziwiać przeplatające się motywy, ale nic nie powie o celu i znaczeniu samego dzieła. I inne powieści, które postępują się wielostronnymi odbiciami w świadomości, przeważnie pozostawiają

czytelnika z uczuciem beznadziei. Jest w nich często coś zbijającego z tropu, coś mętne, coś wrogiego rzeczom, jakie przedstawiają. Nierzadko znajdujemy w nich odwrócenie się od praktycznej woli życia albo przyjemność czerpaną z pokazywania tej woli w jej najbardziej brutalnych przejawach. Jest w nich nienawiść do kultury i cywilizacji, przy użyciu najsztudniejszych stylistycznych chwytów przez kulturę i cywilizację wypracowanych, a nierzadko radykalny i fanatyczny pociąg do zniszczenia. Wspólna prawie wszystkim tym powieściom jest mętność, nieokreśloność znaczeń: właśnie ten rodzaj nie poddającego się interpretacji symbolizmu, jaki spotykamy również w innych formach sztuki tego samego okresu..

Erich Auerbach, *Mimesis*

Książka Auerbacha, o *mimesis* czyli odtwarzaniu rzeczywistości przez literaturę europejskie, poczynając od Grecji, została napisana w latach 1942-1945 w Stambule, gdzie autor znalazł się jako emigrant z Niemiec. Jego spostrzeżenia tutaj zacytowane odnoszą się do lat sprzed II wojny. Ponieważ trafnie ujmują również charakter literatury po wojnie, aż do dziś, z tym, że cechy jakie zauważył jeszcze wyraźniej wystąpiły, nie trzeba lekceważyć ani sądu jego ani jemu podobnych, kiedy stawiają wiek dwudziesty pod znakiem rozkładowego ruchu wykazującego ciągłość.

Raz tylko rodzimy się na ziemi i taki a nie inny czas historyczny jest nam dany. Jeżeli zdajemy sobie sprawę, że wypadło nam żyć w dekadencej epoki, powstaje zagadnienie wyboru taktyki. Skoro człowiek nie jest zwierzęciem i obcuje z całą przeszłością swego gatunku, a nawet ta przeszłość, w miarę jak odkrywa się zapomniane cywilizacje, jest mu coraz bardziej dostępna, nie może nie przygnębiać nas myśl, że zamiast starać się dorównać największym ludzkim osiągnięciom, ulegamy filozofiom podrzędnym, tylko dlatego, że są nam współczesne. Znalazienie właściwej taktyki oporu jest czymś bardzo trudnym i rozwój nasz, godny tego miana, polegać chyba powinien na posuwaniu się od taktyki nieświadomej do taktyki świadomej. Niestety jednostka, jako że wchłania to samo co inni naokoło niej, jest słaba i coraz to zastanawia się czy to nie ona się myli.

Przesadza się utrzymując, że człowiek może się radykalnie zmienić. Ziarno jemu tylko właściwej energii, nazwijmy to przeznaczeniem, pozostaje takie same w złym i w dobrym, w prawdzie i w błędzie, ma on też za zadanie swój zakres, swoją możliwość poprawnie odczytać. Zasadnicze układy w jego życiu się powtarzają, mogą jednak przybierać nową postać. Po II wojnie nie przestałem być „katastrofistą”, w tym sensie, że utrata

poczucia rzeczywistości nadal wydaje mi się zasługiwać na karę. Ale, coraz bardziej świadomie, wybierałem przewodników i to nie wśród przedstawicieli mnie współczesnej tzw. literatury pięknej, utratą poczucia rzeczywistości zarażonej. Świadomie też stroniłem od żalostnego skowytu, dziś już prawie tożsamego ze słowem pisanym. Przekroczywszy pewną granicę, w czym niestety natura rzeczy jest naszą mistrzynią, zaczyna się traktować jako przeszłość i taki skowyt, i cały tzw. teatr absurdu i skazane na niepowodzenie próby tradycyjnego „realizmu”. Pesymistyczna ocena nam współczesnych sił bezwładności oraz literatury i sztuki tym siłom nieświadomie ulegającej, nie jest równoznaczna z niewiarą w indywidualne dokonania ani ze zwątpieniem w odległe zwycięstwo ludzkiego rodu nad tzw. rzeczywistością. Zresztą świadomość, przez epokę schwytna, jest zawsze niepełna i kiedy jej przybywa, potrafimy najwyżej wyraźnie określić czego nie chcemy. I tak być powinno, bo z samej niezgody na to co nam epoka usłużnie podsuwa bierze się nasza gorliwość.

Cóż jest prawda? — zapytał Piłat. Cóż jest rzeczywistość? — zapytują. Na takie pytanie nie należy udzielać odpowiedzi.

Czesław MIŁOSZ

W niedługim czasie w „Bibliotece Kultury”
ukaze się nowy tom

CZESŁAWA MIŁOSZA

pt.

GDZIE WSCHODZI SŁOŃCE I KĘDY ZAPADA

Dziennik pisany nocą

Neapol, 13 grudnia 1973

Po tylu latach *Płomienie* Brzozowskiego. Jak je dzisiaj czytamy, jak odbieramy? Najsamprzód trzeba odgarnąć pakuły gorączki stylistycznej, maniery włożenia słów, podniecania się własną elokwencją. Pozostaje, przynajmniej w zarysowanym śpiesznie kadłubie, książka wnikliwa i chwilami nawet odkrywczą.

W *L'Espoir* Malraux ktoś zauważa: „Człowiek nie może zaangażować w akcję więcej niż pewną część siebie samego; im bardziej totalna staje się akcja, tym mniejsza jest część tego który jest w nią zaangażowany”. *Płomienie* są historią stałej redukcji osobowości w totalnej akcji terrorystyczno-rewolucyjnej. Kaniowski, „złom zastygłej lawy” w pierwszym rozdziale powieści; i „sam ze swoim ludzkim losem” w ostatnim. Klamra obejmuje siedemset stron, na których rozgrywają się próby *narodnowolców* wzbicia się terrorem ponad świat krwi i łez. „Ty śmiesz się skarżyć, któryś narodził się w czasie, gdy człowiek ma w sobie pioruny, gdy już nie szuka nikąd pomocy, gdy sam woła o własne prawo, o rozum, o szczęście, o przyszłość. I ty śmiesz się skarżyć. Ty — Andrzej Żeliabow. Ile wieków przeszło, zanim na świecie stali się możliwi tacy ludzie jak my, ludzie nikomu prócz siebie nie poddani, a za całe społeczeństwo uzbrojeni wolą i myślą... My ludzie-bogowie razem... Dzieło twoje, a żyje jak bóg ponad narodem i idzie w głąb dusz i z ludzi czyni bogów”.

Ludzie-bogowie. „Czy nie straszniejszy był od wszelkiego fantastycznego, krwiożerczego potwora Kibalczyk, który wydał wyrok bezosobisty jak całe życie jego i rozwiązywał zagadnienia śmierci jak zadanie astronomiczne?”. Hryniewiecki, zabójca Aleksan-

dra II, „należał do tych wyjątkowych natur, które zrastają się tak całkowicie z abstrakcyjnymi hasłami, że przestają one być czymś oderwanym dla nich”. Kaniowski o sobie: „Zimny, martwy cień idzie po umarłym mieście. Nie żałowałem nikogo i niczego. Byłem sam. Tak oddalony, odcięty od wspomnień, jakby nie moje były, jakby z jakiejś obcej wyczytane książki”. Ludzie-bogowie „dokonali już całej drogi i czuli, że pomiędzy nimi a życiem jest przepaść”. Gdy „jasna część duszy sprzymierza się z milczeniem nocy”, owocem przymierza jest „jako ostatnia racja chłodna, nieprzemierzona logika topora”.

Ogromny kawał problematyki *L'Homme révolté* żyje w *Płomieniach*. I żyje o ileż autentyczniej, niż u Camusa. Gdyby Brzozowski nie był tak gadatliwy i gorączkowy, gdyby dyscyplina pisarska dorównywała w nim intuicji! Potrafił uchwycić istotę dramatu terrorystycznego, który za zamiar rozrąbania toporem węzłów świata każe „ludziom-bogom” płacić cenę przepaści dzielącej od życia. Widział równocześnie ich wzniosłość, posępną siłę i ich ukrytą słabość, ich człowieczeństwo zbyt jednostronne i zdepersonalizowane, by mogło się obronić przed lodowatym tchnieniem nieludzkości. Co najważniejsze, opisując w roku 1908 rosyjskiego „człowieka zbuntowanego”, dostrzegął jego uniwersalizm (w przeciwieństwie do Conrada, którego „rosyjska” powieść ukazała się w trzy lata później).

W dziewiętnastym wieku i skrawku dwudziestego istniał niepisany kodeks moralny terrorystów, nakazujący podczas zamachów oszczędzać niewinnych. Jak wszystkie kodeksy niepisane, poszedł na śmietnik w imię dumnego postępu. Współczesnej inflacji praw pisanych i ignorowanych towarzyszy rozkwit terrorystycznego bandytyzmu; w akcji totalnej zwyciężyła bez reszty totalność.

18 grudnia

Przed dwoma miesiącami brałem udział w rzymskiej debacie publicznej na temat dysydemtów sowieckich. Świetni uczestnicy — Cattaneo, Ceronetti, Sensini — i mówili rzeczy niby sensowne, a przecież wyszedłem z sali *Palazzo Barberini* przyrzekając sobie w duchu, że nie dam się drugi raz do takiej imprezy wciągnąć. Dlaczego? Skąd to uczucie rozmijania się, niekomunikatywności, w sprawie na pozór prostej i oczywistej? Jak to się dzieje że intelektualista zachodni, mimo najlepszych często chęci, nie jest w stanie wydusić z siebie słów, które byłyby czymś więcej niż formalnym, zdawkowym aktem „solidarności” i „protestu”?

Dziś oglądałem w telewizji analogiczną debatę, przy „okrągłym stole” zasiedli Moravia, Bo i Spriano. Znowu sypały się trociny, znowu to co po angielsku nazywa się celnie *lip-service*. W przerwach między wypowiedziami przesuwiał się na ekranie „materiał dokumentacyjny” — Solżenicyn i Sacharow, Panin i Siniawskij we Francji, Jesienin-Wołpin w Ameryce, Miedwiediew w Anglii, galeria „wariatów państwowych” w sowieckich więzieniach „szpitalnych”, schorowany Amalrik po drugim wyroku — ale jedyny Bo patrzył nań uważnie. I Bo jedynie, z jakimś szczerym i wzruszającym akcentem smutku w głosie, powiedział na zakończenie: „Postarajmy się chociaż wykrzesać w sobie iskierkę wdzięczności wobec ludzi, broniących wartości w które my sami zdajemy się już nie wierzyć”.

Przeszło pół wieku temu, *W oczach Zachodu* Conrada: „Dziwna to rzecz, że nie tylko swoboda, ale nawet zwykły liberalizm poglądów, który dla nas jest sprawą słów, naszej ambicji, czy naszych publicznych wypowiedzi (a jeśli również uczuć, to takich które nie tykają naszych najgłębszych umiowań), może być dla innych istot, zupełnie do nas podobnych i żyjących pod tym samym niebem, ciężką próbą odwagi, sprawą łoż, udręki i krwi”. A w oczach Zachodu teraz? Dziwna to rzecz, żenująca i trochę irytująca, że tam nadal sprawą udręki i łoż są zwykłe wartości, z których my wciąż jeszcze korzystamy przestawszy w nie od dawna na serio wierzyć...

20 grudnia

Z nudów przerzuciłem *Soviet Espionage* Dallina, nagle aż mnie poderwało. Po „likwidacji” Ignacego Reissa w Szwajcarii (wrzesień 1937) Jacquillard, dyrektor lozańskej *Sûreté*, zawiadomił policję francuską że w morderstwie wmieszany jest „agent NKWD w Paryżu, Sergiej Jefron”. Francuzi schowali raport pod sukno, Jefronowi udało się przez Hiszpanię uciec do Rosji.

Sergiej Jefron, mąż Cwietajewej. Powrót miał więc i taką podszewkę. Jestem przekonany że Maryna nie wiedziała o prawdziwych funkcjach Jefrona za parawanem działalności w emigracyjnym stowarzyszeniu, które propagowało *wozwraszczenie na rodzinu*. Właśnie dlatego, kiedy przewrócił się parawan, zawahała się w trzydziestym siódmym? I właśnie dlatego, nie mogąc dłużej znieść dwuznacznej sytuacji, wróciła w końcu w trzydziestym dziewiątym? Podobno w Ameryce wyszła dobra książka Karlinskiego o Cwietajewej, muszę ją sobie sprowadzić. Jest coś obsyjnego w moim zainteresowaniu losem poetki rosyjskiej.

23 grudnia

Według Pascala nasze myśli są zawsze zajęte przeszłością i przyszłością; prawie nigdy nie myślimy o teraźniejszości. Nigdy zatem nie żyjemy, lecz wciąż mamy nadzieję żyć.

Nie w tym rzecz, że za dużo myślimy o przeszłości i przyszłości; byłoby źle, gdybyśmy myśleli mniej. I nie jest prawdą, że prawie nigdy nie myślimy o teraźniejszości; myślimy o niej bez daru uwagi. Nieszczęściem jest nasza niezdolność do maksymalnego napięcia uwagi w obliczu teraźniejszości; umiemy ją ostro zobaczyć kiedy jest już za późno, jako przeszłość. Różne bywają stopnie niedowidzenia teraźniejszości; przy gwałtownych zdarza się odczuwać przelotnie, i bezradnie, jakby całkowite zaćmienie naszego wzroku. Niegdyś w tym zaćmieniu wężono zapach siarki.

28 grudnia

W rozmowach, w prasie, Apokalipsa wypiera bez pardonu Alienację. Odżywa moda na Eliota, coraz częściej cytuje się strofę zamykającą *Wydrążonych ludzi*.

*I tak się właśnie kończy świat
I tak się właśnie kończy świat
I tak się właśnie kończy świat
Nie hukiem ale skomleniem.*

Różnice zdań w apokaliptycznych dyskusjach sprowadzają się do pytania, czy rzeczywiście kończy się po eliotowsku „skomleniem”, czy też usłyszemy jednak (lub usłyszą nasze dzieci) wielki finał z „hukiem”. Efektowniejszy jest metaliczny *bang* (można na dodatek trzepnąć do wtóru pięścią w stół) niż dychawiczny *whimper*, lecz prorocstwo Eliota wygląda na znacznie bardziej realne. Trochę skomlenia tu, trochę skomlenia tam, potem chóralne skomlenie powszechne, i po całym kramie. Mimo to, czyjegoś nagłego warknięcia przedśmiertnego, a więc i huku, zupełnie wykluczać nie wolno.

Gdy pod naciskiem Apokalipsy wychodzi z obiegowego nadużycia Alienacja, mam ochotę poświęcić jej pożegnalną kartkę dziennika. W roku 1964 amerykański krytyk literacki Gerald Sykes wydał opasłą antologię *Alienation*, dwa tomiska które dostałem jako jeden z (żyjących) autorów, wepchniętych do alienacyjnego worka. Człowiek wyalienowany — wobec czego albo

kogo? Wobec Boga? Natury? Społeczeństwa? Samego siebie? Sykes nie jest we wstępie do antologii zanadto pomocny: „Większość ludzi nie rozumie co znaczy alienacja. Kiedy stykają się z tym słowem, na ich twarzach maluje się wyraz zakłopotania, strapienia bądź przestachu. Dla nielicznych natomiast jest już ono stereotypem, przeładowanym stroniczymi skojarzeniami. Zdawałoby się, że wielką księgę o alienacji wypada zacząć od definicji. Nie. Lepiej traktować alienację jak tajemnicę, która we właściwym czasie odłoni się doświadczeniu”. Ze stu wybranych przez antologię tekstów dwa dają takie doświadczenie w sposób wyjątkowy, niezależnie od tego czy rozumie się co znaczy alienacja, i czy w ogóle trzeba się do niej uciekać dla nazwania po imieniu tajemnicy. *Płaszcz* Gogola i *Bartleby the Scrivener* Melville’a.

Gogol napisał *Płaszcz* w roku 1841, Melville swoje opowiadanie około roku 1856. Basmaczkin i Bartleby są tak uderzająco spowinowaceni, że pewnie w przyszłości jakiś rozgarnięty doktorant połasi się na bliższe zestawienie w uczonej dysertacji z kupą odnośników. Basmaczkin jest kopistą, niezdolnym do niczego poza przepisywaniem. Bartleby jest kopistą, który każde inne polecenie pryncypała zbywa krótkim i kategorycznym: „wolałbym nie”. Są obaj bezgranicznie samotni w wielkim mieście — Basmaczkin w Petersburgu, Bartleby w Nowym Jorku (nowela Melville’a ma podtytuł *A Story of Wall Street*). Jedyną żywą istotą w życiu Basmaczkina jest nowy płaszcz (Wittlin wspomina, że w przedwojennej tuwimowskiej przeróbce scenicznej opowiadania Gogola bohater na przyjęciu przynosi swój płaszcz do salonu i sadza go obok siebie w fotelu). Bartleby nie posiada nawet takiego towarzysza, ledwie kończą się jego zajęcia skryby, gapi się godzinami przez okno na mur po przeciwnej stronie ulicy. Są martwi za życia. W pięknym szkicu *Tragiczny Gogol* Wittlin nazywa Basmaczkiną „martwą duszą” i dodaje, że „jego dusza ożyła dopiero po śmierci”. Dla Nabokowa żywy Basmaczkin to jego duch, straszący nocą na ulicach Petersburga. Bartleby ożywa nieco, gdy odmawia dalszego przepisywania i jak uparty, nieruchomy duch samego siebie straszy w urzędzie. Umiera wreszcie psią śmiercią, zwinąwszy się w kłębek pod murem. Wychodzi na jaw że zanim został kopistą, pracował w waszyngtońskim *Dead Letter Office*, pocztowym biurze listów niedoręczonych z powodu śmierci adresatów. *Dead letters! does it not sound like dead men?* Melville kończy opowiadanie okrzykiem: *Ab Bartleby! Ab humanity!* Identyczny okrzyk pasowałby dobrze do historii Basmaczkina.

Co my zwykliśmy określać mętym i workowatym mianem Alienacji było, w genialnych nowelach Gogola i Melville’a, prze-

czuciem nadchodzącej samotności absolutnej w wielkich ludzkich skupiskach. Czemu więc Alienacja daje się wypierać, skoro samotność rośnie raczej niż maleje? Z samotnością jest jak ze słońcem i śmiercią w słynnej maksymie La Rochefoucauld: *Le soleil ni la mort ne se peuvent regarder fixement*. W czasach rosnącej niepovstrzymanie samotności wizja Apokalipsy jest naszym ostatnim uczuciem zbiorowym, stadnym.

30 grudnia

Z okazji stulecia *Biesów* Pietro Citati odgrzebuje zdanie Dostojewskiego: „Pozwalamy by cała bieżąca rzeczywistość uciekała nam sprzed nosa; kto dojrzy fakty, kto się w nich pograży?”. I to także miałem na myśli, pisząc o naszym kalectwie „niedowidzenia terażniejszości”.

Maisons-Laffitte, 6 stycznia 1974

Z winy chronicznych strajków poczty włoskiej, jawnych lub ukrytych, od miesięcy nie widziałem prasy krajowej. Więc odrabianie zaległości.

KTT, mały kocmołuch z *Kuchni Polskiej* w nadwiślańskiej *Kulturze*, dostał polecenie ugotowania zupy na gwoździu. Najpierw trochę wody (brudnej i dobrze posolonej): Jerzy Giedroyc jako „emigracyjny politykier, dla którego wszystko razem znaczy tyle, co sztony w dawno zresztą już przegranym politycznym bakaracie”; jego współpracownicy jako „szulerzy grający niezgrabnie znaczonymi kartami” (nie grzeszy mały kocmołuch nadmiarem inwencji w inwektywach). Potem gwoździe, czyli „sprawa Gombrowicza”. Łobuzerkę w *Miesięczniku Literackim* uważa „kuchcik polski” za podanie *Dziennika* Gombrowicza publiczności krajowej na srebrnym talerzu w „dowcipnie zakamuflowanej formie”. Z czego wynika że ma o „dowcipie” pojęcie ściśle urzędowe, które w polskiej garkuchni pozwala przyrządzać zupę na gwoździu jedyną ostrą ingrediencją ze słoiczka *Szpilek*. Na szczęście nie wszyscy w Polsce zupę z taką „dowcipną” przyprawą lubią: w liście do „emigracyjnego politykiera”, podpisanym przez Parandowskiego i Bartoszewskiego, „Zarząd Polskiego PEN Clubu stoi na stanowisku nienaruszalności praw autorskich zgodnie z zasadami Karty PEN Clubu i powszechnie obowiązującymi normami prawnymi” (list dotyczy właśnie gombrowiczowskiej misyfikacji w *Miesięczniku Literackim*).

Ale to są „śmieszne detaliki” (jakby zapewne powiedział

mały kocmołuch), gęsta para nad zupą na gwoździu układa się w dwa argumenty „poważne”.

Pierwszy: „Żaden zagraniczny autor ani żaden zagraniczny wydawca nie stawiał nigdy polskiemu wydawnictwom takich (jak Rita Gombrowicz i Giedroyc — przypisek mój) warunków. Nie stawiał, bo nie zamierzał stosować politycznego szantażu. Wydawaliśmy więc dzieła prozatorskie Steinbecka, nie wydawaliśmy jego reportaży z Wietnamu, gdzie chwalił męstwo i waleczność amerykańskich interwentów. Wydawaliśmy Sartre’a, lecz nikt nie zmuszał nas, abyśmy razem z *Ladacznicą z zasadami* wydawali jego maoistowskie manifesty”. Ślicznie, tylko mały kocmołuch zapomina że Gombrowicz był pisarzem emigracyjnym, i że w całej „sprawie” chodzi o wydawanie pełnych bądź okrojonych dzieł Gombrowicza w jego kraju ojczystym. Gdyby zaś kuchcik z warszawskiej *Kultury*, pouczony przez kuchmistrza z *Twórczości*, wątpił czy Gombrowicz był rzeczywiście pisarzem emigracyjnym, niech sobie przeczyta jego słowa podyktowane dwa dni przed śmiercią: „Nie byłem, prawdę mówiąc, obywatelem żadnego kraju bo kondycja moja była kondycją emigranta. Zarzucano mi ją nawet, ale jestem z niej bardzo dumny. Uważam że każdy szanujący się artysta musi, i to pod wieloma względami, być emigrantem”. Brak zatem wszelkich analogii, a w postaci czysto hipotetycznej istniałyby one od biedy w sytuacjach następujących. Sartre, po zdobyciu władzy we Francji przez komunistów obrządku sowieckiego, ucieka powiedzmy do Pekinu i stamtąd daje zgodę na wystawienie w Paryżu *Ladacznicy z zasadami*, nie dopominając się o druk „maoistowskich manifestów”. Rodzina Steinbecka, po zwycięstwie komunistów w wyborach amerykańskich, osiedla się powiedzmy w Australii i stamtąd daje zgodę na druk w Stanach „dzieł prozatorskich” zmarłego, z pominięciem jego reportaży z Wietnamu.

Argument drugi: „*Dzienniki* Gombrowicza są utworem bardzo złożonym. Nie brak w nich myśli głębokich i zapładniających. Ale nie brak także zwyczajnej antysocjalistycznej propagandy politycznej, porachunków osobistych pisarza, wreszcie skrzywionej, wypaczonej przez długie lata emigracyjnych dobrowolnych gorczy, perspektywy w spojrzeniu na nasz kraj... (Tu mały kocmołuch, na dowód że wśród pisarzy trafiają się takie godne ubolewania przypadki, cofa się erudycyjnie w przeszłość, wskazując skrzywienia oraz wypaczenia Dostojewskiego i Balzaka)... Wielkość pisarza nie zawsze idzie w parze z jego polityczną mądrością, o czym wie każdy rozsądny czytelnik, a także każdy wydawca. Zapytajmy więc całkiem otwarcie: czy jest na świecie wydawca, który nagle, ni stąd ni zowąd, wydrukuje paszkwil na siebie samego? Taki wydawca nie istnieje, a u nas, tak czy owak,

wydawcą jest Państwo Polskie". Cudownie, tylko mały kocmoch (nie chce mi się wierzyć że był niegdyś beniaminkiem Słomimskiego) przeocza że „na świecie” działają na ogół wydawcy prywatni, i że wobec tego żaden z nich nie ma potrzeby mocowania się po nocach z dramatycznym dylematem, czy ni stąd ni zowąd wydrukować paszkwil na samego siebie; nie ma potrzeby z nader prostej przyczyny, że „na świecie” pisarze nie znajdują nic osobliwie pociągającego i ciekawego w paszkwilach na wydawców. Natomiast w „naszym kraju” (i w innych krajach „socjalistycznych”) niejednego pisarza świerzbiałaby ręka do wysmażenia paszkwilu na Wydawcę, cóż kiedy „u nas” tak czy owak Wydawcą jest Państwo Polskie. O tym kto w pielęgnowanym przez „naszego” Wydawcę ogrodzie literatury polskiej jest różą a kto chwastem, kogo lub co należy wyplewić a kogo lub co obficie podlewać i użyźniać nawozem naturalnym, wyrokuje na „naszym” lokalnym szczebelku towarzysz Kwiatek*. I w tym właśnie sęk (a raczej prawdziwy gwóźdź, na którym być może kuchcik polski, uwolniony na chwilę bodaj od nadzoru Szefa garkuchni, ugotowałby znacznie pożywniejszą i mniej postną zupę).

7 stycznia

W *Twórczości* listopadowej *Rzeczy stare i nowe* Jacka Bocheńskiego, kto wie czy nie najlepszy szkic opublikowany ostatnio w kraju (nawiasem mówiąc, czas pożegnać się przy wartościowaniu z podziałem na gatunki, dwudziestopięciostronicowy esej autora *Boskiego Juliusza* jest więcej wart od iluż kilometrowych i obcmokiwanych powieści krajowych).

Z wielu inteligentnych i śmiałych refleksji Bocheńskiego jedna jest szczególnie uderzająca: „Nie chcielibyśmy bynajmniej powiedzieć, że nasza trudność identyfikacji psychologicznej z przeszłością stąd się tylko bierze i na tym kończy, że nie rozumiemy życia w ustroju niewolniczym. Otóż nie. Z rozumieniem niewolnictwa nie byłoby jeszcze najgorzej. Także świat nowożytny zna obozy koncentracyjne, getta, katorgę, nierówność z powodu pochodzenia, *apartheid* i tortury. Lecz jest pewna różnica. Człowieka współczesnego można trzymać w niewoli i można mu zadawać mękę, a jednak, robiąc to, trzeba koniecznie twierdzić, że robi się nie to właśnie, lecz coś innego. Nawet tak programowy organizator nowożytnego niewolnictwa, jakim był Hitler, nie

* Patrz „Poszerzone tezy towarzysza Kwiatka” w bieżącym numerze *Kultury* (R e d.).

chciał nazwać rzeczy tradycyjnie po imieniu. Wskrzyszono samą instytucję, ale nomenklatura została zmieniona. Jak wiadomo, do prac przymusowych w Trzeciej Rzeszy jeździli z krajów podbitych rzekomi ochotnicy, praktyki Oświęcimia usiłowano przedstawić jako przedsięwzięcia wychowawcze, a na bramie widniał napis *Arbeit macht frei*. Musiał być jakiś powód, że ten skądinąd zdumiewająco szczery w swej filozofii i pozbawiony skrupułów moralnych system, gdy przywracał niewolnictwo w dwudziestym wieku, wolał udawać iż tworzy jednak coś nowego, i potrzebował w tym celu nowej frazeologii. A przecież Portugalczycy, łowiąc Murzynów w stuleciu szesnastym, wcale frazeologii takiej nie potrzebowali. Kiedy jeszcze na półtora wieku przed Hitlerem zwożono niewolników do Ameryki, nikomu nie przyszło do głowy, że należałoby ich inaczej nazwać”.

Chodzi naturalnie o typowe dla współczesnego totalizmu szalbierstwo semantyczne i językowe. Nie darmo w Polsce interesowano się książką Wiktora Klemperera o języku Trzeciej Rzeszy, chociaż samej książki nie udało się wydać. Czytam teraz w manuskrypcie, przygotowując się do napisania przedmowy, studium Michała Hellera *Świat obozów koncentracyjnych a literatura sowiecka*. Refleksja Bocheńskiego przystaje jak ułóż do analizy pracy niewolniczej w ZSSR u Hellera. Retuszu wymagałby tylko zwrot: „ten system skądinąd zdumiewająco szczery w swej filozofii”. Ostatnim względnie szczerym sformułowaniem filozofii systemu sowieckiego było chyba zdanie Trockiego, zacytowane przez Hellera: „Jeżeli praca przymusowa okaże się niewydajna, to możecie postawić krzyżyk na socjalizmie”.

8 stycznia

Turniej „powtórek i przecen” w prozie polskiej urządziły *Teksty*. Redaktor zarezerwował dla siebie „przecenę” *Popiołu i diamentu*. Doskonałe jest określenie Błońskiego: „powieść interwencyjna”. Andrzejewski spreparował nazajutrz po wojnie swoisty apel powieściowy: do zwycięzców, żeby poczuli się mniej zwycięzcami; do pokonanych, żeby poczuli się bardziej pokonanymi. Gdy powieść dotarła do Londynu, napisałem o niej surowy artykuł pod tytułem *Realizm kierowany*. Dzisiaj tragedią Andrzejewskiego jest to, że poślinione egzemplarze *Popiołu i diamentu* objijają się pod pulpitemi ławek szkolnych, a pokiereszowany przez cenzurę za zgodą autora rękopis *Miazgi* leży w szufladzie biurka bez widoków na wydanie.

Natychmiast po przyjeździe do Laffitte przekartkowałem *Archipelag Gułag*, wczoraj zabrałem się do powolnej lektury, kil-

kanaście stronic co wieczór. Widziałem kiedyś w telewizji migawkę z życia Sołżenicyna na *daczy* Rostropowicza: wychodził z komóreczki między drzewami, twarz kamienna i obrośnięta brodą, zmierzwiona czupryna, koszula wyrzucona na spodnie, pod pachą gruby kajet z wetkniętym ołówkiem. Należy go podobnie czytać, przesuwając codziennie po staroświecku trochę dalej zakładkę ołówka.

13 stycznia

Okropny dzień w Paryżu, ziab i deszcz, zmokłem w ogonku przed *Orangerie* (wystawa Braque'a), zrezygnowałem w końcu i poczłapałem w błotku do metra, na stacji mój prywatny *mielkij bies* chwycił mnie za mokre włosy i zawlókł do kina na *Pierwszy krąg*.

Po kinie, w pociągu do Laffitte, zdrzemnąłem się chwilkę i miałem błyskawiczny sen, dowodzący że drzemie we mnie okrucieństwo. Przyśniło mi się mianowicie, że jestem władcą absolutnym i rozparty w fotelu sprawuję sąd.

— Kto napisał scenariusz do *Pierwszego kręgu*?

— Aleksander Ford, Panie i Władco.

— Uciąć mu prawą rękę (jeżeli napisał prawą). Kto nakręcił *Pierwszy krąg*?

— Ford, Panie.

— Uciąć mu lewą nogę (jeżeli nakręcił lewą). W czyjej głowie powstał w ogóle pomysł sfilmowania powieści Sołżenicyna?

— Forda, Panie.

— Uciąć mu głowę.

Księgując obecnie ten sen, widzę że jestem również utajonym sadystą, skoro mogłem być przecież zacząć od głowy i tym głównym pytaniem skrócić męki podsądnego. A właściwie ukrytym masochistą, jeśli zabrakło mi sił, by wyszarpnąć się ze szponów sołogubowskiego kusiciela.

14 stycznia

Zdażyłem zobaczyć wystawę Braque'a (zamknęli ją dzisiaj), ale notatki odkładam do wolniejszych dni w Neapolu. Potem z T. na *Wesele* Kijowskiego i *Wajdy*. Dobry film, miejscami nawet i dobry i ładny. Tylko dlaczego kojarzył mi się ciągle z *Trans-Atlantykem* Gombrowicza?

23 stycznia

Nowy tom publicystyki Stefana Kisielewskiego *Materii pomieszczenie* zawiera trzy pozycje, które zapaliły czerwone światło w siedzibie gryzoniów na ulicy Mysiej: recenzje z książki Arskiego o Piłsudskim (1963) i z książki Schaffa *Marksizm a jednostka ludzka* (1966), oraz artykuł *Miłość do kultury* (1950). Dwie pierwsze nie budzą dziś większego zainteresowania, nie z winy autora zresztą. W KDL (albo w „naszym kraju”, mówiąc stylem KTT) umarli jadą szybko, kto jeszcze pamięta jakimi potentatami byli w swoim czasie Arski i Schaff? Zdumiewające zjawisko, Kisielewski zwrócił mi na nie uwagę parę lat temu w Paryżu, powołując się na przykład Kotta.

Z pożytkiem za to czyta się po ćwierćwieczu niemal mądry artykuł *Miłość do kultury*, chociaż nie łatwo jest bez dłuższego namysłu zrozumieć co w nim zaostrzyło ząbki gryzoniom na ulicy Mysiej. Wywód na pozór w pełni cenzuralny, w każdym razie nie eksplozywny: że prawdziwa miłość do kultury oznacza miłość do jej całokształtu, wyklucza zamykanie się w „specjalizacyjnych” opłotkach. Gdzie tu dynamit? Jest dynamit i można go dojrzeć, jeśli się nigdy nie traci z oczu podstawowej cechy socjalizmu: tego że jest systemem *par excellence* korporacyjnym. Czeski filozof marksistowski Karel Kosik pisał podczas „praskiej wiosny” w książeczce *Nasz obecny kryzys* o korporacjonizmie społecznym. Kisielewski wiele lat wcześniej wskazywał ostrożnie — podejrzewam jednak, i podejrzewali prawdopodobnie cenzorzy, że był to klasyczny *tonkij namiok na tołstoje obstojatelstwo* — groźbę korporacjonizmu duchowego i kulturalnego. Bo, rzecz jasna, kluczowym słowem w artykule jest „całokształt”.

Gustaw HERLING-GRUDZIŃSKI

Archipelag Gułag

OD REDAKCJI

W chwili gdy marcowy numer Kultury był już przygotowany do druku wraz z artykułami o „Archipelagu Gułag”, Aleksander Solżenicyn został siłą wydalony z ZSSR. Fakt banicji wielkiego pisarza nie wpływa zupełnie na aktualność napisanych uprzednio artykułów. Jako ich uzupełnienie podajemy jedynie komunikat sowieckiej Agencji TASS:

„Dekretem Prezydium Najwyższej Rady ZSSR Solżenicyn A. I. (Aleksandr Issajewicz) został pozbawiony obywatelstwa sowieckiego na skutek systematycznie prowadzonej działalności, niezgodnej ze statutem obywatela sowieckiego i przynoszącej szkodę ZSSR. 13 lutego 1974 został on wysiedlony z granic ZSSR. Rodzina Solżenicyna będzie mogła mu towarzyszyć, jeżeli uzna to za stosowne”.

Okazuje się ponadto, że 13 lutego rano Moskwa zwróciła się najpierw do rządów brytyjskiego i francuskiego z zapytaniem czy byłyby gotowe przyjąć Solżenicyna. Ponieważ nie było odpowiedzi, amb. sowiecki w Bonn, Falin, zwrócił się o godz. 11-ej do Urzędu Kanclerskiego skąd otrzymał szybko pozytywną odpowiedź Brandta. Dopiero wtedy samolot Aeroftotu jadący do Frankfurtu dostał pozwolenie startu. Opóźnienie samolotu wyniosło 4 i pół godziny, przez cały czas pasażerów trzymano w samolocie, Solżenicyna wprowadzono w ostatniej chwili pod strażą i umieszczono w 1-szej klasie izolując go całkowicie od reszty.

Heinrich Böll, do którego został odwieziony Solżenicyn po wylądowaniu we Frankfurcie, dowiedział się o tej „wizycie” ostatni. Był bowiem na spacerze kiedy ok. godz. 12-ej powiadomiono o wszystkim jego sekretarce.

Archipelag

Zbrodnia obrazy człowieczeństwa znieprawia narody aż do najdalszych pokoleń. Zbrodnia ta nie polega jedynie na uprawianiu niesprawiedliwości, lecz na jej tolerowaniu; naród, który pod pretekstem, że posłuszeństwo jest enotą najwyższą, przekazuje swym potomkom w spadku tyranie nie tylko działa wbrew własnym interesom; postępuje gorzej: nie wypełnia swego obowiązku.

A. de Custine, *La Russie en 1839*.

28 grudnia 1973 roku w Paryżu ukazało się rosyjskie wydanie książki Solżenicyna „Archipelag GUŁag”*. W nocie od autorskiej datowanej „wrzesień 1973” czytamy: „Przez lata, ze ściśniętym sercem wstrzymywałem się od wydrukowania tej gotowej już książki: zobowiązanie wobec jeszcze żyjących ważyło więcej, niż zobowiązanie wobec umarłych. Teraz jednak, gdy książka ta wpadła w ręce organów bezpieczeństwa nie pozostaje mi nic innego, jak opublikować ją niezwłocznie”.

Ze wstępu do książki dowiadujemy się, że Solżenicyn pracował nad „Archipelagiem GUŁag” od 1958 do 1967. Z wypowiedzi autora w tekście (str. 476) wynika, że całość składać się ma z 7 części; opublikowany tekst zawiera jedynie dwie pierwsze: „Przemysł więzienniczy” i „Wieczny ruch”. Wydany tekst zawiera kilka odsyłaczy do cz. III, w której ma zostać m.in. omówiona powojenna pseudo-amnestia stalinowska; z innej znów wzmianki wiadomo, że właściwy opis łagrów zacznie się dopiero w cz. IV. W wypowiedzi z 18. 1. br. Solżenicyna (*International Herald Tribune*, 19/20. 1. 74) mowa o cz. III, IV i V, ale o tym czy całość „Archipelagu” znajduje się w gotowej formie i kiedy zostanie wydana, na razie nie wiadomo.

Tytuł książki jest metaforą: rosyjski skrót GUŁag (*Głównoje Uprawlenie Lagerej*) jest nazwą departamentu sowieckiego MWD, który był naczelną władzą wszystkich obozów pracy — rozsianych na terytorium ZSSR jak wyspy archipelagu.

Materiał książki, poza własnymi losami autora, stanowią przeżycia 227 innych świadków, wymienionych niekiedy z nazwiska, niekiedy przy pomocy inicjałów. Nazwisko i losy jednego ze

* Aleksandr Solżenicyn, *Archipelag GUŁag 1918-1956*, Opyt chudo-zestwennogo issledowania, I-II; YMCA-Press, Paris 1973; 606 str.

świadków, występującego w książce jako Aleksandr D. zostały zidentyfikowane przez prasę amerykańską; jest to b. pracownik ambasady amerykańskiej w Moskwie, Aleksander Dolgun, aresztowany w Moskwie na ulicy w 1948, który spędził 8 lat w więzieniach i łagrach oraz 15 lat na zesłaniu; obecnie znajduje się w Stanach Zjednoczonych.

Ważny materiał pochodzi z oficjalnych publikacji sowieckich różnych lat. Najczęściej cytowane są: M. Ja. Łacis: „2 goda borby na wnutrennom fronte”, GIZ, Moskwa 1922; N. W. Krylenko: „Za piat' let” (1918-1922) (Obwinitelnye reczi po naibolee krupnym processam...), GIZ, Moskwa-Petrograd 1923; Sbornik Instituta Ugołownoj Politiki, pod red. Wyszinskogo: „Ot turem k wospitatelnym uczerzdeniam”, Izd-wo 'Sowetskoe zakonodatelstwo', Moskwa 1934; *Dziela Lenina* (wyd. V).

Słowo wstępne Sołżenicyna kończy się zdaniem: „Materiału do tej książki dostarczyło też TRZYDZIESTU SZEŚCIU pisarzy sowieckich z MAKSYMEM GORKIM na czele — autorów haniebnej książki o Kanale Białomorskim, po raz pierwszy w rosyjskiej literaturze wystawiającej pracę niewolniczą”.

Formę literacką „Archipelagu GUŁag” określić można jako reportaż oparty na schemacie „podróży” przez świat łagrów; zastosowany został podział na następujące po sobie etapy: aresztowanie, śledztwo, więzienie, transport, łagry przejściowe, pobyt w łagrze. Opublikowany tekst omawia etapy wstępne do obozów tranzytowych (*'peresyłek'*) włącznie.

Relacja toczy się dwoma torami: jednym jest opis własnych losów autora od momentu aresztowania go na froncie w Prusach Wschodnich w lutym 1945 (27-letni wówczas Sołżenicyn był kapitanem, dowódcą baterii, był dwukrotnie dekorowany i miał za sobą 4 lata służby; aresztowano go za krytyczne uwagi o Stalinie w listach do przyjaciela); drugim wątkiem są relacje innych świadków — z różnych lat i różnych stron Archipelagu — oraz ekskursy historyczne. Czysto historyczny charakter ma rozdział 2, część I, pt. „Historia naszej kanalizacji” — bardzo skondensowana (niemniej jest to najdłuższy rozdział w książce) próba klasyfikacji „strumieni” aresztowanych, zasilających Archipelag. Strumieni różnego typu były setki; sławna czystka 1937-1938 była jedną z wielkich rzek. Była najgłośniejszą, choć może nie największą („... dziś tworzy się nowy mit. Każde drukowane opowiadanie, każda opublikowana wzmianka o roku 37-ym jest nieodmiennie opowieścią o tragedii rządzących komunistów [...] ... ale nie mogli oni stanowić ani 10 procent MILIONÓW wtedy

zabranych”). Były dwie inne jeszcze rzeki. Pierwsza — „dobry Ob” — zabrała w latach 1929-30 ok. 15 milionów tzw. rozkułaczonych chłopów; ostatnia — „dobry Jenisej” — w latach 1944-46 składała się z wysiedlonych narodowości i b. jeńców. Oczywiście obok rzek płynęły strumienie — stale. „PUSTYCH więzień nie było u nas nigdy — były tylko albo pełne, albo niezmiernie przepelnione”.

Tenże rozdział zawiera też dokładny opis artykułu 58-ego kodeksu karnego z 1926 roku, dotyczący przestępstw przeciwko państwu; jego 14 paragrafów stanowiło legalną operację większości aresztowań. (Większości — ponieważ np. operacja rozkułaczania, którą Sołżenicyn określa nie tylko jako największą zbrodnię Stalina, ale „w ogóle największą zbrodnię w dziejach ludzkich” — odbywała się bez uzasadnień prawnych).

„Ostrze artykułu 58-tego wypróbowano już w 1927 roku, a z pełnym rozmachem i świsem zastosowano je w ataku Prawa na Naród w latach 1937-38. [...] ... że sadzano niewinnych? Zapomnieliśmy dodać, że samo pojęcie winy zostało przez rewolucję proletariacką zlikwidowane, a z początkiem lat 30-tych uznano je za *prawicowy oportunizm!*”.

Rozdziały 1 i 3, cz. I, („Aresztowanie” i „Śledztwo”) mają mieszany, reportażowo-historyczny charakter; rozdz. 4 poświęcony jest personelowi policyjnemu („... dziesiątki tysięcy specjalnie tresowanych ludzi-bestii”). Rozdz. 5 „Pierwsza cela — pierwsza miłość” opisuje pobyt Sołżenicyna w więzieniu po zakończeniu śledztwa i losy kilku jego współwięźniów; rozdz. 6 „Ta wiosna” poświęcony jest „strumieniowi” tego okresu: jeńcom, własowcom, emigrantom rosyjskim (ściągniętym z okupowanych krajów); rozdział ten kończy się sceną odczytania wyroku, wydanego zaocznie przez OSO (*Osoboje Sowieszczenie*) — rodzaj kolegium sądowego, bez rozprawy wydającego wyroki, od których nie było odwołania, ponieważ nie było instancji nadrzędnych — OSO „podlegały tylko Ministrowi Spraw Wewnętrznych, Stalinowi i szatanowi”. Sołżenicyn dostał 8 lat łagru, na owe czasy już wyrok „dziecinny”.

Tu następuje w reportażu dłuższa przerwa; rozdz. 8, 9 i 10 są przeglądem wszystkich głośniejszych procesów politycznych w Związku Sowieckim, od 1918 aż po sławetne procesy moskiewskie lat trzydziestych.

Przegląd ten ujawnia ich cechy wspólne, poczynając od pierwszego z nich, przeciw pismu *Russkie Wiedomosti* (zał. 1864) — w marcu 1918 pismo zostało oskarżone (i zamknięte) o „oszczerstwo” polegające na wydrukowaniu artykułu Sawinkowa,

w którym przypomniał, iż Lenin et Co. przyjechali w 1917 roku *via* Berlin, tzn. przy współdziałaniu Niemców. Dalsze procesy — przeciw duchownym prawosławnym, socjalistom, inżynierom (Lenin do Gorkiego, 1919 — „*inteligencja to nie mózg narodu, a jego gówno*”) — miały za podstawę jeszcze mniej uzasadnione oskarżenia. Ich charakter alegalny, służebny wobec polityki partii jest wyraźny od samego początku. Wczesne procesy odbywały się zresztą jedynie na podstawie tzw. sumienia rewolucyjnego, ponieważ pierwszy kodeks wprowadzono dopiero 1 czerwca 1922 roku. Kodeks ten uwzględnił życzenia Lenina: „... rozszerzyć stosowanie rozstrzeliwania..., ... formułować możliwie najogólniej..., tylko rewolucyjne sumienie i wyczucie mają precyzować warunki stosowania [sankcji] w praktyce...”. Kodeks wprowadzono specjalnie z okazji wielkiego procesu eserów (rewolucyjnych socjalistów). W 1919 roku bolszewicy ogłosili uroczystą „amnestię” dla partii eserów — niemniej proces 1922 roku zakończył się 14 wyrokami śmierci. Nikt nie protestował, szczególnie nikt spośród bolszewików. „I czemuż to się potem tak zdziwili w 1937 roku? Na co się skarżyli? [...] Czyż wszystkie podstawy bezprawia nie zostały zbudowane zawczasu? — najpierw pozasądową rasprawą Czeki, potem przez te wczesne procesy i ów młodociany kodeks. Czyż rok 1937 nie był CELOWY (zgodny z celami Stalina, a może i Historii)?... Tylko pierwszy zamach kosą jest trudny”.

Rozdz. 11 — „Najwyższy wymiar kary” — jest historią kary śmierci w Rosji przed i po rewolucji. W końcu XIX wieku — w okresie nasilenia działalności terrorystów — przeciętnie wykonywano w Rosji 11 wyroków śmierci (włącznie z przestępcami kryminalnymi) — rocznie. W okresie 1918-19, według oficjalnych danych ilość egzekucji przewyższała 1000 — miesięcznie. W okresie 1937-38 według ostrożnych obliczeń rozstrzelano ok. miliona ludzi, w tym pół miliona więźniów politycznych.

Podobnie niekorzystnie dla okresu porewolucyjnego wypadła porównanie warunków pobytu w więzieniu (rozdz. 12 — ostatni w części I — pt. „Kara więzienia”); rozdział ten jest szczegółową historią ograniczania praw więźniów, zwłaszcza politycznych.

Część II książki składa się tylko z czterech rozdziałów. Rozdział 1 „Okręty archipelagu” omawia transport (do 35-36 więźniów w przedziale więziennego „stołypina” — *powinien się nazywać „stalinem”*), dodaje Sołżenicyn; pragnienie; gwałty, dokonywane przez przestępców kryminalnych). Rozdz. 2 — „Porty archipelagu” — poświęcony jest obozom tranzytowym.

Transport do właściwych obozów — lub miejsc, gdzie więź-

niowie musieli obozy zakładać — opisany jest w rozdz. 3 pod wymownym tytułem: „Karawany niewolników”. Ostatni rozdział tej części: — „Z wyspy na wyspę” — nawraca do własnych losów Sołżenicyna i opisuje jego ponowny pobyt w więzieniu na Butyrkach po rocznym pobycie w łagrze — w drodze na *szaraszkę*, tzn. do oddziału dla specjalistów, opisanego w powieści „Krag pierwszy”.

Książka pisana jest bardzo rzeczowo, choć nie beznamiętnie. Przeważa ton gorzkiej ironii. Jest niezwykle interesująco napisana — w sensie literackim słowa „interesująco”; zawiera nawet sceny komiczne. Wyraźnie czuje się w niej obecność Sołżenicyna — mimo ogromu krzywdy ludzkiej w niej zawartej, jest to uspokajające poczucie znajdowania się w towarzystwie mądrego człowieka. Czytanie jej jest przeżyciem.



„Archipelag GUŁag” jest wydarzeniem bez precedensu zarówno ze względu na gwałtowność oskarżenia, jak i na jego zakres. Jest pierwszym wewnątrzrosyjskim protestem skierowanym w same podstawy reżymu. Dlatego budzi taką wściekłość. To już nie „błędy i wypaczenia Stalina”, a raczej — „o podstawach leninizmu”. Stanowisko swoje najzwężlej ujmuje Sołżenicyn w przypisku na przedostatniej stronie książki: „I ja, w latach przedwieziennych i więziennych, uważałem przez długi czas, że fatalny zwrot w dziejach naszej państwowości spowodował Stalin. Ale oto Stalin cicho umarł — i czy kurs statku tak bardzo się zmienił? Jego osobistym, własnym wkładem w bieg rzeczy był ponury idiotyzm, bezmyślny upór i samochwalstwo. Poza tym stapał wyraźnie wytyczonym tropem”.

Rozdział: „Historia naszej kanalizacji” (str. 37-103) jest rekonstrukcją tego tropu. Nie sposób ją streścić; podam tylko kilka punktów orientacyjnych:

- listopad 1917: partia kadetów (konstytucyjno-demokratyczna) postawiona poza prawem;
- styczeń 1918: Lenin wzywa do „*oczyszczenia ziemi rosyjskiej ze szkodliwego robactwa*” (definicja „możliwie najogólniejsza”);
- 1919: pojawia się termin „przykadecka inteligencja” (z wiadomymi konsekwencjami);
- 1921: początek operacji Wielki Pasjans. Obejmował on wszystkich obywateli, którzy kiedykolwiek należeli do jakiegokolwiek innej niż bolszewicka partii; *żaden... nie uszedł swego losu*”. Część uwięziono, część zesłano, części dano — na razie

- minus (minus tyle a tyle miast, w których wolno im mieszkać). Operacja trwała latami: ci z minusem szli do więzień, ci z więzień na zsyłkę, ci z zsyłki na minus... „*Podstawą operacji była cisza i niezwracanie uwagi*”.
- 1922: atak na cerkiew. Pojawia się też termin „profilaktyka społeczna” — likwidacja grup niepożądanych na wyrost;
- 1927: pojawia się termin „szkodnictwo” — strumienie inteligencji technicznej;
- 1928: likwidacja NEP-u, czyli nepmanów;
- 1929: „gorączka złota”, sadzają każdego, kto mógłby mieć złoto; początek „rozkułaczania”: termin „kułak” oznaczał — jak pisze Sołżenicyn „wszystkich mocnych gospodarzy — mocnych w gospodarstwie, mocnych w pracy, mocnych w przekonaniach”; w 1930 pojawia się termin „podkułacznik”, oznaczający teoretycznie stronnika kułaków, praktycznie: dowolnego chłopca.
- 1932: początek „szkodnictwa” na wsi: za „kłoski” (ścianane w nocy, nożyczkami, przez dzieci) — 10 lat łagru (w 1947 podniesiono do 20);
- 1935: na Archipelag idzie m.in. jedna czwarta mieszkańców Leningradu;
- 1937-38: wiadomo;
- 1939: trochę zwolnień „ofiar jeżowszczyzny”, ok. 1-2 %; „... wypadek w dziejach Organów niewiarygodny, plama na ich historii...” — ta kopiejka z rubla służy jako argument: że resztę posadzono słusznie. W tymże czasie „dwa małe, zapomniane strumienie — żon, które nie wyrzekły się uwięzionych mężów; 30.000 Czechów, którzy uszli przed Niemcami do bratniego, słowiańskiego kraju (oto skąd się wziął podczas wojny 'korpus czechostowacki')”.

„A zaraz, czyż w 39-tym nie podaliśmy pomocnej dłoni zachodnim Ukraincom, zachodnim Białorusinom, a potem w 40-tym — krajom nadbałtyckim i Mołdawianom? Nasi bracia okazali się jednak zupełnie niedoczysty — więc popłynęły stamtąd potoki profilaktyki społecznej. Brano zbyt zamożnych i wpływowych, a przy tym zbyt samodzielnie myślących, zbyt rozgarniętych, zbyt wybitnych; na dawnych terenach polskich brano szczególnie gęsto Polaków (to wtedy napełnił się nieszczesny Katyń, to wtedy w północnych łagrach powstał silos pod późniejszą armię Sikorskiego-Andersa). Wszędzie brano oficerów. Tak przemieszana ludność pograżała się w milczenie, pozbawiona potencjalnych przywódców oporu. Tak przebiegała lekcja prawomyślności, zanikały dawne więzy, dawne znajomości”.

- 1940: wojna fińska; b. jeńcy na Archipelag („*pierwsza pró-*

- ba... „*pierwsza próba w ogóle w dziejach ludzkich! I o dziwo, tego też nie dostrzeżliśmy!*”);
- 1941: wojna z Niemcami; wielkie cofanie się, w pośpiechu pozostawia się na Litwie całe dywizyjony artylerii, „*ale udało się wywieźć paru tysięcy rodzin politycznie niepewnych Litwinów*”. [...] „*Zapomniano wywieźć całe twierdze, jak brzeską, ale nie zapomniano rozstrzelać więźniów politycznych w celach i na dziedzińcach we Lwowie, Równem, Tallinie i wielu innych więzieniach na zachodzie. ... Jak to sobie wyobrazić? — ty nie wiesz o niczym, a tu otwierają się drzwi celi i do ciebie strzelają. Krzyczysz w agonii — a nikt, oprócz więziennych głazów, nie usłyszy i nie opowie*”.
- Na tyłach sadzają „siewców plotek” i tych, co nie oddali odbiorników i części radiowych (10 lat za jedną lampę); sadzają wszystkich Niemców (z bohaterami wojny domowej włącznie); armia na Dalekim Wschodzie „*nie rozumiała, że cofając się po 120 km. dziennie powtarzamy po prostu manewr Kutuzowa. Ułatwić zrozumienie mógł jedynie strumień z Armii Wschodniej. I usta stężały, a wiara się stała żelazną*”.
- 1943-46: ci co byli pod Niemcami; ze względu na wielkość zajętych obszarów nie dało się w s z y s t k i c h: „*nie należy jednak zapominać, że jeden tylko procent od jednego tylko miliona daje tuzin pełnokrwistych łagrów*”; poza tym: Kałmucy, Czeczeńcy, Ingusze, Kabardyńcy, Tatarzy.
- 1945: b. jeńcy, własowcy, dawni emigranci;
- 1946-47: ponad milion uciekinierów sowieckich, wydanych przez aliantów; trochę Polaków z AK, Rumunów i Węgrów. Poza tym i między innymi: dzieci emigrantów hiszpańskich z 1936, które w międzyczasie podrosły.
- 1948-49: ci, co przeżyli wyroki z 1937 roku, dostają automatycznie nową *dziesiątkę*; również ich dzieci — ewentualni „mściciele”. Atmosfera roku 1937.
- 1950: m.in. greccy powstańcy Markosa, wydani przez Bułgarię (zemsta za przegranie wojny w Grecji).
- 1953: „sprawa lekarzy”, przygotowanie do rozprawy z Żydami. „*Według pogłosek moskiewskich plan Stalina był następujący: w początkach marca „lekarze-mordercy” mieli zostać powieszeni publicznie na Placu Czerwonym w Moskwie. Wzburzeni patrioci spontanicznie (pod kierunkiem instruktorów) mieli rozpocząć pogrom żydowski. I wtedy rząd (widać rączkę Stalina, co?) wielkodusznie ratując Żydów przed gniewem ludu miał ich tej samej nocy wysiedlić z Moskwy na Daleki Wschód i na Syberię (gdzie już przygotowywano baki)*”.
- Był to jedyny plan Stalina, który się nie udał — Chorąży

zmarł 5 marca. „*Jak się zdaje — dorzuca Sołżenicyn — za sprawą rąk ludzkich*”.



Sołżenicyn zrywa z rozpowszechnionym a głupawym komunałem typu: „idea piękna, tylko ludzie niestety ją wypaczyli...”; z jego ironicznych uwag na temat Naszej Przodującej Teorii, dialektyki („*której nie pozwalamy stosować ani zwykłym obywatelom, ani — obecnie — maszynom elektrycznym, bo dla nich 'tak' musi być 'tak', a 'nie' — 'nie'*”) i rewolucji („*zamiast się brać do rewolucji lepiej by wprawdzie w Rosji pluskwy...*”) widać jego nastawienie do tej mitologii. Odpowiedź na pytanie: kto winien — ludzie czy system? — brzmi: system oraz ludzie, podtrzymujący go.

„Żeby czynić zło, człowiek musi traktować je jako dobro lub jako sensowne działanie, zgodne z prawem. Szczęśliwie, natura człowieka jest tak stworzona, że poszukuje uSPRAWIEDLIWIENIA własnych postępów. [...] Ideologia! — ona to daje poszukiwane usprawiedliwienie złych czynów i niezbędną złoćwicy zaciekłość. Owa ogólna teoria, która pozwala mu wybielić swoje postępowanie we własnych oczach i w oczach innych, i powoduje, że zamiast wyrzutów i przekleństw słyszy tylko pochwały i wyrazy czci. Tak inkwizytorzy krzepili się chrześcijaństwem, konkwistadorzy — chwałą ojczyzny, kolonizatorzy — cywilizacją, naziści — rasą, jakobini (oryginalni i późniejsi) — równością, braterstwem i szczęściem przyszłych pokoleń.

Dzięki IDEOLOGII w wieku XX-ym zbrodnia stała się udziałem milionów. Nie da się jej zaprzeczyć, pominąć, przemilczeć — jak śmiałybyśmy zatem twierdzić, że nie ma — zbrodniarzy? A któż unicestwił te miliony? Bez zbrodniarzy — nie byłoby Archipelagu”.

I Sołżenicyn domaga się ukarania winnych:

„W Zachodnich Niemczech do roku 1966 osadzono OSIEMDZIESIĄT SZEŚĆ TYSIĘCY przestępców hitlerowskich (a we Wschodnich — jakoś nie słychać, czyli przekwalifikowali się, ceni się ich w służbie państwowej) — a my aż się zachłystujemy, nie żałujemy miejsca w gazetach ani czasu radiowego, my jeszcze i po pracy zostaniemy na zebraniu i uchwalimy: MAŁO, 86 tysięcy — mało! i 20 lat — mało! kontynuować!

A u nas osadzono (według danych Kolegium Wojskowego Sądu Najwyższego) — około DZIESIĘCIU LUDZI. Co się dzieje za Odrą, za Renem — to nas boli. Ale to co za żywoplotami ogrodów pod Moskwą, pod Soczi, to, że mordercy naszych mężów i ojców jeżdżą po naszych ulicach, a my im ustępujemy drogi — to nas nie boli, to nas nie obchodzi, to się nazywa — 'grzebanie się w przeszłości'.

A między nami mówiąc, gdyby zachodniemieckie 86 tysięcy zastosować proporcjonalnie u nas, to byłoby CWIERC MILIONA!

[...] Oczywiście ci, którzy kręcili korbką tej maszyny do mięsa, choćby nawet w 1937-ym, nie są już młodzi, mają od pięćdziesięciu do osiemdziesięciu lat, najlepsze swe lata spędzili w dostatku, sytości, komforcie — na jakąkolwiek karę TEJ SAMEJ MIARY już za późno, już ich nie dosięgnie.

Ale bądźmy wspaniałomyślni, nie będziemy ich rozstrzeliwać, poić słoną wodą, pakować między pluskwy, tłuc w 'łapkę', trzymać przez tydzień na stojąco bez snu, kopać, bić gumowymi pałkami, ścisnąć im czaszki żelazną obręczą, upychać w celi jak bagaż, by leżeli jedni na drugich — nic z tego, co robili oni! — Ale naszym obowiązkiem wobec naszego kraju i naszych dzieci jest WSZYSTKICH ODNALEŹĆ i WSZYSTKICH OSĄDZIĆ! Nie tyle osądzić ich, ile ich zbrodnie. Doprowadzić do tego, by chociaż każdy z nich powiedział na cały głos: — Tak, byłem oprawcą i mordercą!

[...] Nie karząc, nawet nie piętnując zbrodniarzy nie tylko darujemy im ich nikczemną starość, ale także usuwamy młodym pokoleniom spod nóg wszelkie podstawy sprawiedliwego porządku. Dlatego to rosną 'w znieczulicy', a nie z powodu 'braków w pracy wychowawczej'. Młodzież się uczy, że podłość nigdy na świecie nie bywa ukarana, a w dodatku zawsze przynosi korzyści.

Niesamowicie, strasznie będzie żyć w takim kraju!”



Sołżenicyn nie lekceważy wzajemnego powiązania w splocie: człowiek — system, lecz traktuje ten spłot jako hybrydę, w której decyzja i odpowiedzialność znajdują się po stronie ludzkiej. Innymi słowy uznaje prymat moralności nad polityką (por. zjadliwą uwagę na temat komunistycznego liczmanu: 'postawa moralno-polityczna' — „*Jest takie wyrażonko. Kolor błękitno-błotnisty*”). Zło jest dla niego „wielkością progową”, przekroczeniem linii „*dzielącej dobro od zła, przebiegającej wpoprzek każdego ludzkiego serca*” — ale linia ta bywa przekraczana i wtedy dzieje się coś, przypominającego zmianę stanu w świecie fizycznym. Katalizatorami zła, na którym wyrósł Archipelag, są — zdaniem Sołżenicyna — chęć władzy i tchórzostwo. Niekiedy połączone w tych samych ludziach. Tym tłumaczy Sołżenicyn rozwój wypadków w Rosji po rewolucji. Gdy likwidowano socjalistów, trockiści przyglądali się temu z aprobatą; gdy likwidowano trockistów — bolszewicy uznali rzecz za normalną; gdy likwidowano jednych bolszewików, inni milczeli. Trudno wymierzyć, ile w tym było ideologii, ile zawiści, ile tchórzostwa. W związku z tzw. zagadką procesów moskiewskich Sołżenicyn podważa mit „mocarności” bolszewików:

„Trudność zrozumienia [samooskarżeń w procesach moskiewskich] płynęła głównie stąd, że to przecież starzy rewolucjoniści, nieugięci w carskich lochach, że to zahartowani, okrzepli, wytrawni, itd. bojownicy. Zwykła pomyłka. To nie byli *tamci* starzy rewolucjoniści, sława ta dostała im się w spadku, od sąsiadów: narodników, eserów, anarchistów. *Tamci* — zamachowcy i konspiratorzy — bywali na katorgach, siedzieli w więzieniach — choć *porządnego*, nieubłaganego śledztwa nie zaznali i oni (bo go w Rosji w ogóle nie było). *Ci* natomiast nie wiedzieli ani co to śledztwo, ani co to więzienie. Bolszewicy nigdy nie trafiali do żadnych szczególnych 'lochów', na żaden Sachalin, na żadną ciężką katorgę jakucką. Wiadomo o Dzierżyńskim, że jemu dostało się najciężej, że całe życie spędził w więzieniach. Ale według naszej skali odsiedział *normalną dziesiątkę*, zwyczajną *dychę*, jak pierwszy lepszy kołchoźnik w naszych czasach; wprawdzie w tej dziesiątce były trzy lata katorgi, ale i to żadne cudo.

Wodzowie partii, których nam pokazano w procesach 36-38 mieli w swym stażu rewolucyjnym krótkie i lekkie wyroki więzienne, niedługie zesłania, a katorgi nawet nie powąchaliby. Bucharin był niejednokrotnie na krótko aresztowany, ale to były żarty; nigdy nie odsiedział pełnego roku, na zesłaniu nad Onegą siedział króciutko. Kamieniew, przy swej długiej pracy agitacyjnej i rozjazdach po wszystkich miastach Rosji, spędził w więzieniu 2 lata i 1 i pół roku na zesłaniu. U nas szesnastoletnim smarkaczem dawano od razu PIĘĆ. Zinowiew, aż śmiech bierze, NIE PRZESIEDZIAŁ ANI TRZECH MIESIĘCY! nie miał ANI JEDNEGO WYROKU! W porównaniu z szeregowymi tubylcami naszego Archipelagu — *niemowlęta*, pierdła nie widzieli. Rykowa i I.N. Smirnowa aresztowano po kilka razy, przesiadzieli po 5 lat, ale więzienie schodziło im dziwnie łatwo, ze wszystkich zsyłek bez trudności uciekali, albo podpadali pod amnestię. Do momentu zamknięcia na Łubiance pojęcia nie mieli ani o prawdziwym więzieniu, ani o kleszczach nieubłaganego śledztwa. (Nie ma powodu sądzić, że gdyby w kleszcze te dostał się Trocki, to zachowałby się mniej uniżenie, że kręgosłup jego okazałby się mocniejszy: nic na to nie wskazuje. Jego doświadczenie też obejmowało tylko lekkie więzienie, nie przeszedł żadnego poważnego śledztwa, spędził dwa lata na zesłaniu w Ust'-Kut. Aura grozy Trockiego jako przewodniczącego Rewolucyjnej Rady Wojskowej dostała mu się tanio i o rzeczywistym harcie nie świadczy: kto wielu kazał rozstrzelać — jeszcze jak mięknie w obliczu własnej śmierci! Te dwa rodzaje twardości nie idą w parze). A Radek — to był prowokator (i nie on jeden we wszystkich trzech procesach!) A Jagoda — pospolity opryszek. [...] ...nasz brak zrozumienia wynika tylko z wiary w niezwykłość tych ludzi. Przecież przy szeregowych zeznaniach szeregowych obywateli nie łamiemy sobie głowy: czemuż to tyle psów nawieszali na siebie i innych? — przyjmujemy to jako rzecz zrozumiałą: człowiek jest słaby, człowiek się łamie. A Bucharina, Zinowiewa,

Kamieniewa, Piatakowa, I.N. Smirnowa z góry uważamy za nadludzi — i tylko dlatego nie możemy pojąć.

Wydaje się co prawda, że reżyserem przedstawienia trudniej przyszło skompletować wykonawców niż w poprzednich procesach przeciw inżynierom: tam dobierało się z czterdziestu kadzi, a tu zespół mały, głównych aktorów wszyscy znają i publiczność domaga się, żeby grali właśnie oni.

Ale opór jednak był! Najbardziej dalekowzroczni i zdecydowani spośród przeznaczonych na zagładę nie dali się zamknąć, popełnili samobójstwo przed aresztowaniem (Skrypnik, Tomskij, Gamarnik). Dali się aresztować ci, którzy *chcieli żyć*. A z takiego, co chce żyć można powrozy kręcić!... Ale i pośród nich niektórzy w czasie śledztwa zachowali się inaczej, zreflektowali się, uparli, zginęli bez śladu, ale przynajmniej i bez hańby. Oto dlaczego nie pokazano na otwartych procesach Rudzutaka, Postyszewa, Enukidze, Czubara, Kosiora, a nawet i Krylenki, chociaż ich nazwiska przydałyby tym procesom blasku. Pokazano najbardziej miękkich!"



Przegląd „metod” śledztwa w rozdz. 3 cz. I, kończy Sołżenicyn słowami: „*Blizni mój! Nie potępiaj tych, którzy dostawczy się tu, załamali się i podpisali to, czego nie należało... Nie rzucaj w nich kamieniem*”. Ale pisząc o procesach moskiewskich dodaje: „*Żadna z ofiar bolszewików od 1918 do 1936 nie zachowała się tak nikczemnie, jak czołowi bolszewicy, gdy padł na nich strach*”. Sołżenicyn tłumaczy to ich brakiem przekonania, brakiem własnego punktu widzenia. Bucharin, gdy pętla już zaciskała się wokół niego, troszczył się jedynie o to, by nie wykluczono go z partii. Piękny przykład lojalności i dyscypliny?... *Słabość* — zdaniem Sołżenicyna. Wspominając swe własne lata oficerskie autor „Archipelagu GUŁag” z niesmakiem opisuje swój entuzjazm i radość w chwili, gdy znalazł się w armii: „*ULGA UPROSZCZENIA...*”. A brak własnego światopoglądu — własnego naprawdę — uniemożliwia zajęcie jedynej, jego zdaniem, skutecznej postawy: heroizmu.

„Należy wchodzić do więzienia nie rozpaczając po pozostawionym za sobą ciepłym życiu. Należy powiedzieć sobie na prog: życie się skończyło, trochę za wcześnie, ale nie ma rady. Na wolność nie wrócę już nigdy. Czeka mnie tylko zagłada — teraz lub trochę później, ale później będzie nawet trudniej, więc lepiej wcześniej. Nie mam już nic. Bliscy umarli dla mnie — i ja dla nich umarłem. Moje ciało jest dla mnie od dziś bezużyteczne, obce. Tylko dusza i sumienie zachowują dla mnie wagę i cenę. — I przed takim aresztowanym śledztwo się ugnie. Ten tylko może zwyciężyć, kto wyrzekł się wszystkiego”.

To nie jest program popularny; dostępny jest tylko nielicznym. Sołżenicyn wyrzuca sobie, że sam w 1945 nie był dostatecznie twardy, choć udało mu się uniknąć wciągnięcia w swą sprawę innych. Dziś, wobec faktu ukazania się „Archipelagu”, nie można wątpić, że jest to jego własny program. Sołżenicyn naprawdę wyrzekł się wszystkiego.



Chciałbym podnieść tu punkt, łatwy do przeoczenia przez czytelników zachodnich. Sołżenicyn przemawia jako patriota rosyjski, wstrząśnięty nie tylko ilością ofiar fizycznych. Półwiecze, opisane w „Archipelagu”, jest wypełnione zbrodnią, powiększoną o *obelę*. Komunizm nie tylko cofnął Rosję w jej rozwoju ku normom społeczeństw cywilizowanych, nie tylko zamienił ten kraj w azjatycką rzeźnię, ale w dodatku napełnił ją po brzegi ponurym błaznieniem. Książka Sołżenicyna obfituje w sceny, gdzie spod szyderstwa narracji przebijają normalna wściekłość człowieka z poczuciem własnej godności, któremu zamieniono życie w przymusową grę fałszywymi kartami.

„Oto jak bywało, obrazek tych lat. Toczy się (w okręgu moskiewskim) konferencja partyjna. Przewodniczy jej nowy sekretarz komitetu powiatowego, wyznaczony na miejsce niedawno *posadzonego*. Pod koniec zebrania uchwalona zostaje rezolucja na ręce towarzysza Stalina. Wszyscy, ma się rozumieć, wstają (tak jak i w czasie zebrania zrywali się za każdym razem na nogi, gdy padło to imię). W maleńkiej salce rozlegają się 'burzliwe oklaski, przechodzące w owację'. Trzy minuty, cztery minuty, pięć minut — oklaski są wciąż burzliwe i wciąż przechodzą w owację. Ale już bolą dłonie. Już zdrętwiały podniesione ramiona. Już starsi się zasapali. Już wszystko to jest nie do wytrzymania idiotyczne, nawet dla szczerych wielbicieli Stalina. Aliści: — kto ośmieli się przestać *pierwszy*? Mógłby to zrobić sekretarz, który stoi na trybunie, który odczytał przed chwilą rezolucję. Ale on jest nowy, przyszedł na miejsce posadzonego, on sam się boi! Przecież tu na sali stoją i klaszczą enkawudziści i tylko patrzą, *kto* pierwszy przestanie!... I tak w nieznaną nikomu maleńkiej salce, niesłyszane przez wodza oklaski ciągną się 6 minut! 7 minut! 8 minut!... Zginęli! Przepadli! Nie mogą już przestać, dopóki nie padną z pękniętym sercem! Jeszcze w głębi, w tłoku, można troszkę oszukiwać, bić rzadziej, nie tak mocno, nie tak entuzjastycznie — ale w prezydium, na widoku?! Dyrektor miejscowej papierni, mocny, samodzielnie myślący człowiek, stoi w prezydium i zdając sobie sprawę z całego zakłamania, z całej rozpaczliwości tej sytuacji — klaszcze! 9-tą minutę! 10-tą! Z troską spogląda na sekretarza, ale ten boi się przerwać. Pow-szechnie szaleństwo! Popatrując na siebie ze słabą nadzieją, ale

nie tracąc wyrazu ekstazy na twarzach, czołowi działacze powiatu będą klaskać dopóki nie padną, dopóki nie zaczną się ich wynosić na noszach! A i wtedy pozostali nie drgną!... I dyrektor papierni w 11-ej minucie przybiera zdecydowany wyraz twarzy i siada na swoim miejscu w prezydium. I — o, dziwo — gdzieś podział się powszechny, nieopisany, nieopanowany entuzjazm? Wszyscy jak jeden mąż przerywają na tym samym oklasku i siadają. Wybawieni! Wiewiórka wyskoczyła z kręcącego się koła!...

Ale tak właśnie poznaje się samodzielnie myślących. Tak właśnie się ich wyławia. Też nocy dyrektora fabryki aresztują. Motają mu lekko dziesięć lat za coś innego. Ale po podpisaniu § 206 (końcowego protokołu dochodzeń) śledczy dorzuca:

— A na przyszłość: nigdy nie przestawajcie klaskać pierwsi!



W zakres otwartej przez Sołżenicyna sprawy rosyjskiej — bo to jest sednem „Archipelagu” — wchodzi też sprawa rewindykacji prawdziwej historii Rosji. Prócz rozlicznych kwestii bardziej szczegółowych (np. sprawy *z a m o r d o w a n i a* Sawinkowa na Łubiance) książka porusza kilka kompleksów zagadnień, stanowiących dotychczas tabu. Jednym z nich jest prawdziwa historia *emigracji* rosyjskiej.

„Rosyjska emigracja, rozproszona bardziej niż plemiona izraelskie, o ile według naszej sowieckiej wersji w ogóle jeszcze egzystowała, to tylko jako zbiorowisko barmanów podłych spelunek, lokajów, praczek, żebraków, morfinistów, kokainistów i dogorywających trupów. Do chwili wybuchu wojny 1941 nic w naszej prasie, górnej beletryście i krytyce nie pozwalało domyślać się (a nasi syci mistrzowie nie ułatwili nam tego), że Rosyjska Zagranica jest wielkim światem duchowym, że rozwija się tam rosyjska filozofia, działają Bułhakow, Bierdiajew, Łoskij, że sztuka rosyjska zadziwia świat, że są tam Rachmaninow, Szaljapin, Benoit, Diagilew, Pawłowa i chór kozacki Żarowa, że prowadzi się tam głębokie studia nad Dostojewskim (naówczas całkiem u nas wyklętym), że istnieje niezwykły pisarz Nabokow-Sirin, że jeszcze żyje Bunin i co napisał w ciągu tych dwudziestu lat, że wydaje się pisma artystyczne, wystawia sztuki, że zbierają się zjazdy współziomków, dźwięczy mowa rosyjska, a emigranci nadal żenią się z Rosjankami-emigrantkami, a te rodzą im dzieci, czyli naszych rówieśników.

Wyobrażenie o emigracji, jakie u nas wyrobiono, było tak kłamliwe, że gdyby przeprowadzić ankietę, na temat: po której stronie walczyli emigranci w wojnie hiszpańskiej? a w drugiej wojnie? — wszyscy odpowiedzialiby chórem: po stronie Franco! po stronie Hitlera! U nas nie wiadomo do dziś, że znacznie więcej białych emigrantów walczyło po stronie republikańskiej. Że zarówno dywizje Własowa jak i korpus kozacki von Pannewitz'a

(„krasnowski”) składały się z obywateli sowieckich, a bynajmniej nie emigrantów — ci nie szli do Hitlera [...]. W czasie okupacji Francji bardzo wielu emigrantów, starych i młodych, wstąpiło do Ruchu Oporu, a po wyzwoleniu Paryża tłumnie walili do sowieckiego poselstwa składać podania o powrót do ojczyzny. Jakakolwiek Rosja — byle Rosja — oto było ich hasło, i tym dowiedli, że i przedtem nie kłamali swej miłości do niej. W więzieniach lat 45-46 byli niemal szczęśliwi, że te kraty i ci dozorcy — to swoje, rosyjskie; ze zdumieniem patrzyli na sowieckich chłopaków, drapiących się w głowy: „po diabłaśmy wracali? złe nam było w Europie?”

Drugim tabu, naruszonym przez Sołżenicyna, jest sprawa własowców. Jest to nazwa zbiorcza — i Sołżenicyn często używa jej w cudzysłowie — ponieważ obejmuje wszystkie formacje, walczące po stronie niemieckiej, a złożone z obywateli sowieckich. W istocie były one dość zróżnicowane, m.in. pod względem narodowościowym — nie jest to bez znaczenia dla zrozumienia motywacji tych ludzi i Sołżenicyn to podkreśla: „*Pierwsi poparli Niemców Litwini (zdrowo im nasoliliśmy w ciągu roku!); później z Ukraińców stworzono ochotniczą dywizję SS-Galizien; później — oddziały złożone z Estończyków; jesienią 1941 pojawiły się kompanie policyjne na Białorusi; a na Krymie — batalion tatarski. (I wszystko to posialiśmy sami! Na przykład na Krymie — naszą głupią dwudziestoletnią nagonką przeciw meczetom, zamykaniem i burzeniem ich [...])*”.

Chcę tu poświęcić więcej miejsca stanowisku Sołżenicyna w tej sprawie, ponieważ 1) — Polska ucierpiała na skutek działań tych formacji i o sympatię do nich trudno; 2) — główny atak komunistyczny na Sołżenicyna skierowany jest na jego „obronę własowców”. Ustęp rozdz. 6 cz. I traktujący o tym temacie jest zbyt długi, by przytoczyć go w całości; przytoczę jednak najistotniejsze fragmenty. Na początek istotne *polonicum* (str. 263) — w obszernym odnośniku Sołżenicyn podkreśla perfidną grę niemiecką, polegającą na stworzeniu mirażu Rosyjskiej Armii Wyzwolenczej, której w istocie nie było prawie do końca wojny: I dodaje:

„Gorzej jeszcze: w październiku 1944 roku Niemcy rzucili brygadę Kamińskiego (wraz z oddziałami muzulmańskimi) do zdławienia powstańczej Warszawy.

Podczas gdy jedni Rosjanie zdradziecko drzemali za Wisłą, przyglądając się zagładzie Warszawy przez lornetki, inni Rosjanie tłumili powstanie. Za mało rosyjskiego zła dostało się Polsce w XIX wieku — jeszcze i krzywe noże wieku XX musiały się tu wbić (i czy już wszystkie? czy już ostatnie?)”.

Sprawę „własowców” traktuje Sołżenicyn jako część sprawy jeńców sowieckich w ogóle. Uważa, że sowieccy żołnierze zostali

zdradzeni przez swój kraj, i to zdradzeni trzykrotnie: kiedy wysłano ich do walki źle uzbrojonych, pod złym dowództwem, w sytuacji zaskoczenia, spowodowanej polityką rządu; kiedy miliony jeńców („*których pierściami zostało zatrzymane pierwsze uderzenie*”) pozostawiono własnemu losowi, odpisano na straty i pozwolono zdychać z głodu w niemieckiej niewoli; kiedy uznano ich za zdrajców ojczyzny i po powrocie posłano na Archipelag. Większość jeńców o tym odżegnaniu się wiedziała, choć nie chciała temu wierzyć („*bo jak, po ludzku, można się czegoś takiego spodziewać?...*” — dodaje Sołżenicyn). Jedynym wyjściem z niemieckich obozów było zgłoszenie się do pracy — lub do niemieckiego wojska.

„Niekiedy przyjeżdżali szczęśliwie pełnomocnicy *Bezirk*’ów rolniczych i werbowali parobków dla Bauerów; z firm przemysłowych wybierano inżynierów i robotników. Według najwyższego stalinowskiego imperatywu należało i tu zataić, że jesteś inżynierem, ukryć, że jesteś wykwalifikowanym robotnikiem. Jako konstruktor czy elektryk zachowałeś czystość ideologiczną tylko pozostając w obozie, żeby kopać ziemię, gnić i ryc się w odpadkach. W tym wypadku — za czystą zdradę ojczyzny — z dumnie podniesioną głową mogłeś liczyć na dziesięć lat plus pięć kagańca (pozbawienia praw). Natomiast za zdradę ojczyzny, obciążoną pracą dla wroga i w dodatku w swojej specjalności, z opuszczoną głową dostawałeś — dziesięć lat plus pięć kagańca.

To była ta jubilerska subtelność hipopotama, którą tak odznaczał się Stalin!

Ale przyjeżdżali jeszcze werbownicy całkiem innego rodzaju — Rosjanie, zazwyczaj niedawni czerwoni politrucy, ponieważ białogwardziści do tej roboty nie szli. Werbownicy urządzali w obozie mityng, wyklinali na władzę sowiecką i wzywali do zapisywania się do szkół szpiegowskich lub oddziałów własowców.

Kto nie głodował tak jak nasi jeńcy, kto nie pożerał nietoperzy które zaplątywały się do obozu, nie gotował wywaru ze starych zelówek — ten nie potrafi zrozumieć, jakiej mocy przekonywającej nabiera jakiegokolwiek wezwanie, gdy za bramą obozu dymi kuchnia polowa i każdego zgłaszającego się karmią natychmiast kaszą do syta — choćby tylko raz! jeden jedyny raz jeszcze w życiu!

Ale oprócz parującej kaszy w wezwaniach werbownika był miraż wolności i normalnego życia — dokądkolwiek by nie werbował [...]. Człowieka, którego doprowadziliśmy do tego, że pożera nietoperze — my sami zwolniliśmy z wszelkich zobowiązań; nie tylko wobec ojczyzny — wobec ludzkości. [...]

Z naszą propagandową topornością objaśniano zachowanie się tych ludzi: 1) — zdradą (biologiczną? krążącą w żyłach?) i 2) — tchórzostwem. Otóż: wszystko, tylko nie tchórzostwo!

Tchórz idzie tam, gdzie może liczyć na pobłażanie, litość. A do „własowskich” oddziałów Wehrmachtu przywieść ich mogła jedynie skrajna bezwyjściowość, jedynie bezgraniczna rozpacz, jedynie paląca nienawiść do sowieckiego reżymu, jedynie pogarda dla własnego życia. Wiedzieli bowiem: tu nie będzie ani krzty zmiłowania! W naszej niewoli rozstrzelivano ich natychmiast, gdy tylko padło pierwsze artykułowane słowo rosyjskie z ich ust. W rosyjskiej niewoli, tak jak i w niemieckiej, najgorzej było Rosjanom.

Ta wojna w ogóle wykazała, że najgorzej na świecie jest być Rosjaninem [...].

I wszystko to przewidywali, wiedzieli zawczasu — a jednak naszywali na lewy rękaw niemieckiego munduru tarczę z biało-niebiesko-czerwoną wypustką, krzyżem św. Andrzeja i literami ROA [*Russkaja Oswoboditielnaja Armia*]. Mieszkańcy okupowanych terenów gardzili nimi jako niemieckimi najmitami, Niemcy — gardzili nimi za ich rosyjską krew. Ich żałosne gazetki były obrobione tasakiem niemieckiej cenzury: Pangermania i Führer. Toteż własowcom nie pozostawało nic, jak tylko walka na śmierć i życie, a w przerwach wódka i wódka. SKAZANI NA ZAGŁADĘ — oto czym była ich egzystencja przez wszystkie lata wojny i tułaczki, a żadnego wyjścia nie było. [...] Liczni „własowcy”, podobnie jak i „tymczasowi szpiegzy” byli młodymi ludźmi, urodzonymi w latach 1915-1922, tymi których skwapliwy Łunaczarski pozdrawiał w imię Puszkina. Większość dostała się do formacji wojskowych przez taki sam przypadek, przez jaki w sąsiednim obozie towarzysze ich wstąpili w szeregi szpiegów — zależało od tego, jaki werbownik akurat przyjechał.

Werbownicy tłumaczyli im szyderczo — szyderczo, gdyby to nie była prawda! — „Stalin się was wyrzekł!”, „Stalin ma was gdzieś!”.

Sowieckie prawo postawiło ich poza prawem wcześniej, nim oni siebie postawili poza sowieckim prawem.

I oni — zapisywali się... Jedni — byle wyrwać się z obozu śmierci. Inni — licząc na to, że przejdą do partyzantów (i przechodzili! i walczyli potem wraz z partyzantami! — ale według stalinowskiej miarki w niczym to nie łagodziło wyroku na nich). A niejeden jeszcze wspominał haniebny rok czterdziesty pierwszy, oszałamiającą klęskę po latach przechwałek; i niejeden uznał za głównego winowajcę tych nieludzkich obozów jenieckich — Stalina. I oto postanowili zabrać głos samemu, opowiedzieć o swym strasznym doświadczeniu: że oni też są częstkami Rosji i chcą wpływać na jej losy, a nie tylko być zabawką zależną od cudzych błędów.

Lecz jeszcze okrutniej zadrwił z nich los, jeszcze mizerniejszymi pionkami się stali. Niemcy z głupią butą i zadufaniem pozwalali im jedynie umierać za swój Reich, lecz nie pozwalali marzyć o niezależnym losie rosyjskim.

A do sojuszników było dwa tysiące wiorst — i jakimi się jeszcze mieli okazać ci sojusznicy?...”

Przytoczyłem tak obszerne wyjątki, by pokazać, jak naprawdę wygląda owa „obrona własowców”, przy pomocy której propaganda sowiecka (także piórami „panów do wszystkiego” z krajów ościennych, niestety z Polską włącznie) usiłuje zdyskredytować i książkę i Sołżenicyna. (*Nota-bene* Sołżenicyn sam znalazł się na froncie w Prusach Wschodnich pod kulami własowców — na krótko przed aresztowaniem).

Fragmety te dadzą też może pewne wyobrażenie o tonie całej książki. To nie są drobne porachunki.

Analizując tę doniosłość można wyróżnić kilka punktów. *Primo* — okoliczności, w jakich została opublikowana, odwaga tego człowieka, to wszystko wyznacza nowy standart ludzkiego zachowania się wobec tyranii. Odtąd można nadal do niego nie dorastać, ale nie można twierdzić, że jest niemożliwy. *Secundo* — książka zawiera taką masę faktów, że nie można ich zignorować. Dokumentację stanowią publikacje sowieckie i świadectwa konkretnych osób — można sprawdzić. Całość jest ponadto tak powiązana, że wyraźnie widać, iż nie są to „drzazgi gdy drwa rąbią”. Rzecz właśnie idzie o samym rąbaniu. *Tertio* — rąbanie to do tego stopnia obraża poczucie moralne normalnego człowieka, że żadna Przodująca Teoria nic tu nie wyjaśni. Należy raczej oczekiwać pytań pod adresem aktualnie urzędujących drwali. Pytania te będą prawdopodobnie coraz uporczywsze: wiąże się to z faktem, że Sołżenicyn jest — moim zdaniem przynajmniej — pisarzem klasy Dostojewskiego czy Tołstoja, więc ta książka zostanie, cokolwiek mogłoby spotkać — oby nie! — jej autora. Bywają książki, które wpływają na historię (taką była — mimo że kiepska literacko — „Chata wuja Toma”). Niewykluczone, że los ten przypadnie w udziale „Archipelagowi”. Wściekłość komunistów nie jest w tym wypadku zwykłą wściekłością totalistów, że ktoś ośmielił się ich skrytykować. Rosja — a zatem i rosyjsko zabarwiony komunizm — jest krajem o wielu odruchach azjatyckich: należy do nich przeświadczenie, iż rzecz nie ujęta w słowa właściwie nie istnieje. Sprawa a tego reżymu — a szczególnie jego *ciągłości* — zaczęła odtąd istnieć w nowym, realniejszym wymiarze.

Sprawa ta dla Związku Sowieckiego, a raczej: jego obywateli — oznacza przypomnienie, że Archipelag jest nadal realną groźbą. Pociąga to pytanie: co i jak zmienić, żeby przestał nią być? Pytania takie w skali społecznej zaprowadzić mogą daleko. Nie należy też „pragmatycznie” lekceważyć wagi problemu moralnego, wyłaniającego się z tej książki. Komuniści zbili zbyt duży kapitał na oburzeniu moralnym — niestety tylko „taktycznym” — by nie doceniać tej strony „Archipelagu”. Ich wściekłość jest zrozumiała.

Nowy wymiar ma też implikacje zewnętrzne — i w tym ujęciu oznacza urealnienie sprawy sowieckiej. Książka ta winna dostarczyć impulsu do nowego zajęcia się dynamiką tego systemu. Ukazuje ona bowiem przekonująco, że system sowiecki cofnął Rosję ku normom bardziej prymitywnym, a zatem bardziej niebezpiecznym dla otoczenia. W tym sensie zarzut, że książka może zaszkodzić odprężeniu z Zachodem jest niewątpliwie słuszny — o ile odprężenie rozumie się w sensie Monachium, model 1938.

„Cofnięcie się” nie oznacza jedynie barbarzyństw takich jak tortury, więzienie równocześnie 12 milionów ludzi i 60 milionów śmiertelnych ofiar w ciągu półwiecza, lecz także sprawy strukturalne. Nie wiem, czy zwrócono dotychczas dostateczną uwagę na fakt, że sowiecka monopartia jest prostą kontynuacją — choć niezwykle wzmocnioną — dawnego systemu czynowniczego. Wszystko to samo: koncentracja władzy w jednym pionie, sytuacja grupy uprzywilejowanej i płynąca stąd *esprit de corps*, własne, wewnętrzne kryteria przydatności oraz odnawianie przez kooptację. W związku z tym warto przypomnieć — ostatni cytat! — jak podsumował de Custine swój opis systemu czynowniczego i jego wpływ na społeczeństwo:

„Tego rodzaju organizacja społeczeństwa wytwarza taką temperaturę zawiści, takie nieustanne napięcie ambicji, że Rosjanie stali się przypuszczalnie niezdolni do czegokolwiek innego poza podbojem świata. Powracam wciąż do tej myśli, ponieważ tylko takim celem można wytłumaczyć sobie nadmiar ofiar, nakładanych tu na jednostkę przez zbiorowość. O ile nieokiełznana ambicja pustoszy serce pojedynczego człowieka, potrafi ona też wyjąłowi rozumowanie, spaczyć osąd całego narodu na tyle, by skłonić go do poświęcenia wolności na rzecz zwycięstwa. Bez tego zamysłu, ujawnionego lub nie, i któremu wielu podporządkowuje się może bezwiednie, historia Rosji wydawałaby mi się nierozwiązalną zagadką.

W tym miejscu wyłania się zasadnicze pytanie: czy ta idea podboju, stanowiąca ukrytą sprężynę Rosji, jest tylko wabikiem służącym do zwodzenia prymitywnych tłumów na krótszą lub dłuższą metę, czy też urzeczywistni się ona pewnego dnia naprawdę?

Wątpliwość ta dręczy mnie bez przerwy i mimo wszelkich usiłowań nie potrafiłem jej rozstrzygnąć. Mogę powiedzieć tylko tyle, że od kiedy znalazłem się w Rosji, przyszłość Europy widzę w czarnych barwach”.

Warto uświadomić sobie, że sto trzydzieści lat temu słowo „Europa” w ustach Francuza oznaczało cały świat. Warto sobie uświadomić.

M. BROŃSKI

Ziemia Gułag

W ostatnich dniach grudnia 1973 w małym paryskim wydawnictwie YMCA-Press ukazała się w języku rosyjskim książka Aleksandra Sołżenicyna „Archipelag Gułag”, jeden z najstraszniejszych dokumentów XX wieku, napisany przez wielkiego pisarza.

Nie ma wątpliwości, że słowo *Gułag*, brzmiące tak miękko jak gołębie gruchanie, a powodujące zamieranie serc obywateli sowieckich, bardzo szybko znalazło się we wszystkich językach świata, tak jak słowo *Sputnik*. Gułag, to skrót nazwy jednego z departamentów NKWD — Główny Zarząd Obozów. Nazywając swoją książkę „Archipelag Gułag” Sołżenicyn z genialną lakonicznością wyłożył jej treść. Gdy w 1948 r. zastanawiano się nad nazwą pisma Kominformu wytrawny dziennikarz, Stalin, nakazał nadać mu nazwę: *Za trwały pokój — za ludową demokrację*. Z chytrym uśmiechem dorzucił, że ile razy prasa burżuazyjna będzie cytowała pismo, będzie zmuszona podawać „nasze hasło — nazwę”. Nie wiem jak poradziła sobie prasa burżuazyjna ze stalinowskim tytułem. Ale za każdym razem, gdy sowiecka (albo np. polska) prasa zechce zaatakować nową książkę Sołżenicyna, będzie zmuszona podać jej tytuł. A już sam tytuł to oskarżenie, którego nie można obalić.

Pod tytułem książki podane są dwie daty: 1918-1956. To okres treści książki — okres życia *Archipelagu*.

Napisano setki książek o obozach sowieckich. Wierzone im, nie wierzone, wierzone częściowo, a potem zaczęto mówić, że to już przeszło. Książka Sołżenicyna przypomina te wszystkie książki, a jednocześnie nie jest podobna do żadnej z nich. Sam określił ją jako „próbę artystycznego dochodzenia” — rodzaj w literaturze nowy, nieznan. „Napisanie tej książki” — pisze Sołżenicyn w przedmowie — „przekraczało miarę sił jednego człowieka. Prócz tego co wyniosłem z *Archipelagu* sam — w oczach i w uszach, w pamięci, na własnej skórze — materiał do tej książki dało mi w postaci opowiadań, wspomnień i listów 227-miu ludzi”. Jest to historia niezwykłego w swych rozmiarach imperium łagiernego, historia kraju, który stworzył to imperium; „Archipelag Gułag” to dzieje milionów więźniów, historia życia, cierpienia i dojrzewania świadomości autora książki. W 1962 roku zjazd partii uchwalił postanowienie w Moskwie pomnika ofiarom stalinowskiego terroru — członkom partii, ale później o tej decyzji jakoś zapomniano. Aleksander Sołżenicyn postawił swoją książką pomnik nieznanemu więźniowi — milionom

uwięzionych bez względu na ich przynależność partyjną, płeć, wiek i narodowość.

Pisarz pracował nad tą książką 10 lat i zakończył ją w 1968 roku. Przypuszczał, że zostanie wydana po jego śmierci. Jednak KGB zdecydowało inaczej. Polując na rękopis KGB wpadło na Elizawietę Woronianską, przechowującą jeden z egzemplarzy maszynopisu. Po „intensywnym”, pięciodniowym przesłuchaniu podała miejsce, w którym rękopis był przechowywany. Wróciwszy do domu Elizawieta Woronianska powiesiła się.

Aleksander Sołżenicyn obawiając się o losy tych, którzy dostarczyli mu materiałów, korespondowali z nim czy rozmawiali, zdecydował się natychmiast na wydanie książki, gdyż dawno już przekonał się, że strach przed światową opinią publiczną może jeszcze być — czasami — ochroną przed samowolą KGB. Tom, który teraz się ukazał, zawiera dwie z siedmiu napisanych części. Możliwe, że dalsze ukaza się później.

Dwie pierwsze części: „Przemysł więzienniczy” i „Wieczny ruch” — to opowiadanie o tym jak trafia się do tajemniczego kraju, którego nie ma na mapie ZSSR, lecz gdzie „o każdej porze dnia lecą samoloty, płyną okręty, turkoczą pociągi”.

Sołżenicyn opowiada jak trafia się do tego kraju, opisuje nieuniknioną dla wszystkich, bezlitosną procedurę: areszt, cela, śledztwo, wyrok i wysyłka jednym z licznych środków transportu więziennego w „karawanie niewolników” na jakąś wyspę *Archipelagu*. W starych filmach o rzeźniach chicagowskich pokazywano jak świnia po znalezieniu się na taśmie pojawia się na drugim jej końcu w charakterze kiełbasy. W książce Sołżenicyn obywatel sowiecki, który znalazł się na bezlitosnej taśmie *Archipelagu* nieuniknienie jest wyrzucony za druty kolczaste jako więzień — zek. Zresztą Sołżenicyn używa i innej przenośni — mówi o „cuchnących rurach naszej więziennej kanalizacji”, które wchłaniają strumienie składające się z milionów aresztantów. Pisarz opowiada jak trafia się do *Archipelagu*, gdyż na pytanie za co nie może wyczerpująco odpowiedzieć nawet on. Cytuje tylko głośną łagierną anegdotę: „Naczelnik nowosybirskiego więzienia zapytuje więźnia: jaki termin? — Więzień odpowiada — 25 lat. Za co? — pyta naczelnik. — Za nic — odpowiada zek. Naczelnik wpada w gniew: — Kłamiesz! U nas za nic dają 10 lat!”

Sołżenicyn wylicza za co „dawano” i 10 i 15 i 25 i „wyżkę” — „najwyższy wymiar społecznej obrony” — rozstrzelanie. Wylicza „strumienie” tych, których wrzuca się w rury kanalizacyjne kraju. „Strumienie” przeciwników rewolucji — rzeczywistych i potencjalnych, socjalistów, socjal-demokratów, socjalistów-rewolucionistów, inżynierów, napiętnowanych jako „szkodnicy”, ogromny „strumień” włościan w okresie kolektywizacji i „likwidacji kułaka jako klasy”, „strumienie” lat powojennych, tych którzy byli za granicą, jeńców wojennych, tych którzy przebywali na

terytoriach okupowanych. A oprócz tego „strumienie” Polaków, Finnów, Łotyszów, Niemców, Czechenów i dziesiątków innych narodowości żyjących nie z własnej woli na terytorium Związku Sowieckiego lub które się tam znalazły po wojnie, nie licząc esperantystów, filatelistów i — ma się rozumieć — rodzin aresztowanych. Miliony i miliony ludzi.

I wszyscy oni odbywają tę samą drogę: aresztowanie — w domu nocą, w dzień na ulicy, na dworcu, w zakładzie pracy, na spacerze, w domu wypoczynkowym; więzienna cela (Sołżenicyn pisze: „Pierwsza cela — pierwsza miłość”); i śledztwo, jako zasada — z torturami (Sołżenicyn wylicza 31 „metod oddziaływania”, specjalnie często stosowanych w więzieniach sowieckich; wątpliwe czy mógłby do tego spisu cokolwiek dorzucić autor średniowiecznego „młota przeciw czarownicom”). Po podpisaniu protokołu — przyznaniu się do niepopelnionej winy — wyrok, wielomiesięczne oczekiwanie w przepełnionej celi i odprawa do miejsca przeznaczenia w łagrze. „Zamknij oczy czytelniku, czy słyszysz turkot kół? To jadą stołypinki. To jadą krasnuchy*. W każdej minucie doby. Każdego dnia roku. A to chlupie woda — to płyną aresztanckie barki. A to ryczą motory *woronków*... A ten hałas? — przepełnione cele przejściowych więzień. A to wycie? — to skargi okradzionych, zgwałconych, zbitych... I nawet ostatnia ludzka nadzieja, że potem będzie lepiej, że w obozie będzie lepiej — to jest nadzieja kłamliwa. W obozie będzie gorzej”.

Tak kończy się pierwszy tom. Ale kończy tylko pierwszy wątek tematu. Historia aresztowania. W setkach książek napisanych o sowieckich łagrach, na ogół opowiada się przede wszystkim historię aresztowania autora książki i jego przyjaciół. Aleksander Sołżenicyn potrafił opowiedzieć o wszystkich aresztowaniach, o wszystkich i o każdym, kto usłyszał sakramentalne „jesteście aresztowani” i stawał się kroplą kolejnego strumienia.

Drugim wątkiem jest historia sowieckiego prawa, które stworzyło możliwości dla zasiedlenia *Archipelagu Gułag* milionami niewolników, które pozwoliło w przeciągu jedynie dwóch lat — 1937-1938 — rozstrzelać około miliona ludzi. „Na ileż te liczby są nieprawdopodobne?” — zapytuje autor. „Licząc, że rozstrzelania trwały nie dwa lata a półtora roku powinniśmy mieć przeciętnie 28 tysięcy rozstrzelanych w ciągu jednego miesiąca w skali Związku... Oznacza to, że w danym mieście w ciągu dnia wyprowadzano na rozstrzelanie 6-ciu ludzi. Czy to takie fantastyczne? To są raczej liczby pomniejszone”.

Historia sowieckiego prawa zaczyna się na długo przed tymi rozstrzelaniami. Początkowo — jak dawno już powiedziano — było słowo. Aleksander Sołżenicyn wyprowadza początek ze słów Lenina wypowiedzianych w styczniu 1918 roku (artykuł „Jak organizować współzawodnictwo”, Lenin *Dzieła Zebrane*, V-tę wydanie, tom XXXV, str. 204), proklamujących wspólny i jedyny cel „oczyszczenie ziemi rosyjskiej z wszelkich szkodliwych in-

* *Krasnuchy* — wagony towarowe, w których przewozi się więźniów.

sektów:”. Rozdziały poświęcone „dorastaniu” rosyjskiego prawnictwa autor tytułuje: „Prawo — dziecię”, „Prawo — mężczyźni”, „Prawo — dorosło”. Wzrost potwora-smoka, pożerającego ludzkość analizuje na podstawie materiałów znanych i częściowo lub całkowicie zapomnianych procesów publicznych: od jeszcze nie bardzo udanych inscenizacji 1918 roku do gigantycznych moskiewskich przedstawień z 1937. W charakterze źródeł Sołżenicyn wykorzystuje zarówno oficjalne sprawozdania z procesów, tj. w pierwszym rządzie przemówienia oskarżycieli — Nikołaja Krylenko i Andrieja Wyszynskiego, jak również świadectwa nielicznych, pozostałych przy życiu oskarżonych.

I wreszcie trzeci wątek — losy kapitana artylerzysty Aleksandra Sołżenicyna, aresztowanego na kilka miesięcy przed zakończeniem wojny, a oskarżonego o antysowiecką propagandę: cenzura przechwyciła jego listy do przyjaciela, w których młody oficer niepochlebnie wyraża się o Stalinie, przejrzyste nazywając go „pachanem”^{*}.

Zlewając się wątki te tworzą książkę, w której oddane są doświadczenia kraju, narodu, naszego wieku. Książka o kraju i narodzie, który pozwolił zamknąć siebie w więzieniu, pozwolił przekształcić swój kraj w *Archipelag Gułag*. Dlaczego kraj się nie sprzeciwił, dlaczego miliony niewinnych ludzi milcząco, w strachu, z niedowierzaniem, szły do łagrów i na kaźń? — to zasadnicze pytanie, które stawia pisarz. I odpowiada: przede wszystkim dlatego, że wszystko to zaczęło się nie przy Stalinie, — jak wielu do tej pory myśli lub chce myśleć — a już przy Leninie. Zaczęło się to natychmiast po przewrocie październikowym. Fala przemocy narastając powoli i nieubłagane nie tylko zabiła ludzi — łamała także duszę pozostałych przy życiu. Rosja była „czyszczona” stopniowo: jeden rodzaj „insektów” za drugim. I dopóki niszczone jednych, drudzy milczeli, gdyż — jak się im wydawało — ich to nie dotyczyło. A potem — jak to określa Sołżenicyn — został „zrobiony duży krok do ogólnonarodowego udziału w kanalizacji”. Od tych wszystkich, kogo jutro oczekiwano śmierć lub obóz żądano dzisiaj aprobaty rozprawienia się z innymi. I — wszyscy stali się winni.

Albo przecież mogło być inaczej: „Gdyby podczas masowych obław — na przykład w Leningradzie — kiedy za kraty szło ćwierć miasta, ludzie nie siedzieli po swoich norach, mdlejąc z lęku przy każdym trzaśnięciu bramy, przy każdym kroku na schodach — gdyby zrozumieli, że teraz nie mają już nic więcej do stracenia i zabrali się żwawo do urządzania w sieniach swoich domów zasadzek — z siekierami, młotkami, pogrzebaczami, z czym popadło?... Wbrew najlepszym chęciom Stalina przekłeta maszyna musiałaby się zatrzymać”. Gdyby każdy aresztowany, którego prowadzono ulicą krzyczał że: „poprzebierane toty wyłapują ludzi! Że łapią ich na podstawie kłamliwych donosów!

* *Pachan* w języku złodziejskim, oznacza herszta bandytów.

Że trwa głuche polowanie na miliony obywateli! I słysząc takie krzyki wiele razy dziennie może aresztowanie przestałoby być tak łatwą robotą”. „Gdyby w każdej celi skazani na śmierć wspólnie dusili przychodzących katów, czy nie skończyłyby się kaźnie w sposób skuteczniejszy, niż przy apelacji? A na krawędzi grobu dlaczego by nie walczyć?”

Dlatego że „brakowało nam potrzeby wolności” — konstatuje z goryczą pisarz. Dlatego, że byliśmy zastraszeni, byliśmy oszukani, dlatego że daliśmy się zastraszyć i zgodziliśmy się być oszukiwani, gdyż „trzeba było wielkiej odwagi by w tym chórze i wrzasku powiedzieć: nie!” „Było to tym trudniejsze, że już na początku sowieckiej historii znaleziono... nutę wspólnoty między sądzącymi i podsądnymi” — powstała jakaś więź między katem a ofiarą.

We wstrząsającym rozdziale, poświęconym niesławnej likwidacji starych bolszewików, Sołżenicyn na losie Nikołaja Bucharina pokazuje jak współudział w zbrodniach, poczucie jedności z katami, rozłożyły duszę byłych rewolucjonistów, przekształciły ich w żałosnych, trzęsących się ze strachu ludzi, do ostatniej chwili liczących na dobroć Stalina.

Z bezlitosną szczerością Aleksander Sołżenicyn pisze o bestialstwie i obojętności katów i o słabości ofiar.

Aleksander Sołżenicyn ma prawo mówić swojemu narodowi całą prawdę, gdyż z taką samą bezlitosną szczerością mówi i o samym sobie. Jest on także synem swego kraju i wyrósł również w atmosferze ogólnonarodowej aprobaty rozpraw sądowych nad „wrogami”, i był również zatruty jadem rewolucyjnych sloganów i mitów; jedynie niezrozumiały dla niego, tajemniczy odruch duszy zmusił młodego Aleksandra Sołżenicyna do odmówienia propozycji pójścia do szkoły NKWD, dokąd kierował go Komsomol. A w wojsku, gdy wręczono mu oficerskie złote naramienniki, poczuł się wyższy i lepszy od zwykłych żołnierzy, zatrął go „złoty pył naramienników”. Ze wstydem wspomina jak „usłyszał krzyk o ratunek: ‘Panie kapitanie! Panie kapitanie!’ — tak czysto po rosyjsku wzywał pomocy piechur w niemieckich spodniach, nagi powyżej pasa, cały okrwawiony na twarzy, pierśiach, plecach, grzbiecie a sierżant „osobist”^{*} siedząc na koniu poganiał go przed sobą knutem i napieraniem konia... To nie była przecież wojna punicka, ani grecko-perska! Każdy mający władzę oficer jakiegokolwiek armii na świecie powinien być położyć kres bezprawnym męczarniom. Jakiegokolwiek — tak, ale — czy naszej?... Przy srogości i absolutności naszego podziału ludzkości... a więc ja bojąc się bronić własowca przed *osobist*’ym, nic nie powiedziałem, niczego nie zrobiłem i przeszedłem obok, tak jak bym nic nie słyszał...”.

I jeszcze w więzieniu, już po aresztowaniu, gorąco broni marksizmu, przekonany że to Stalin „zniekształcił Lenina”. Oskarża-

* *Osobist* — współpracownik specjalnego oddziału NKWD.

jąc miliony aresztowanych o milczenie nie usprawiedliwia i siebie. I on „wiele razy miał okazję do krzyku”, ale milczał. Milczał i wówczas gdy go prowadzono przez Moskwę. Milczał w metro. „Milczę jeszcze gdy idziemy przez Ochotny Riad. Nie krzyknę koło Metropolu. Nie poderwę rąk na Gólgocie placu Łubianskiego”. „U każdego” — z goryczą konstatuje pisarz — „znajdziemy zawsze tuzin gładkich powodów, usprawiedliwiających niepoświęcenie siebie”.

U Sołżenicyna było to jednak uzasadnione. Milczał w metro „bo tych ludzi wjeżdżających po stopniach dwóch wyciągów wciąż mi jeszcze za mało — za mało! A co z dwoma setkami milionów?... Roi mi się mgliście, że kiedyś jeszcze coś krzyknę tym całym dwustu milionom...”.

Przecucie nie oszukało przyszłego wielkiego pisarza. „Archipelag Gułag” to krzyk skierowany do milionów, do współobywateli Sołżenicyna, do wszystkich czytelników książki. To wezwanie do wolności, do walki o godność ludzką. Na przestrzeni całej swej książki Sołżenicyn okruciami zbiera świadectwa o ludzkiej odwadze, przykłady odmowy podporządkowania się strachowi, dowody że zawsze, w każdych warunkach, można być człowiekiem.

Za główny warunek uwolnienia się od strachu, za warunek wewnętrznej wolności pisarz uważa ostateczny rozrachunek z przeszłością, ujawnienie prawdy o przeszłości.

W proroczej powieści „My” Jewgienij Zamiatin opisuje jedyne państwo przyszłości, w którym wszystkim obywatelom, aby poznać ich chęci wolności — wycinają wyobraźnię. W jedynym sowieckim państwie w tym celu pozbawiają ludzi pamięci, pozbawiają historii. „Archipelag Gułag” przywraca narodowi pamięć o przeszłości — historię. Historia *Archipelagu Gułag*, to historia walki państwa z człowiekiem, historia zniewolenia człowieka przez państwo i stopniowe pogodzenie się człowieka z niewolą. Duchowy upadek człowieka przychodził jednocześnie — był następstwem — potwornego wzrostu potęgi państwa, które w swoim czasie oświadczało, że jest synonimem rewolucji, a następnie synonimem ojczyzny.

Każda strona „Archipelagu Gułag” wymagała od autora ogromnej odwagi, ale specjalnej odwagi wymagało odrzucenie głównego kanonu sowieckiej religii — wiary w nieomylność państwa. Utożsamienie państwa z ojczyzną, ojczyzny z władzą sowiecką, władzy sowieckiej ze wszystkimi jej działaniami — jest to pewnik, w którego samo zwątpienie jest już przestępstwem.

O wszystkich, niezliczonych „strumieniach” aresztowanych, wrzuconych w kanalizację *Gułagu* mówi Sołżenicyn z nieukrywanym bólem i goryczą. Ale jeden z tych „strumieni” dotknął go specjalnie głęboko: „historia kilku milionów rosyjskich jeńców przeszywa mnie na zawsze, tak jak szpilka przebija karalucha”. I jeśli trzeba byłoby koniecznie wskazać najlepszy rozdział książ-

ki, napisany ze specjalną pasją, ze specjalnym wzruszeniem i cierpieniem, nie ma wątpliwości, że należałoby wybrać rozdział „Ta wiosna”. Rozdział o zwycięskiej wiosnie 1945 roku, która była „w naszych więzieniach” wiosną rosyjskich jeńców. Rozlewał się po celach — „strumień tych wszystkich, którzy przebywali w Europie; i emigranci z okresu wojny domowej i *ost’owcy* nowej niemieckiej; i oficerowie armii czerwonej — zbyt przenikliwi i zbyt daleko idący w rozumowaniach — Stalin mógł się obawiać, że być może pomyślą o przyniesieniu z europejskiego pochodzenia europejskiej wolności, tak jak to zrobili inni 120 lat przed nimi. Ale jednak najwięcej było moich rówieśników, nawet nie moich, a rówieśników października, tych którzy urodzili się razem z październikiem...”.

Ci „rówieśnicy października” i rówieśnicy pisarza (Sołżenicyn urodził się w 1918 roku) — byli mu specjalnie bliscy i zrozumiali. Ale nie tylko dlatego nazaczyła go na zawsze ich historia. W ich losie otworzyła mu się do końca nieludzkość, niewdzięczność i okrucieństwo państwa. Gdy dostali się do niewoli, ojczyzna pozwoliła im umierać z głodu, chłodu, w mękach. Rosja sowiecka wyrzekła się swoich zdychających dzieci. „Dumni synowie Rosji” byli jej potrzebni dopóki kładli się przed tankami, dopóki można ich było poderwać do ataku. Ale dokarmiać ich w niewoli? Zbyteczni stołownicy. I zbyteczni świadkowie haniebnych klęsk. A ci wszyscy, którzy jakoś wyżyli w niewoli i doczekali się uwolnienia byli ogłoszeni za zdrajców. „Ileż wojen prowadziła Rosja — pisze Sołżenicyn (już lepiej, żeby ich było mniej) — i czy wielu znaleźmy zdrajców w tych wszystkich wojnach?... A tu, przy najsprawiedliwszym ustroju w świecie, wybuchu najsprawiedliwsza wojna i nagle miliony zdrajców i to spośród samych prostych ludzi... Jak to zrozumieć? Jak wyłtu-maczyć?”

Pisarz znajduje wyjaśnienie: mówi — a może jednak przyczyną jest ustrój państwa; „wszystkich tych jeńców posadzili... żeby nie wspominali o Europie swoim współziomkom. Czego nie widzisz, to o tym i nie marzysz”. A może to nie oni — te miliony żołnierzy i oficerów — są zdrajcami?

Nawet „najbardziej pojemni spośród nas — zauważa pisarz — są zdolni objąć tylko tę część prawdy, którą dotknęli własnym ryjem”. Sołżenicyn chce „objąć całą prawdę”. Zatrzymuje się nad losem własowców, zaznaczając, że tylko ich można by było sądzić za zdradę. Rozumie przy tym, że za każde słowo o nich będzie znieśławiony i opluty, gdyż „nikt nie odważy się powiedzieć dwóch, trzech zdań których podmiotem byłoby słowo, własowiec”. Ale pisarz uważa, że nie ma prawa milczeć: „W historii światowej jest to zjawisko niezwykle: że setki tysięcy młodych ludzi, w wieku od 20-tu do 30-tu lat, chwyciły za broń przeciw swojej ojczyźnie w sojuszu z największym jej wrogiem”. I dlatego trzeba się zastanowić: „Kto jest tu bardziej winny — ta młodzież, czy siwowłosa ojczyzna?”

Tylko sprzedajni i nieuczciwi krytycy mogą oskarżać Aleksan-

dra Sołżenicyna, nieustępliwego wroga przemocy i niesprawiedliwości, o sympatii do faszyzmu. Na froncie walczył nie tylko z hitlerowcami, ale i z własowcami. Ale „w ćwierć wieku później, gdy większość ich zginęła w łągach, a ci którzy ocalili dogorywają na dalekiej północy”, mówi o własowcach historyczną prawdę.

Pisarz przedstawia państwu rachunek, przedstawia rachunek ojczyźnie. Po raz pierwszy w sowieckiej literaturze, po raz pierwszy w sowieckiej historii podniósł się na całą swą wysokość człowiek uzbrojony tylko w swój talent i dobitnie powiedział, że Państwo ma nie tylko prawa, ale i obowiązki wobec swych obywateli, że obywatel ma prawo osądzać Państwo.

I w tym mieści się wybuchowa, rewolucyjna siła książki Aleksandra Sołżenicyna. Duchowa, wewnętrzna wolność daje mu tę siłę. „Jestem międzygwiezdny tułaczem — mówi o sobie, przypominając więźnia z powieści Jacka Londona. Ciało moje spowili, ale dusza im nie podlega”.

Aleksander Sołżenicyn poświęcił swoją książkę „wszystkim, którym nie starczyło życia, aby o tym opowiedzieć”. Prosi, by mu wybaczyli, że „nie wszystko dostrzegł, nie wszystko przypomniał, nie wszystkiego się domyślił”. Niewątpliwie pisarz nie wszystko widział i nie wszystko sobie przypomniał — to jest ponad siły jednego człowieka — ale nie ma najmniejszej wątpliwości, że „wszystkiego się domyślił”, wszystko zrozumiał. I wziął na siebie misję, aby wszystko powiedzieć.

Na ostatnich stronach książki Aleksander Sołżenicyn opowiada o swoim spotkaniu w butyryjskim więzieniu z moskiewskimi studentami. Wiele go rzeczy nauczyli, a między innymi pomogli mu zrozumieć Pasternaka. Najbardziej poruszył Sołżenicyna poemat o lejtnancie Szmicie, przywódcy powstania marynarzy w 1905 roku, a przede wszystkim jego przemówienie w sądzie. Sołżenicyn cytuje w swojej książce dwie strofy z poematu Pasternaka, które specjalnie go zafrapowały, ale można myśleć, że jeszcze bardziej „przeszyła go” strofa, w której buntownik, skazany na rozstrzelanie, mówi o swoim przeznaczeniu:

*Na próżno w latach chaosu
szukać szczęśliwego końca.
Jednym karać i kajać się,
drugim skończyć na Gólgocie.*

Pisarz zaakceptował swoje przeznaczenie i nic nie może go zatrzymać.

Michał HELLER

Komunikat

„ARCHIPELAG GUŁAG”

ALEKSANDRA SOŁŻENICYN

ukaze się w języku polskim nakładem Instytutu Literackiego w Paryżu w przekładzie Michała Kaniowskiego, który uprzednio przetłumaczył dla Instytutu „Krag pierwszy” tegoż autora.

Przewidziany termin ukazania się książki: maj-czerwiec br.

Ze względu na bardzo wysoki koszt tłumaczenia i wydania książki, która będzie liczyła około 600 stron, prosimy o najszybsze nadsyłanie zamówień, co pozwoli nam na ustalenie wysokości nakładu. Biorąc pod uwagę wielkie zainteresowanie „Archipelagiem Gułag” normalny nakład może być bardzo szybko wyczerpany.

Cena „Archipelagu Gułag” ustalona jest orientacyjnie na F. 50 (\$ 11) lub równowartość w innych walutach. Gdyby — ze względu na ciągle rosnące ceny papieru i druku oraz wahania walutowe cena sprzedaży „Archipelagu”, po jego ukazaniu się, musiała być wyższa — ewentualna podwyżka nie będzie dotyczyła tych, którzy książkę zamówią wcześniej.

Zamówienia należy kierować do administracji Instytutu Literackiego (91, Avenue de Poissy, le Mesnil-le-Roi, par 78600-Maisons-Laffitte) lub do przedstawicieli.

Instytut Literacki wydał poprzednio następujące książki A. Sołżenicyna:

„Krag pierwszy” t. I/II (F. 60,00, \$ 12,50),

„Oddział chorych na raka” (F. 40,00, \$ 8,50).

Ponadto w antologii współczesnej literatury sowieckiej pt. „We własnych oczach” ukazała się nowela A. Sołżenicyna „Zagroda Matrony” w przekładzie J. Łobodowskiego, zaś w *Kulturze*: z lipca-sierpnia 1963 — opowiadanie pt. „Zdarzenie na stacji Kreczetowka”; z listopada 1970 — „Wiersze prozą” w przekładzie I. Szenfelda; z kwietnia 1971 „Procesja wielkanocna” w przekładzie M. Kaniowskiego.

W niedługim czasie w „Bibliotece Kultury”
ukaze się książka

MICHAŁA HELLERA

pt.:

**ŚWIAT OBOZÓW KONCENTRACYJNYCH
A WSPÓŁCZESNA LITERATURA SOWIECKA**

Michał Heller jest wykładowcą literatury i historii rosyjskiej
na Sorbonie

Archiwum polityczne

Korespondencja z Rzymu

„BRINI GO HOME!” CZYLI ŻENUJĄCY (DLA WATYKANU)
PROBLEM

„Pewne czynniki w Kurii Rzymskiej zachowują się tak jakby Rosjanie wygrali już trzecią wojnę światową” — to świadomie przejawione sformułowanie mego rozmówcy za Śpiżową Bramą odzwierciedla opozycję, jaka narasta w samym Watykanie wobec dotychczasowego kierunku polityki wschodniej. Głos wolnej Rosji: wywiady, protesty i oświadczenia Sacharowa i Sołżenicyna wpłynęły niewątpliwie na zahamowanie dynamiki tej polityki, ale jej kryzys dojrzewał od dłuższego czasu, powodując m.in. zmiany personalne, które sygnalizowałem w poprzedniej korespondencji. O różnicach zdań w łonie Kurii Rzymskiej na temat linii politycznej w stosunku do państw komunistycznych, a zwłaszcza do ZSSR, mówi się dziś głośno. Rzutuje zresztą na te rozbieżności ogólny kryzys dyplomacji watykańskiej, jej aparatu, organizacji i metod, czego widownią była niedawna, bardzo burzliwa narada nuncjuszków i delegatów apostolskich (we wrześniu 1973 we Frascati pod Rzymem).

Istnieje natomiast wciąż jedno zagadnienie wokół którego panuje zmowa milczenia, a mianowicie sprawa Kościoła katolickiego obrządku wschodniego (unickiego). Gdyby nie obecność w Rzymie zwierzchnika duchowego tego Kościoła, kard. J. Slipyja, arcybiskupa-metropolity lwowskiego (b. więźnia obozów sowieckich, uwolnionego w roku 1963 przez Chruszczowa dzięki staraniom Jana XXIII) i wrzawa podnoszona przez dwumilionową masę ukraińskich katolików w USA, Kanadzie i Australii — sprawa ta prawdopodobnie uległaby już dawno zapomnieniu. Ukraińscy księża greko-katolicy w Rzymie powiadają: „od czasu zakazu ukonstytuowania się naszego Synodu w październiku 1971 roku, Watykan nałożył kardynałowi Slipyjowi kaganiec”. Synod biskupów ukraińskich domagał się przyznania kard. Sli-

pyjowi i jego następcom tytułu patriarchy kijowskiego obrządku bizantyjskiego oraz uznania przez papieża stałej, autonomicznej rady synodalnej dla zarządzania sprawami Kościoła. Pięcioosobowy „stały Synod” pod przewodnictwem kard. Slipyja, rodzaj egzekutywy, rzeczywiście powstał, ale Watykan uważa ten organ jedynie za emanację konferencji biskupów obrządku greko-katolickiego na wzór istniejących, krajowych konferencji episkopatów. Nie został również uznany ustrój patriarchalny w Kościele ukraińskim i walka o to toczy się nadal. Postulowany przez Ukraińców patriarchat nie jest jedynie czysto prestiżowym podniesieniem rangi obrządku, lecz wiąże się z prawem wyboru biskupów, zatwierdzanych następnie przez papieża, analogicznie jak dzieje się to w pozostałych rytach wschodnich (melchicki, chaldejski, maronicki, koptyjski i syryjsko-malabarski), reprezentujących dziś już tylko kilka szczątkowych wspólnot, wyposażonych jednak w tzw. sukcesję apostolską i cieszących się pełną autonomią. Te historyczne obrządki reprezentują łącznie mniej niż 25 % ogólnej liczby wyznawców katolickich Kościołów Wschodnich — resztę stanowią unicy rozproszeni po świecie i zepchnięci do podziemia na Ukrainie, Białorusi, Rusi Zakarpackiej i w Rumunii.

Watykan nie chce uznać roszczeń unitów ukraińskich, uważając że urząd patriarchy wiąże się z jurysdykcją terytorialną, a tymczasem ukraińska hierarchia działa obecnie jedynie na emigracji. Po wtóre uważa, że za tymi roszczeniami kryją się nacjonalistyczne i separatystyczne interesy ukraińskie, utrudniające „dialog” z Rosyjską Cerkwią Prawosławną. W watykańskich dykasteriach przeważa opinia że ewentualna autonomia ukraińskiego Kościoła katolickiego (*Ecclesia Catholica Unionis Ruthenorum*, a nie *Ucrainorum*, według oficjalnej nomenklatury) i interesy ukraińskiej diaspory muszą zejść na drugi plan wobec losu kilku milionów wiernych tego obrządku (i obrządku łacińskiego) na terenie ZSSR i innych krajów komunistycznych. Zakłada się ponadto, że wszelka akcja zmierzająca do nadania pełnej autonomii ukraińskiemu Kościołowi sprowadziłaby na jego wyznawców i duchowieństwo nową falę represji.

Biskupi ukraińscy sprzeciwiają się watykańskiej interpretacji, stojąc na stanowisku że diaspora katolików ukraińskich wymaga posiadania własnego patriarchy, jeśli historyczny obrządek bizantyjski nie ma ulec stopniowemu wymarciu, a Unia Brzeska sprzed 376 lat — wymazaniu z dziejów Kościoła Powszechnego. Groźba stopniowego zaniku tego obrządku jest niewątpliwie bardzo poważna i nie sposób zredukować całego zagadnienia — tak jak to czynią niektórzy watykańscy funkcjonariusze — do zjawiska „separatyizmu ukraińskiego”. Biskupi ukraińscy w wolnym świecie odrzucają również argument prześladowań, twierdząc że Kościół na Ukrainie złożył tak potworną daninę ofiar, że demagogicznym chwytem jest powoływanie się na jej możliwy wzrost. „Kościół nasz zszedł do katakumb — mówią — a wysłannicy Watykanu obecni w Zagorsku na intronizacji patriarchy Pimena

nie zaprotestowali przeciw uroczystemu potwierdzeniu likwidacji Unii" (w roku 1946 katolicki Kościół obrządku wschodniego na Ukrainie i Białorusi został wcielony przemocą do Cerkwi Prawosławnej). Ukraińska hierarchia protestuje również przeciw nieuznawaniu przez Watykan tajnej konsekracji biskupów unickich, koniecznej wobec przymusowych warunków. Szczególnie rażący jest przykład bpa Wełyczkowskiego, konsekrowanego przez Slipyja, który po zwolnieniu z obozów rosyjskich przybył w ub. roku do Rzymu. W Watykanie nie uznano jego święceń, w oficjalnym języku określono go jedynie „padre” i szybko się pozbyto, wysyłając do Kanady na „pożłacane zesłanie”, gdzie umarł w lipcu ub. roku. Przypadek ten ma już precedens z okresu pontyfikatu Piusa XII, kiedy jezuita słowacki Hnilica, potajemnie konsekrowany na Rusi Zakarpackiej na biskupa obrządku greko-katolickiego, po przybyciu do Rzymu otrzymał pracę w Kongregacji dla Kościołów Wschodnich bez uznania swej sakry biskupiej.

Masy ukraińskie na emigracji nie przestają protestować wraz ze swym duchowieństwem przeciw poświęcaniu ich Kościoła na rzecz „dialogu” ekumenicznego z prawosławiem i niedrażnienia Moskwy. Szczyt tej akcji protestacyjnej i zarazem presji na Watykan przypadł na ostatnie miesiące ub. roku. W czerwcu przyjechał do USA na wizytację kard. Slipyja, witany owacyjnie przez ośrodki ukraińskie w Filadelfii, Pittsburgu, Cleveland, Chicago, Minneapolis, Detroit i Newark. Według *New York Times'a* z 11 czerwca kard. Slipyja oświadczył m.in.: „Sytuacja katolickiego Kościoła ukraińskiego jest bardzo ciężka na skutek polityki zbliżenia z Moskwą, zainicjowanej przez pewne koła Kurii Rzymskiej. Polityka ta spowodowała że Watykan milczy zamiast — jakby należało oczekiwać — bronić energicznie egzystencji Kościoła w samej ojczyźnie. Spór watykańsko-ukraiński nie ogniskuje się w rozbieżnościach natury dogmatycznej, lecz administracyjnej. Nieuznanie patriarchatu ukraińskiego dotyczy podstawowych praw ludzkich na płaszczyźnie religijnej”. Przytaczając swą rozmowę z Pawłem VI-tym, Slipyja oświadczył że Papież mówił o „wysiłkach dla uzyskania koncesji i wolności dla katolików obrządku łacińskiego w krajach Europy Wschodniej i zacytował jego słowa: „Ocalimy to co musi być ocalone”. Slipyja według *New York Times'a* skomentował tę rozmowę dyplomatycznie: „Kiedy skończą się te konsultacje, wtedy nasza sytuacja będzie mogła być rozwiązana. Cała rzecz polega obecnie na znalezieniu właściwej metody koegzystencji i zbadaniu kiedy nasza rola może być wreszcie uznana jako wkład do tego dialogu. Patriarchat zostanie urzeczywistniony, jestem tego pewien. Może jutro, może pojutrze, ale chwila ta nadejdzie”. Slipyja witano za oceanem jako „patriarchę wyznaczonego” (*Patriarch-Designate*).

Wizyta kard. Slipyja w USA, a przedtem w Kanadzie i w Australii na 40-tym światowym Kongresie Eucharystycznym, nie przyniosła uspokojenia umysłów. Rebelia antywatykańska trwa

nadal, a nawet wzmacnia się. Pod koniec września przybył do USA sekretarz Kongregacji dla Kościołów Wschodnich, arcybiskup Mario Brini, uważany od lat przez katolików ukraińskich za głównego rzecznika zredukowania roli Kościoła Unickiego do muzealnego reliktu. Poszczególni prefekci tej watykańskiej kongregacji zmieniali się na przestrzeni ostatnich dwudziestu lat, ale sekretarz jej abp Brini pozostał. W dokumencie ogłoszonym przez „Stowarzyszenie dla ustanowienia patriarchalnego ustroju w katolickim Kościele ukraińskim” czytamy: „dzięki przeciekowi z miarodajnych źródeł watykańskich dowiadujemy się że kard. E. Tisserant, b. dziekan Św. Kolegium Kardynalskiego i b. prefekt Kongregacji dla Kościołów Wschodnich, powiedział przed śmiercią, że dopóki abp Brini pozostanie członkiem tej Kongregacji, obrządki wschodnie, a zwłaszcza Kościół ukraiński, nie mogą oczekiwać przywrócenia swych praw”. Brini, podobnie jak uprzednio Slipyja, wizytując ośrodki ukraińskie jako gość biskupów i metropolity Senyszyna, głowy archieparchii (archidiecezja w obrządku wschodnim) ukraińskiej w Filadelfii, powitany został mniej owacyjnie. Tysiące demonstrantów towarzyszyło jego oficjalnym wystąpieniom, niosąc transparenty z napisami: „*Brini go home! Pimen is waiting for you, go to Moscow*”, „*Unity in Dogma, Autonomy in Administration*”, „*Stop fragmenting our Church*”, „*Unity — yes! Uniformity — no*”, „*Don't bully our Bishops*”.

Jak doniosła agencja „Religious News Service”, na publicznej manifestacji w Nowym Jorku w dn. 3 października 1973, przewodniczący w.w. stowarzyszenia oświadczył: „Będziemy kontynuować akcję protestacyjną w każdej formie dopóki Watykan nie odstąpi od polityki biernego przypatrywania się sowieckim prześladowaniom Kościoła na Ukrainie. Od lat Watykan odmawia zabrania głosu w obronie Milczącego Kościoła. Centrum Chrześcijaństwa oddaje w ofierze ukraiński Kościół katolicki na rzecz możliwości odprężenia na linii Watykan-Moskwa. Protestujemy przeciw temu sprzeniewierzeniu”. Ta sama agencja amerykańska podaje że społeczne organizacje ukraińskie (należy dodać, bez porównania prężniejsze, zamożniejsze i bardziej wpływowe od polonijnych) złożyły memorandum, w którym protestują przeciw temu „członowi Kurii Rzymskiej, który w okresie posoborowym narzuca centralizację administracyjną wszystkim Kościołom wschodnim, w mniemaniu że rola świeckich powinna polegać wyłącznie na płaceniu, modleniu się i postuszeństwie”.

Z okazji pobytu abpa Brini w Stanach, ukraińskie organizacje przypomniały opinii publicznej list do papieża, wystosowany w lutym ub. roku, w okresie Kongresu Eucharystycznego w Melbourne, a podpisany przez prałata W. Andruszkiwa, prezesa światowego zrzeczenia duchownych greko-katolickich oraz księży ukraińskich obecnych na tym kongresie. List, a raczej petycja do Pawła VI-tego, deklarując wierność dla Stolicy Apostolskiej i jej Głowy, przeciwstawia się postępowaniu upoważnionych przedstawicieli Kurii Rzymskiej „ignorujących historyczne prawa

Kościółu ukraińskiego”, usiłowaniu „zniszczenia jedności i integralności hierarchii kościelnej oraz poświęcaniu interesów tego obrządku na rzecz politycznych kalkulacji”. Oto fragment tego listu:

„Niekórych naszych biskupów usiłuje się odciągnąć od naszych tradycji. Nasze eparchie (tj. diecezje) są poddawane jurysdykcji arcybiskupów obrządku łacińskiego. Te fakty są sprzeczne z antycznymi uprawnieniami naszego Kościoła, uznanymi przez Unię Brzeską, którą niektórzy starają się proklamować jako niebyłą i nieważną. Tego rodzaju traktowanie naszego Kościoła ze strony części Kurii podważa wiarę i życie religijne naszych wspólnot wiernych. Trudno im to zrozumieć. Jeszcze trudniej nam wyjaśnić im tajną, zakulisową politykę Kurii watykańskiej. Niecne (ignoble) listy kard. Villot do naszych biskupów zaniepokoiły wiernych (mowa m.in. o liście z 22 stycznia 1973, w którym Sekretarz Stanu wzywał kard. Slipyja do „powstrzymania się od inicjatyw, które mogłyby być interpretowane jako nacisk na Stolicę Apostolską”; list ten przesłany do wiadomości wszystkim biskupów ukraińskich poprzez nuncjuszy, określony jest w cytowanej petycji jako „jawni brak szacunku dla kard. Slipyja” i jako „nowa reguła protokółarna watykańskiej biurokracji, zmierzająca do zastraszenia naszych biskupów” — uwaga moja). Naszemu Arcybiskupowi Większemu (Watykan uznaje godność 'Arcivescovo Maggiore' kard. Slipyja, nieistniejący w obrządku łacińskim — uwaga moja) ponownie przeszkadza się w realizacji przysługujących mu praw. Nawet bracia katolicy obrządku łacińskiego stają w naszej obronie. Za 15 lat Ukraina obchodzić będzie pierwsze Millennium jako narodu chrześcijańskiego. W czasie ostatnich 375 lat istnienia, katolicki Kościół ukraiński dał niezmierną ofiarę krwi najlepszych swych synów i córek, męczenników i wyznawców wiary, obrońców jedności ze Stolicą Apostolską. Jeśli jedyną pociechą za te poniesione ofiary ze strony zachodniego świata cywilizacyjnego i Świętej Stolicy Apostolskiej ma być obecny, bolesny stan rzeczy, to należałoby zapytać: 'Gdzie jest Sprawiedliwość i Miłość w Kościele?'”.

Audiatur et altera pars. Zanim uda mi się uzyskać autorytatywne wypowiedzi (o co niesłychanie trudno) na temat tego żenującego Watykan problemu, warto przytoczyć znamienity dokument, nigdzie dotąd nieogłoszony. Rektor sławnego rzymskiego Russicum, Paul Maillieux (Francuz), prowincjał jezuitów obrządku wschodniego i jeden z głównych doradców abpa Casaroli w watykańskiej *Ostpolitik*, w tajnym memorandum z lata 1971 roku, stwierdza na wstępie: „Potępiam jako katolik bez zastrzeżeń, przemocą dokonaną likwidację greko-katolickiego Kościoła na Ukrainie, Rusi Zakarpackiej i Rumunii”. W dalszym ciągu udziela następujących rad:

„Po Chalcedonii (Sobór chalcedoński w roku 451 po Chr.) utworzono patriarchaty w nowych politycznych jednostkach (Rosja, Serbia, Bułgaria i Rumunia). Nie było nigdy ukraińskiego Patriarchatu, natomiast istnieje polityczny, separatystyczny ruch ukraiński w ZSSR i za granicą. Utworzenie ukraińskiego Patriarchatu przez Rzym byłoby uważane przez Sowietów (i innych) jako zajęcie przez Stolicę Apostolską stanowiska w sprawach ukraińskich, jako moralne poparcie dla separatystycznych polityków i dlatego jako wroga ingerencja w wewnętrzne sprawy ZSSR. Jedynymi realistycznymi środkami, jakie można brać pod uwagę w tej sprawie celem po-

prawy położenia milionów katolików w ZSSR są: perswazja, rokowania i nacisk zza granicy (artykuły w prasie itd.). Nie ma wątpliwości że utworzenie ukraińskiego patriarchatu byłoby uznane za prowokację przez Sowietów i utrudniłoby jakiegokolwiek negocjacje. W obecnych warunkach można by zapytać czy nie ma prowokatorów wśród promotorów utworzenia ukraińskiego patriarchatu. Sobór Watykański II przewiduje autonomię dla patriarchatów na ich własnym terytorium. Tę zasadę Stolica Apostolska stara się wprowadzić w życie. Lokalne, odrębne Kościoły są szanowane: biskup dla danego terytorium. Różnorodność biskupów i obrządków na tym samym terytorium stanowi przyczynę słabości Kościoła na Bliskim Wschodzie. Jest rzeczą konieczną zachowanie ostrożności i nie stwarzanie podobnej sytuacji na innych obszarach świata. Innymi słowy: nie jest pożądane tworzenie patriarchatów wschodnich (lub ich odpowiedników), rozciągających się na częściach Patriarchatu Łacińskiego. Wydaje mi się że jest to kwestia zasadnicza. Tym samym w praktyce duża ilość Ukraińców w Nowym Świecie — przede wszystkim młodzież — nie pragnie podporządkowania jurysdykcji biskupów, którzy znają sytuację w Ameryce, Australii... jedynie na odległość. Istnieje konieczność oświecania Rzymu i tym bardziej wyrażania dezzyderatów, lecz następnie należy pozostawić ostateczny sąd i decyzję tym, którzy odpowiadają za cały Kościół. Jest absolutnie niesłuszne oskarżanie ich i powątpiewanie w ich dobrą wolę. Należy raczej zakładać, że ogólnie rzecz biorąc, osądzą oni potrzeby Kościoła w sposób bardziej zrównoważony niż ci, którzy są silnie przywiązani do odrębnego Kościoła”.

Roma locuta, causa finita. Tej autorytatywnej opinii udziela repliki (w sposób pośredni i nie wchodzący w historyczno-prawny zawiły spór) uczony ukraiński Wasylій Markus, profesor rzymskiego centrum chicagoskiego uniwersytetu Loyola, w wywiadzie opublikowanym w styczniu 1973:

„Wiara katolicka na Ukrainie stała się czymś analogicznym do religii muzułmańskiej; nie mając poparcia uznanego Kościoła i uznanej własnej hierarchii, przekształciła się w postawę psychologiczną, w poczucie tożsamości narodowej i kulturalnej, które odnawia się poprzez obrządku zazdrośnie strzeżone. To właśnie niepokoi reżym sowiecki: dopóki katolicki Kościół ukraiński pozostaje depozytariuszem walorów narodowych, dopóty polityka rusyfikacji zderzać się będzie z barierą wiernych. Oto dlaczego państwo sowieckie łączy w przesładowaniach wiernych i nacjonalistów... Po oficjalnie zadekretowanej likwidacji Unii na Ukrainie, nasz Kościół kontynuuje swą działalność na świecie i dopóki posiada przywódcę duchowego, dopóty zachowa swą tradycję historyczną i autonomię. Jest to istotny warunek jego przetrwania, w przeciwnym razie zredukuje się do niezróżnicowanego stada wiernych, przeznaczonych do wchłonięcia przez morze katolików obrządku łacińskiego. Do tego właśnie zmierza Związek Sowiecki. Jest mu oczywiście całkowicie obojętne czy Ukraińcy na świecie są katolikami lub członkami innych wyznań — dąży do tego by nie mieli własnego Kościoła narodowego, który może stanowić punkt oparcia także dla Ukraińców w ojczyźnie. Jak długo będzie istniał Kościół katolicki obrządku wschodniego, ZSSR będzie drzeć przed kłeską polityki asymilacji Ukrainy... Dyplomacja watykańska jest zaangażowana w trudne negocjacje z krajami komunistycznymi. Próbuje nawiązać z nimi stosunki dyplomatyczne i znormalizować sytuację. Ukraińcy mają wszelkie powody do obawy, że koszty watykańskiej polityki wschodniej poniesie Kościół ukraiński. Dla dyplomacji watykańskiej stanowimy ciężar i przeszkodę”.

To ostatnie zdanie wypowiedział również kard. Slipyj 23 października ub. roku na Synodzie watykańskim, w obecności przeszło 2000 biskupów z całego świata. W pamiętnym przemówieniu, które nigdy w całości nie zostało opublikowane, powiedział m.in. z nutą ironii:

„Egzotyczne sprawy Wschodu stanowią wielką atrakcję dla ludzi na Zachodzie. Oczywiście na Wschodzie istnieje wiele rzeczy bardzo osobliwych i godnych uwagi, ale moje myśli biegną przede wszystkim ku ukraińskiemu Kościołowi katolickiemu, którego dzisiejsze położenie sprowadza się do dylematu *to be or not to be*. Mimo hekatomby ofiar za wiarę, jeszcze dziś katolicy ukraińscy podlegają prześladowaniom i nikt ich nie broni. Reżym sowiecki zlikwidował nasz episkopat, zakazał obrządków liturgicznych i udzielania sakramentów; musieliśmy zejść w podziemie. Dlaczego tyle ofiar i cierpień, skoro nie ma dla nas nadziei? Gdzie znaleźć sprawiedliwość? — pytają katolicy ukraińscy. A ja cóż mogę uczynić dla mego Kościoła? Watykan interweniował na rzecz katolików przy tylu sposobnościach, podczas kiedy zignorował los sześciu milionów wiernych na Ukrainie. Odmówiono nam utworzenia patriarchatu ukraińskiego, postulowanego przez Sobór Watykański II. Duchowni ukraińscy przechodzą na łono obrządku łacińskiego. Jest zaskakujące że lud ukraiński pozostał katolicki pomimo tylu cierpień i zawodów. Oto, czcigodni ojcowie, egzotyczne sprawy Wschodu”.

Biskupi ukraińscy nie zrażają się dotychczasowymi niepowodzeniami i bronią swej sprawy z wytrwałością godną najwyższego podziwu. W dn. 22 listopada 1973 kard. Slipyj przewodniczył ponownie zwołanemu synodowi, w którym uczestniczyło 15 arcybiskupów i biskupów ukraińskich greko-katolickich (na 21 sprawujących funkcje duchowne w diasporze). Jak podkreśliła tutejsza prasa synod ten odbył się „bez autoryzacji Stolicy Apostolskiej, na skutek czego pozbawiony jest ważności kanonicznej”. Na konferencji prasowej, pod adresem, przybyłych do Rzymu w związku z synodem, duchownych i świeckich działaczy „stowarzyszenia dla ustanowienia ustroju patriarchalnego w Kościele ukraińskim”, padło pytanie: „Czy inicjatywa zwołania synodu może być interpretowana jako akt schizmatyczny?”. Odpowiedź brzmiała: „Nie pragniemy schizmy, pozostajemy wierni Papieżowi i niewzruszenie lojalni wobec Stolicy Apostolskiej. Domagamy się jedynie od Rzymu uznania naszego prawa do posiadania patriarchy tak jak go posiadają wszystkie wspólnoty katolickie rytu wschodniego”. Na zakończenie obrad synodu Paweł VI przyjął na wspólnej audiencji biskupów ukraińskich pod przewodnictwem kardynała Slipyja. *L'Osservatore Romano*, podając ten fakt do wiadomości, cytuje przemówienie Papieża wygłoszone do członków episkopatu ukraińskiego:

„Każdego dnia dzielimy niepokój i problemy wspólnot ukraińskich, szczerze pragnąc usunięcia istniejących przeszkód w możliwie najlepszy sposób. Zachowujemy też nieustannie zainteresowanie tak dla Ukraińców na emigracji — szlachetnych świadków chrześcijaństwa w starym i nowym świecie — jak i dla waszych rodaków żyjących w Ojczyźnie, do których zwraca się nasza braterska, czujna i fraszliwa troska”.

Sytuacja jest zatem paradoksalna. Z jednej strony Watykan „nie uznaje prawomocności kanonicznej” synodu i odmawia ustanowienia patriarchatu ukraińskiego, z drugiej zaś strony Papież przyjmuje uczestników tego 'nielegalnego' synodu i potwierdza „nieustanną swą troskę” o los ukraińskiej społeczności katolickiej w diasporze i w ojczyźnie. Zachodzi pytanie jak długo można utrzymywać sztucznie przy życiu tego rodzaju paradoks? *Il n'y a que le provisoire qui dure* można odpowiedzieć, znając dzieje dyplomacji watykańskiej.

ŻAŁOSNE WIDOWISKO

Nie zamierzałem wracać do — w gruncie rzeczy drugorzędnych i partykularzowych — spraw dotyczących działalności krajowych ugrupowań katolickich. Jeśli do nich wracam, to z uwagi na fakt, który wymaga prostujących wyjaśnień (impresza nieborowska). Pod koniec września ub.r. odbyło się w Nieborowie (dawny pałac radziwiłłowski — obecnie muzeum i dom wypoczynkowy ministerstwa kultury) międzynarodowe spotkanie katolików, poświęcone tematowi: „Co katolicy mogą uczynić dla pokoju i współpracy w Europie?” Spotkanie to zorganizował katolicki Ośrodek Dokumentacji i Studiów Społecznych przy udziale Społecznego Komitetu Bezpieczeństwa i Współpracy w Europie, który reprezentowali m.in. W. Kraško, przewodniczący sejmowej komisji spraw zagranicznych, architekt H. Skibniewska, wice-marszałek sejmu oraz dziennikarz R. Wojna, b. red. nac. *Życia Warszawy*. W konferencji uczestniczyli działacze grupy „Znak” oraz 18 katolickich parlamentarzystów i intelektualistów z NRF, Francji, Belgii, Holandii i Austrii (m.in. senatorzy A. Fosset, J. Kevers, D. de Zeeuv). Dyskusję zagaili: poseł J. Zabłocki, wice-przewodniczący sejmowego Koła „Znak” oraz dr K. Hahn, wice-sekretarz Europejskiej Unii Chrześcijańsko-Demokratycznej (Hölder), której biuro wykonawcze mieści się w Rzymie.

Impresza nieborowska nie wniosła nic nowego i miała słabe echa na Zachodzie. W pewnych środowiskach emigracyjnych wywołała natomiast opinie kontrowersyjne, inspirowane w dużej mierze przez czynniki krajowe, zainteresowane w szerszym zamętu i dezorientacji. Przyczyniły się do tego głównie dwie audycje radia „Wolna Europa” pt. „Pod katolickim szyldem” i „W czym imieniu?” (*Na Antenie*, listopad i grudzień 1973). Wędrąg tych relacji „wypowiedzi czołowych organizatorów tej imprezy były wiernym echem oficjalnego punktu widzenia kierownictwa partyjnego nie tyle nawet w Warszawie, ile w Moskwie. Gospodarz spotkania wystąpił z tezą że nie tylko rządy i partie komunistyczne Europy Środkowo-Wschodniej, lecz także opinie społeczeństw w tych krajach, nie wyłączając katolików, są jednoznacznie przeciwne wysuwanemu przez Zachód postulatowi swo-

bodnego przepływu idei, ludzi i informacji". Mając uzasadnione zastrzeżenia do wiarygodności tej relacji, zwróciłem się do dr. Hahn'a, uczestnika spotkania nieborowskiego, o naświetlenie tej sprawy. Oto jego wypowiedź:

„Zdawaliśmy sobie doskonale sprawę, przyjmując zaproszenie ODIS'u, że organizatorzy spotkania nie będą mieli pełnej swobody wypowiedzenia swych poglądów. Respektowaliśmy warunki tego spotkania, o jakich nas uprzedzono, tzn. że wezmą w nim udział również przedstawiciele Krajowego Komitetu d/s bezpieczeństwa i współpracy europejskiej, reprezentujący oficjalny punkt widzenia. Sądzę, zresztą, że wszelkie tego typu spotkania na linii Wschód-Zachód mają jedynie sens, jeśli nie są zredukowane do dialogu międzykatolickiego, zwłaszcza że katolicy w Polsce i w innych państwach komunistycznych, działają w specyficznych warunkach, bez możliwości zrzeszania się dla realizacji programów politycznych; pozbawieni są, jednym słowem, prawa do wysuwania własnej platformy ideowo-politycznej. Tym bardziej byliśmy więc zaskoczeni otwartymi wystąpieniami polskich działaczy katolickich. Uderzyło nas że poseł Zabłocki w swym referacie mówił bez ogródek o potrzebie swobodnego krążenia idei, stwierdzając, że po okresie izolacji katolicy polscy ulegają dziś wpływowi zachodnim, co może spowodować pewne trudności — wymiana poglądów powinna jednak trwać i nie należy zrażać się tymi trudnościami. W jego wystąpieniu dostrzegłem pewne sformułowania odbiegające od oficjalnej wykładni w tej materii, a nawet krytyczne akcenty pod adresem partii rządzącej, jak np. brak dostępu dla katolików do mass-media, zarezerwowanych dla urzędowej ideologii. Cytaty przypisywane Zabłockiemu, ogłoszone w piśmie *Na Antenie*, które przeczytałem w tłumaczeniu, stanowią zlepek niektórych zdań wyrwanych z kontekstu jego przemówienia oraz z wystąpienia dziennikarza komunistycznego Wojny. Jest to więc montaż sporządzony dla podmurowania tez komentarza, rozmiągającego się ze stanem faktycznym. W moim zagajeniu i w wystąpieniach pozostałych przedstawicieli katolickich grupowań zachodnich, mogliśmy zreferować stanowisko naszych partii w sprawie wolnego obiegu idei i informacji oraz nieskrępowanej swobody kontaktów, kładąc nacisk na obronę praw ludzkich i obywatelskich, jako kluczowy problem w rozwoju stosunków Wschód-Zachód. Odnieśliśmy na ogół pozytywne wrażenia z przebiegu spotkania”.

Na marginesie i za kulisami spotkania nieborowskiego miały miejsce konkurencyjne rozgrywki pomiędzy odłami grupy „Znak”, co — jak stwierdził dr Hahn — sprawiło fatalne wrażenie na gościach zagranicznych i znalazło również wyraz we wspomnianej relacji „Wolnej Europy”. Nie ma sensu przytaczać tu licznych przykładów tych rozgrywek ośmieszających tu grupowanie katolickie, w oczach zachodnich partnerów. Zdaniem wice-sekretarza międzynarodówki chadeckiej, głównym motywem zwalczania Zabłockiego i jego inicjatyw, jest fakt że działalność ODIS'u naruszyła dotychczasowy monopol tzw. grupy krakowskiej w stosunkach z rządem i z zachodnimi środowiskami katolickimi. Zabłocki cieszy się ponadto zaufaniem Prymasa Polski, „grupa krakowska” natomiast krytykowana jest przez tegoż Prymasa za ciągoty kontestatorskie, imitujące „przelotne mody zachodnie”. Dr Hahn scharakteryzował tarcia wewnętrzne w łonie „Znaku” następująco: „Kłóca się ci panowie o sprawy taktyczne

i personalne, nie o zasady, zapominając przy tym, że działają wyłącznie w oparciu o udzielone im koncesje i w warunkach stroju totalitarnego. Tarcia te czynią przygnębiające wrażenie i kompromitują „Znak” za granicą”.

Proces dezintegracji ruchu katolików świeckich trwa zatem nadal i potwierdza tezę o patologicznych objawach „opozycji” katolickiej w PRL (stanowiącej przedmiot trafnej analizy Al. Zabrzeskiego w nr. 3/294 *Kultury*). Wygrywa te wynaturzenia partia, stosując w praktyce klasyczną zasadę *divide et impera* i przyglądając się z uciechą, zaaranżowanemu przez siebie, żałosnemu widowisku.

Przeciw „psychozie niewolników”

Na początku lutego abp Casaroli wybiera się do Warszawy, tym razem na oficjalne zaproszenie rządu, dla podjęcia zerwanych dwa lata temu pertraktacji, które — zgodnie z komunikatem wydanym po wycieczce listopadowej min. Olszowskiego w Watykanie — mają doprowadzić do normalizacji stosunków pomiędzy Watykanem a PRL. Będą to właściwie rokowania trójstronne — trzecim partnerem jest bowiem episkopat polski. Ponieważ Stolica Apostolska (ostatnio również Warszawa) uznaje konieczność równoległego uregulowania sytuacji Kościoła w Polsce, klucz do porozumienia i ewentualnego nawiązania stosunków dyplomatycznych między Watykanem a Warszawą, znajduje się w rękach kierownictwa polskiego episkopatu. By nie pozostawić cienia wątpliwości, że przesłanki zbliżających się rokowań zależą nie tylko od Kurii Rzymskiej, ale przede wszystkim od episkopatu, Kard. Wyszyński wystąpił 24 grudnia 1973 telegram do abp. Casaroli i sprzeciwił ponownie stanowisko w trzech wystąpieniach: w kazaniu na Boże Narodzenie i homelii na zakończenie roku w katedrze św. Jana oraz podczas „opłatka” dla duchowieństwa. Oba przemówienia w katedrze były relacjonowane obszernie przez prasę światową. Liczne gazety zwróciły uwagę na „twardość oskarżeń” i zdecydowany ton postulatów pod adresem władz państwowych („nie możemy być traktowani jako pariasi w naszej ojczyźnie... Polska nie powinna być krajem, w którym jedynie członkowie partii korzystają z przywilejów, krajem tylko dla niewierzących”). Dzienniki i agencje zachodnie nie sprecyzowały jednak, że te wystąpienia, znamienne ze względu na ich *timing* (zbliżające się rokowania) stanowiły replikę na trwające wciąż praktyki dyskryminacyjne w stosunku do punktów katechetycznych („tajny” okólnik Min. Oświaty do kuratorów funkcjonuje — p. moja korespondencja w nr. 4/307); na sygnalizowane w wielu diecezjach przypadki wywierania nacisku na rodziców i nauczycieli, oraz zakazy kontaktowania się z księżmi i szykany prowincjonalnych kacyków wobec prowizorycznych kaplic (np. najazd grudniowy na dom proboszcza Zabielskiego w Sobolewie w woj. białostockim). Do negatywnych zjawisk zaliczyć trzeba

również zamknięcie katolickiego domu wydawniczego „Verum”, założonego, zaledwie dwa lata temu, przez publicystę A. Micewskiego (autora znanej książki o Romanie Dmowskim), związanego z grupą „Znak”. Nakładem tego wydawnictwa ukazało się kilka pozycji, m.in. modlitewniki, na które uprzednio miał monopol PAX. Likwidacja przez reżym wyd. „Verum” interpretowana jest w kraju jako refleks rozgrywek wewnętrznych w partii (rzutujących również na rozbieżności w grupie „Znak”). Frakcja dogmatyczna (pro-paxowska) dąży do utrzymania obecnego *status quo*, tzn. równowagi sił pomiędzy różnymi ugrupowaniami katolickimi, sprzeciwia się wzmocnieniu „Znaku” i stara się podkopywać pozycję Skarżyńskiego, dyr. Urzędu d/s Wyznań, uchodzącego (słusznie czy niesłusznie) za rzecznika polityki łagodzenia rozbieżności z Kościołem i popierania działalności autentycznych grup katolickich (zespół „Tygodnika Powszechnego, „Więzi”, ODIS'u). Reprezentuje więc nurt, który nazwałbym — z dużą doząitaryfy ulgowej — „włoskim”. Pomimo wizyty Olszowskiego u Papieża, depeszy premiera Jaroszewicza do ciężko chorego kard. Kominka (w dn. 23 grudnia z okazji 70-iej rocznicy urodzin) i innych gestów czy oznak poprawy klimatu „na górze”, w tym samym czasie podjazdowa akcja w terenie nie ustawała. Pozorne, deklaratywne odprężenie zatem, przy zachowaniu niezmienniej polityki nękającej, reakcyjnej, nastawionej na „wykruszenie” pozycji Kościoła w masach ludowych. Skłoniło to prawdopodobnie Prymasa do zabrania głosu w formie twardej i ostrzegającej (także i Watykan) przed uleganiem ułudzie fałszywego odprężenia. Trafnie skomentował homelię prymasowską dziennik *Il Popolo*, organ włoskiej Democrazia Cristiana:

„Z jednej strony Gierek zmierza do negocjowania normalizacji stosunków z Watykanem, z drugiej — do kontynuowania, na skalę masową, ateizacji kraju. Proces ten prowadzi nieuchronnie do kolizji z moralnymi postulatami społeczności katolickiej, które Kardynał Prymas jeszcze raz energicznie potwierdza”.

Na obszerne omówienie zasługuje przemówienie Prymasa podczas „opłatka” do duchowieństwa stolicy, którego treść nie została udostępniona zachodnim korespondentom. Odsłania ono kulisy niedawnej wizyty min. Olszowskiego u Papieża i zawiera cenny materiał dla przyszłych historyków tego okresu dziejów Kościoła i Watykanu. W pierwszej części („Kościół polski pociechą Ojca św.”) Prymas relacjonuje swe ostatnie rozmowy z Pawłem VI, przytaczając jego słowa:

„Wysłuchałem uważnie sprawozdań wszystkich niemal biskupów polskich. Przyjechali dobrze przygotowani. Przedstawili swoje relacje mnie osobiście i w Kongregacjach. Wszędzie pozostawili obraz prawdziwej wspólnoty, postawy, wiary, optymizmu i nadziei. Byli wolni od smutku i przygnębienia. Tajemnicą jest dla mnie że wasi biskupi nie są przygnębieni. Przecież nie brak im trudności. Widocznie jednak wasza praca wiąże was tak bardzo z duchowieństwem i ludem, że możecie zachować żywą wiarę. Proszę powiedzieć biskupom, kapłanom i ludowi, że Papież raduje się z tej wspólno-

ty, z jednolitej i zwartej programowo, duszpasterskiej działalności Kościoła polskiego”.

Cytuje dalej Prymas kard. Garonne (prefekta Kongregacji dla wychowania i szkolnictwa), który po niedawnym powrocie z Polski, mówił Papieżowi o rosnących powołaniach zakonnych: „Ten kraj ma bardzo ciasne seminaria, nie takie pałace jak u nas, ale za to pełne kleryków. U nas są duże gmachy, ale puste. To jest ich (Polski) tajemnicą”.

W drugiej części („Nowy program wychowania zagrożeniem ducha narodowego”) Prymas podkreślił, że dzięki interwencjom episkopatu, druga uchwała dotycząca reformy szkolnictwa (październikowa) „brzmi już zupełnie inaczej, a ponadto projektowaną ustawę odłożono na dwa lata. To co uznaliśmy za największe zagrożenie dla narodu na przestrzeni 25 lat, przynajmniej od strony formalnej, zostało odsunięte”. Ostrzega jednak: „Nie znaczy to że zagrożenie to przestało istnieć od strony merytorycznej. Ono gdzieś tkwi zamaskowane i w nieuchwytnych instrukcjach poszło w teren”. Tzw. „nowy program wychowania socjalistycznego” młodego pokolenia scharakteryzował następująco:

„Wiemy że jest to sformułowanie zakamuflowane — w rzeczywistości bowiem oznacza co innego. Jak wskazuje ten projekt, jest to wychowanie monopolistyczne, nie tylko laickie, ale ateistyczne, bezideowe. Takiego wychowania dla Polski nie chcemy... musi ono być narodowe, a nie partyjne, bo partie się zmieniają, a naród trwa. Wychowanie trzeba opierać na trwałych elementach, a doświadczenie historyczne uczy, że najtrwalszym elementem w Polsce jest rodzina, Naród i Kościół. Wszystkie inne wartości społeczne zawiodły”.

Polemizując następnie z „katolikami postępowymi”, stwierdził:

... „doradzają nam siedzieć cicho i nie drażnić. Jest to psychoza niewolników, a my jesteśmy narodem wolnym i z wolności słowa nie zrezygnujemy za żadną cenę! Dlatego z takich recept nie skorzystamy”.

Odrzucił również *iunctim* pomiędzy wymogami przebudowy społeczno-gospodarczej a walką religijną:

„Przebudowę tę uważamy za rzecz konieczną i korzystną — natomiast wiązanie jej z programem ateizowania społeczeństwa uważamy za działalność wysoce szkodliwą, ponieważ przyczynia się do hamowania tej przebudowy i pozbawia ją motywacji moralnej, psychologicznej, społecznej, niezbędnej dla programowania ekonomicznego”.

Najciekawszą i nader symptomatyczną jest część trzecia tego przemówienia („Uznanie rzeczywistości Kościoła”), w której, po pokwitowaniu wizyty Olszowskiego w Watykanie („jest to objaw korzystny, że władze państwowe uznały za wskazane skierować do Rzymu ministra spraw zagr.”) Prymas powiedział m.in.:

„Nie jest prawdą, jak napisano w piśmie uważającym się za katolickie (paxowskie *Słowo Powszechne* — przyp. mój), że jest to szczególna zasługa właśnie tej grupy. Od roku 1949 bowiem (data jego ingressu jako metropolity gnieźnieńsko-warszawskiego — przyp. mój) podjęliśmy inicjatywę rozmów z władzami państwowymi, co znalazło wyraz w zawartym później 'Porozumieniu'. Jeśli nie wydało ono owoców, nie jest to winą Kościoła. Pozostaje historycznym faktem że episkopat polski pierwszy wyszedł na spotkanie i nie był wtedy zrozumiany przez nikogo. Nawet w kołach i kręgach katolickich spotkał się z krytyką. Pozostał fakt, który wskazuje na to, że naród, państwo i Kościół nie mogą żyć obok siebie bez wzajemnego zrozumienia i szukania możliwości współdziałania... Dziś uważa się, że droga ta jest drogą pozytywną, konstruktywną i korzystną dla państwa. Potwierdza to rozgłos jaki wzięcie min. Olszowskiego u Papieża nadała prasa światowa. Uznano, że rozsądek zwyciężył nad doktrynerstwem. Jest to korzystne i dla Kościoła ponieważ okazało się, iż postawa episkopatu od początku była właśnie taka, jaką pod koniec 1973 roku zajął również rząd polski”.

Ostrzega następnie przed łatwym, przesadnym optymizmem. Zagadnienie normalizacji jest bowiem trudne i złożone, „wymaga rzetelnej postawy, uznania rzeczywistości jaką reprezentuje Kościół i jego praw”. Należy zwrócić uwagę, że kard. Wyszyński w kontekście „uznawania” obustronnych „rzeczywistości” nie używa nigdy terminu „partia”, lecz państwo — jest to istotne, partia pretenduje bowiem do uznania przez Kościół „rzeczywistości ustrojowej PRL”, to znaczy sowieckiego modelu „socjalistycznego”, kierowniczej roli partii, jej monopolu władzy. Prymas gotów jest uznać jedynie „państwo” polskie powstałe w wyniku uchwał jałtańskich. A oto słowa Papieża (jakie cytuje Prymas) wypowiedziane podczas audyencji udzielonej min. Olszowskiemu:

„Kościół w Polsce ma swój wysoki autorytet, swoje wielkie zasługi, stworzył kulturę chrześcijańską, skupia się przy nim zwarte społeczeństwo, stojące wytrwale przy biskupach i kapłanach. Kościół w Polsce pracuje rzetelnie i dlatego musimy się z nim liczyć. Nie podejmujemy żadnych decyzji bez porozumienia się z episkopatem polskim. Życzymy sobie aby władze państwowe należycie rozwiązywały różne problemy miejscowe na płaszczyźnie wewnętrzno-krajowej, a wówczas można liczyć na trwałe układ naszych wzajemnych stosunków”.

W konkluzji tego wystąpienia Prymas stwierdził:

„Jakie będą wyniki rozmów trudno przewidzieć. W polityce zawsze jest więcej elementów niepewnych niż pewnych. W tym miejscu, gdzie się znajdujemy (tzn. w pałacu prymasowskim przy ul. Miodowej — przyp. mój), w roku 1953 jeden z polityków wykladał mi, że Kościół polski ma cztery możliwości, cztery rozwiązania. I wyłożył je przemądrze. Odpowiedziałem mu: 'Jeżeli polityka znajduje cztery rozwiązania, to nie jest jeszcze najgorzej z nami. Rozmawia Pan z biskupem katolickim — powinien Pan wiedzieć, że ma on jeszcze jedno rozwiązanie: więzienie. Bo biskup czy jest w więzieniu, czy przy ołtarzu i na ambonie, jednakowo służy Kościołowi i ludowi. I dzisiaj jest podobnie. Możemy przeżywać wielkie trudności, możemy okazać się ludźmi słabymi i zawieść. Możemy niekiedy pomylić się w szczegółach, ale musimy być silni w wierze i zawsze gotowi do wyrzeczeń'”.

Przytoczone powyżej fragmenty przemówienia Prymasa mówią same za siebie i nie wymagają komentarza. Misja abp. Casaroli, któremu towarzyszyć będzie prawdopodobnie mons. Poggi, nuncjusz do specjalnych poruczeń i dobry znawca spraw polskich, nie zapowiada się najlepiej. Bardzo znamienne, że w tym momencie właśnie tygodnik *Rinascita*, organ włoskiej partii komunistycznej, przypuścił gwałtowny atak na kard. Wyszyńskiego, oskarżając go o „reakcyjne wystąpienia przeciw Kurii Rzymskiej i rządowi polskiemu”, zarzucając mu, że „szuka pretekstu dla stordedowania perspektywy normalizacji stosunków pomiędzy Państwem polskim i Watykanem” i że „rzuca przeszkody na drodze misji mons. Casaroli”. Organ włoskich komunistów przestrzega Kurie Rzymską by nie dała się wciągnąć w potrzask zastawiony przez Prymasa i w żadnym wypadku „nie ryzykowała ponoszenia kosztów jego planów”. Artykuł był przedmiotem komentarzy ekspertów watykańskich, jako niewątpliwie inspirowany przez te oficjalne czynniki polskie, które widzą w „nieprzejednanej”, tzn. jasno określonej, postawie Prymasa, główną przeszkodę w realizacji planu polegającego na próbie dogadania się z Watykanem „na podstawach realistycznych”, tj. za możliwie jak najniższą cenę. W tej sytuacji wszelkie pogłoski kursujące na temat rzekomo już uzgodnionej podróży Papieża do Polski są przedwczesne. Od wyników misji abp. Casaroli (nie skończy się prawdopodobnie na jednej rundzie negocjacji) zależy czy „pielgrzymka Pawła VI do Czestochowy” dojdzie do skutku w tym roku. Na tej podróży zależy dziś bardziej kompartii w Warszawie i jakkolwiek brzmi to paradoksalnie — taka jest rzeczywistość.

Dominik MORAWSKI

P.S. 31 grudnia ub.r. radio watykańskie (a 7 stycznia komunikat sekretariatu Prymasa Polski) podało do wiadomości, że Paweł VI powołał do godności biskupiej ks. prałata Mariana Rechowicza, wikariusza kapitulanego w Lubaczowie, b. rektora Katolickiego Uniwersytetu Lubelskiego, administratora apostolskiego dla obszarów metropolii lwowskiej, znajdujących się w obrębie Polski. Jest to osobisty sukces kard. Wyszyńskiego. Osierocona w sierpniu (po zgonie bp. Jana Nowickiego) administracja apostolska w Lubaczowie otrzymała nowego ordynariusza. Tempo rekordowe jak na normalne, latami nieraz trwające przewlekanie decyzji dotyczących nominacji watykańskich w przypadkach spornych i delikatnych. Nominacja bp. Rechowicza wskazuje na to, że Watykan postanowił prolongować kościelne *status quo* na polskich obszarach wschodnich, odciętych od kanonicznych, macierzystych siedzib diecezjalnych, położonych na terytorium polskim utraconym na rzecz ZSSR.

D. M.

Pisane 25 stycznia 1974

Chile

Choć od „faktu dokonanego” w Chile upłynęły już ponad cztery miesiące, choć reżym wojskowy dzierży mocno swą władzę i zaprowadził kasarniany nieomal spokój i porządek, prasa światowa nadal informuje o tym peryferyjnym kraju znacznie więcej niż o jakimkolwiek innym łaćińsko-amerykańskim. Ale obecnie głównym tematem są ustawiczne egzekucje, tortury i inne represje wobec pokonanych lewicowców. Prawie jedno-myślna reakcja oburzenia i protestu spowodowana tymi represjami obejmuje nawet tak małe o filo-marksizm podejrzane kraje jak Stany Zjednoczone, Hiszpanię, Boliwię, Republikę Dominikańską etc.

Wedle dość wiarygodnych informacji liczba ofiar waha się między 15.000 i 30.000, czyli przekracza grubo saldo dyktatur w Brazylii i Grecji. Władze tutejsze i prasa przemilczają dyskretnie wszelkie wiadomości na ten temat, lub popadają w jaskrawe sprzeczności. Oto przykład: dnia 4 grudnia 1973 *El Mercurio*, nestor prasy południowo-amerykańskiej i jedyny poważny dziennik tutejszej „prawicy gospodarczej”, doniósł o ponad 900 aresztowaniach na tle politycznym w jednej tylko, małej zaludnionej, prowincji rolniczej Nuble. Ponieważ Chile posiada 25 prowincji, przypuszczalna, i zapewne prawdziwa, ilość ogólna uwięzionych wynosić by musiała ponad 20.000. Otóż ten sam dziennik informował następnego dnia swych czytelników, iż generał Stuardo de la Torre, z okazji swej wizyty w Rio de Janeiro, oświadczył tamtejszym dziennikarzom, że ilość więźniów politycznych w całym Chile wynosi około 500. Pewien polityk chilijski zapytany niedawno w Madrycie o ilość rozstrzelanych w Chile, oświadczył kategorycznie, że jest ich 82, podczas gdy jednemu z tutejszych generałów wymknęło się w *interview* z dziennikarzem zagranicznym wyznanie, że idzie tu o „kilka tysięcy”.

Taktyka stosowana przez „Junte” generałów wniosła atoli do tradycyjnych metod eksterminacji przeciwników pewną nowość: jak dotąd bowiem ani jeden z głównych liderów, ministrów, senatorów i posłów ubiegłego reżymu nie został zabity. Wszyscy żyją i są nawet niezłe traktowani w więzieniach, gdzie oczekują rozpoczęcia procesów. Natomiast masowe egzekucje dotyczą ludzi prawie anonimowych, lokalnych szefów partii lewicowych, urzędników, robotników i chłopów, jednym słowem ludzi, o których — jak zapewne sądziły szare eminencje „Junty” — nikt za granicą nie będzie się upominał ani protestował. Nie jest nawet wykluczone, iż główni i najbardziej znani liderzy lewicy zostaną skazani na długoletnie więzienia i po kilku latach, dzięki „wspa-

niałomyślniej amnestii” wyjdą na wolność, aby stwierdzić, że ich partie i organizacje zostały w praktyce zupełnie zlikwidowane.

Aby upozorować nieodzowność tych represji, Junta twierdzi, że ubiegły reżym opracował był jakiś szatański „Plan Z”, który przewidywał zgładzenie ponad 100.000 wrogów lewicy — w pierwszym rzędzie oczywista generałów i pułkowników — i że jedynie zamach wojskowy zapobiegł na czas tej straszliwej zbrodni. Otóż przyjąwszy nawet, że któraś z najbardziej radykalnych grup ultralewicy miała zamiar „zlikwidować” w odpowiednim momencie kilkunastu czy nawet kilkadziesiąciu najbardziej niebezpiecznych wrogów lewicy, faktem jest, że „Plan Z”, jeżeli w ogóle istniał, to tylko na papierze oraz że podczas trzech lat rządów lewicy ani jeden z jej jawnych i zaciętych wrogów nie został skazany na śmierć ani na długoletnią karę więzienną. Nawet „Biała Księga” z wyliczeniem wszystkich prawdziwych i urojonych grzechów ubiegłego rządu, z trudem wylicza niespełna sto ofiar terroru marksistowskiego, przy czym na ogół idzie tu o ofiary zbrojnych starć między grupami przeciwników, w których ginęli ludzie po obu stronach. Jeżeli uwzględnić ponadto, że represja obecna wychodzi od wojska, które do ostatniej chwili współpracowało z ubiegłym rządem i miało w nim swych ministrów, nie sposób doszukać się u tego wojska żadnej legitymacji moralnej do masowego zabijania, a już w każdym razie dysproporcja między „winą” i karą jest tak oczywista i rażąca, że trudno się dziwić, iż Chile ma tak „złą prasę” na całym świecie.

Co więcej i co ciekawsze, wojsko chilijskie, w chwalebny odróżnieniu od innych łaćińsko-amerykańskich krajów, posiadało od wielu lat zasłużoną renomę skrajnej a-polityczności, karność, lojalności wobec każdego rządu oraz dyskretnej i prawie cywilnej postawy w społeczeństwie. Wojsko to nie jest kastą ani nie przywodzą mu potomkowie patrycjuszowskich rodzin, lecz wywodzi się raczej ze sfer małowieszczkańskich. Gaze wojskowych były i są nadal bardzo skromne, a ostry regulamin systemu awansów zmusza co roku wielu wyższych lecz młodych jeszcze oficerów do przejścia w stan rezerwy i do zajmowania poślednich zatrudnień w biurokracji lub przemyśle. Nierzadko funkcję głównego portiera w bankach lub fabrykach spełnia spensjonowany kapitan lub major. Dlatego też wojsko tutejsze było zawsze otaczane sympatią ludu, podczas gdy tzw. arystokracja traktowała je nieco *per nogam* i do jej salonów mieli dostęp co najwyżej generałowie i admirałowie.

Narzuca się więc pytanie, dlaczego takie właśnie wojsko, traktowane zresztą przez ubiegły reżym bez porównania lepiej niż przez poprzednie rządy, zdecydowało się na tak drastyczną decyzję i dlaczego zamiast zająć stanowisko bezpartyjnego rozjemcy między lewicą i prawicą, uplasowało się wyraźnie po stronie tej ostatniej.

Spróbujmy dać na to odpowiedź: Od wielu lat wszyscy prawie wyżsi oficerowie chilijscy (jak zresztą z wyjątkiem Kuby

wszystkich pozostałych krajów tego kontynentu) odbywają kursa dokształcające w USA lub w Panamie, w tzw. *South Commando*, gdzie prócz czysto wojskowych przedmiotów nauki wpajają w nich systematycznie idee skrajnego nacjonalizmu i antymarkszizmu i skąd wracają z reguły z pięknym autem, zaoszczędzonymi dolarami i awansem. Sytuacja geopolityczna i gospodarcza Chile stawiała ten kraj z natury rzeczy w sferę wpływów północno-amerykańskich, które nawet wielu lewicowców przyjmowało jako nieuniknioną konieczność lub konieczne zło. Dodajmy do tego czynnik dyscypliny wojskowej, która w połączeniu z typowym dla wojskowych brakiem wyrobienia politycznego sprawiła, że nie mały zapewne odsetek oficerów lewicujących wypełnił jednak posłusznie rozkazy zwierzchności, pomijając fakt, że nieznaną ilość niepewnych oficerów i podoficerów została po prostu zgładzona w przeddzień zamachu stanu.



Ale pomijając powyższe względy, wydaje mi się że negatywne stanowisko opinii zagranicznej wobec nowego reżymu chilijskiego ma inne specyficzne podłoże. Większość ludzi, nie wyłaczając zatwardziałych cyników i sceptyków, pragnie instynktownie, podświadomie chociażby, móc wierzyć w piękne ideały a nawet w utopie. Po smutnych doświadczeniach rosyjskiej wersji komunizmu, po zawiedzionych nadziejach pokładanych w „polskim październiku”, po szybkim bardzo zwiędnięciu „stu kwiatów” chińskich i po brutalnym epilogu wiosny czechosłowackiej, nadzieje milionów ludzi dobrej woli i dobrej wiary skoncentrowały się na eksperymencie chilijskim. Po raz pierwszy bowiem na świecie zaczęto realizować tu główne postulaty socjalizmu bez uciekania się do tzw. dyktatury proletariatu, bez krwawych prześladowań wrogów politycznych lecz zachowując wszystkie swobody demokratyczne w stopniu zaskakującym każdego sprawozdawcę zagranicznego, najbardziej nawet uprzedzonego do lewicy. Jeżeli przyjmujemy, że stosunek kleru do danego ustroju jest probierzem tolerancyjności tegoż ustroju, stwierdzić należy, iż z nielicznymi wyjątkami kler chilijski a szczególnie jego najwyższe hierarchie współżyły a nawet współpracowały bez tarć z rządem Dr. Allendego. I choć reżym lewicowy popełnił bardzo dużo karygodnych błędów i nadużyć, do których zresztą na ogół sam się przyznawał, nie zasługiwał on na tak brutalny koniec. Przez długie lata pozostanie on w pamięci ludu jako „złoty okres”, który udostępnił najuboższym nie tylko możliwość przyzwoitego ubrania i odżywiania się ale nawet zakup lodówek, telewizorów i pralek elektrycznych — choć odbyło się to oczywista (bo cudów nie ma) na koszt uspołeczniczonych fabryk pracujących na straty.

Ponieważ w ostatniej fazie rządów lewicy jedyną alternatywą była wojna domowa, można było zgodzić się na dyktaturę wojskową, gdyby celem jej było dostosować zasięg i tempo reform

społecznych do realnych możliwości kraju i do konsensu większości opinii publicznej, podobnie jak czyni to z powodzeniem wojskowy rząd peruwiański. Tego rodzaju rozwiązanie, choć spotkałoby się z oporem nielicznych grup ultralewicy i ultraprawy, zostałyby przyjęte przez absolutną większość społeczeństwa z ulgą i radością. Niestety wojsko tutejsze obrało inną drogę: rozpoczęło swą akcję od represji przeciw całej, nawet umiarkowanej, lewicy, a nawet przeciw wielu chadekom, i w oparciu o najbardziej reakcyjne elementy rodzimego i zagranicznego kapitalizmu zabrało się do systematycznej likwidacji wszystkich prawie postępowych reform ubiegłego reżymu. Co prawda frazeologia „Junty” podkreśla ustawicznie konieczność partycypacji klasy pracującej w przedsiębiorstwach, ale w praktyce udział tej klasy w dochodzie narodowym został drastycznie przesunięty na korzyść przedsiębiorców. Dochód przeciętnej większości robotników wynosi obecnie około 24-30 dolarów miesięcznie. Jest to bez najmniejszej przesady głodowe wynagrodzenie i gdyby miało się ono utrzymać na tym poziomie przez kilka miesięcy, doprowadziłoby niechybnie tysiące ludzi do śmierci z głodu.



Prasa chilijska tylko wyjątkowo donosić może o przychylnych dla obecnego ustroju wiadomościach zza granicy, pochodzących z reguły z najbardziej reakcyjnych źródeł, natomiast co dzień informuje z ubolewaniem o „bezpodstawnych i niesłusznych” napaściach prasy światowej na Chile, przypisując je „skoordynowanej akcji komunizmu”, popieranej przez krótkowzrocznych liberałów i innych tzw. „pożytecznych głupców”. Dlaczego prasa chilijska nie ukrywa tych niemiłych wiadomości? Nie tylko dlatego, że psychologowie „Junty” odkryli, że publikowanie ich jest mniej szkodliwe niż szeptany obieg wiadomości zasłyszanych w radiach zagranicznych, ale głównie dlatego, że wiadomości te — często przesadzone — stanowią idealną pożywkę dla wywoływania zbiorowych reakcji obrażonej dumy narodowej. Niedawno, z okazji szczególnego nasilenia takich wiadomości, pewien dziennik tutejszy zaopatrzył je ośmiokolumnowym tytułem „Chile samo przeciw całemu światowi” — sformułowanie czyniące z Chile podmiot a nie przedmiot konfliktu.

Jak wiadomo, do stworzenia chaosu, który doprowadził do upadku rządu lewicowego najbardziej przyczyniły się strajki tak zwanych gremialistów, szczególnie właścicieli ciężarówek, stanowiących główny środek transportu żywności w Chile. Ich lider, niejaki Vilarin, odznaczył się wówczas szczególną perfidią, gdyż za każdym razem kiedy rząd Allendego zgadzał się na żądania strajkujących, Vilarin wysuwał coraz to nowe pretensje aby przedłużyć strajk. Otóż niedawno, aby przeciwdziałać „wrogiej kampanii zagranicznej i wyjaśnić jak naprawdę sytuacja wyglądała i wygląda”, delegacja tychże gremialistów odbyła *tournee* po Ameryce Łacińskiej i Europie. Już pierwszy jej etap — Boliwia,

kraj rządzony przez antykomunistyczną dyktaturę wojskową — rozpoczął się od sromotnego afrontu: po paru minutach konferencji prasowej, dziennikarze boliwijscy wygwizdali gremialistów, którzy natychmiast opuścili Boliwię. Podobny los spotkał ich w Peru, Ekwadorze i Wenezueli, a potem w Paryżu. We frankistowskim zaś Madrycie, delegacja prawników chilijskich, którzy opracowują nową konstytucję, została wypędzona z wydziału prawa przez hiszpańskich studentów i profesorów.

Zwarta do niedawna koalicja antylewicowa ulega przyspieszonemu rozkładowi. Jej najliczniejszy składnik — chadecja — która w roku 1970 utorowała tryumf Dr. Allendemu, aby trzy lata potem doprowadzić do jego upadku, stoi dziś pod ostrzałem ultra-prawicy która oskarża ją o zainicjowanie jeszcze w roku 1964 „złobnej polityki reform społecznych i o demagogię”. Wolno nawet zaryzykować tezę, iż drugą — po koalicji lewicowej — ofiarą własnego zaślepienia jest właśnie chadecja chilijska, która straciła swój prestiż nie tylko w kraju, ale wśród bratnich partii za granicą.

Ale nawet prawica nie stanowi jednolitego frontu. Składają się na nią — od prawa na lewo — rozmaite grupy czysto faszystowskie, „Opus Dei” oraz liberałowie manchesterowscy i neomanchesterowscy, przy czym każda z tych grup posiada swoje wpływy w sferach wojskowych. Nadaje to obecnemu ustrojowi dość jednolity charakter. Np. stopień represji zarówno w rozmaitych prowincjach kraju jak w ministerstwach, urzędach, uniwersytetach, etc. zależy od przekonań i charakteru generała, admirała lub pułkownika, sprawującego w nich najwyższą władzę. A różnice bywają jaskrawe. W prasie zaś sprzeczności drażące pravicę przejawiają się w ostrych dyskusjach na temat charakteru przyszłej konstytucji, którą jedni życzą sobie opartą na systemie korporacyjnym i bezpartyjnym, inni zaś opartą — jak do niedawna — na systemie partyjno-parlamentarnym. Dyskutuje się też na temat dozwolonych granic „wolnej konkurencji”. Ostatnie pościągnięcia władz wojskowych, jak np. surowy zakaz jakiegokolwiek działalności politycznej dla wszystkich bez wyjątku partij prowojskowych, dowodzi, że w walce podziemnej między „prawicą gospodarczą” a chadecją i liberałami zwyciężać zaczyna pierwsza z nich. Chadecja bowiem, aby „odzyskać twarz” i nie ulec rozpadowi, pragnęłaby rychłego powrotu do ustroju demokratycznego, gdyż w rychłych wyborach odziedziczyłaby głosy większości lewicowców, których partie zostały w ogóle rozwiązane i pozbawione legalności. Natomiast prawica gospodarcza, z natury rzeczy bardzo nieliczna i świadoma, iż w wolnych wyborach nie miałyby żadnych szans, woli żeby dyktatura trwała jak najdłużej i proponuje na przyszłość system korporacyjny, przy którym ona sprawowałaby prawdziwą władzę. Rozbitkowie lewicy siedzą cicho, gdyż rozumieją dobrze, że w obecnej sytuacji jakakolwiek akcja skazana jest na niepowodzenie i na zaostrzenie represji.

Czy wszystko co robią władze wojskowe należy potępić? Zaryzykowałbym niepopularną zapewne tezę, iż mimo wszystko wojsko działa na ogół w dobrej wierze, pragnie — na swój sposób, ale szczerze — dobra kraju i jego obywateli i pod wieloma względami położyło kres panującemu tu do niedawna chaosowi. Fabryki i kopalnie zwiększyły wydatnie swą produkcję, sklepy ponownie są pełne towaru (choć mało kto może sobie pozwolić na kupowanie), przestępczość zmalała dzięki godzinie policyjnej (od 12 w nocy do 5,30 nad ranem), ulice miast są obecnie dość czyste, a z płotów, murów i ścian domów zniknęły istne palimpsesty nawarstwionych od lat natarczywych sloganów wszystkich możliwych partii i partyjek politycznych, etc., etc. Rząd Allendego na próżno domagał się od opozycji w parlamencie aprobaty dla projektu ustawy przewidującej ostre sankcje przeciw „przestępstwom gospodarczym” czyli paskowi, ukrywaniu towarów, czarnemu rynkowi, itp. Natomiast „Junta” wprowadziła niedawno w życie podobną ustawę, przewidującą do dwudziestu lat więzienia.

Wszystko to jest bardzo piękne i godne pochwały, ale... wojsko ma złych doradców cywilnych, zarówno tych, którzy inspirować brutalną represję jak i „speców” od gospodarki, którzy w kraju biednym (choć potencjalnie bogatym) nawykłym od wielu lat do cen subwencjonowanych przez państwo dla szeregu artykułów pierwszej potrzeby, upierają się by wprowadzić tu system rynkowy i wolną konkurencję.

Zaletą każdej dyktatury jest nieograniczona swoboda natychmiastowej zmiany kursu, kiedy doświadczenie dowodzi że dana polityka i taktyka nie daje pożądanego rezultatu. W miarę jak „Junta” robić będzie rozsądny użytek z tej swobody mając na względzie dobro wszystkich obywateli a nie tylko uprzywilejowanej grupy przemysłowców i finansistów, zaskarbi sobie ona poparcie szerokiego mas ludności, która po przerostach rozpoltowania i jałowej walki parlamentarnej, chętnie znieśli kilka lat „dobrej” dyktatury.

A nie ulega najmniejszej wątpliwości, że zanosi się na dobrych kilka lat dyktatury!

N. N.

Santiago, styczeń 1974

Widziane z Brukseli

FIAT (ex oriente) LUX

„Niech niebiosa oświecą chrześcijan na całym świecie tak aby zdali sobie sprawę z niebezpieczeństwa i aby połączyli swe wy-

siłki z naszymi, dla dobra całego gatunku ludzkiego...". Ten wzruszający apel okazał się w jednym przynajmniej przypadku skuteczny. Choć nie akurat do mnie skierowany — podzielał. Przejrzałem, zdałem sobie sprawę i połączyłem swe wysiłki. A oto wynik.

Apel do niebios jest pióra „islamisty Fajeza Ażżada” i zamyka najnowsze wydanie znanego dzieła naukowego „Protokoły Mędrców Syjonu”. Jest to inicjatywa jak najbardziej na czasie, „Protokoły” bowiem to dziś już biały kruk. Wystarczy wspomnieć, iż ten płód kilku mędrców z carskiej Ochrany nie był wydawany od czasu Hitlera. Sowiecka agencja „Nowosti” raz tylko potrafiła przerwać to krzywdzące milczenie, publikując w lecie ub. roku w swym paryskim biuletynie artykuł oparty o naukowe rewelacje z „Protokołów”, ale ta odważna próba zakończyła się skandalicznym wyrokiem skazującym „za podżeganie do nienawiści rasowej”, wydanym przez opanowany przez syjonistów burżuazyjny sąd francuski. Lukę wypełnił dopiero przyjaciel postępu i obrońca prawdy — król Fejsal. Wydał „Protokoły” w najpełniejszej ze znanych wersji, wraz z oryginalną przedmową napisaną przez francuskiego myśliciela Rogera Lambelin w 1925 roku. Zgodnie zaś z apelem Ażżada, Fejsal rozdaje „Protokoły” wszystkim swym chrześcijańskim gościom, aby „oświetlić ich dla dobra gatunku ludzkiego”. Dzieło to, w fibrowej walizeczce, otrzymali również ostatni chrześcijanie bawiący w stolicy Fejsala, to znaczy francuski minister spraw zagranicznych Jobert, towarzysząca mu świta oraz dziennikarze. Dla całości obrazu dodajmy, że przedtem jeszcze dzieło to otrzymał również p. Messmer, ówczesny minister wojny a obecny premier Republiki francuskiej. Nie udało mi się natomiast sprawdzić, czy otrzymał „Protokoły” p. Kissinger. Chyba nie, bo to przecież nie chrześcijanin...

W tym wszystkim nie byłoby nic nadzwyczajnego — król Fejsal produkuje i eksportuje kilkaset milionów ton ropy rocznie, ma więc prawo do szerzenia wszelkich przekonań. Nieostrożność popełnił *Le Monde*, który chciał wydelegować do obsługi podróży Joberta dziennikarza nazwiskiem Eryk Rouleau. Otóż onże Eryk, mimo, iż odpowiednio „oświetlony” pisywał już reportaże „dla dobra gatunku ludzkiego” ze wszystkich krajów arabskich i nawet z Arabii Saudyjskiej, tym razem, z powodu swego nieczystego pochodzenia, wizy do Fejsala nie dostał.

„Nie do wiary” — powiedzieli w *Le Monde* — którego przedstawiciele, wraz z Rouleau, udali się natychmiast do królewskiej ambasady w Paryżu, gdzie wywiązała się następująca mniej więcej dialog:

„Niech będzie pochwalony, przyszedłszy połączyć nasze wysiłki. Nie chcecie Rouleau, zapewne wyłącznie z politycznych względów, nie macie do niego sympatii, wasza sprawa. Dla dobra gatunku ludzkiego uważamy jednak, że jakiś nasz przedstawiciel powinien wraz z min. Jobertem do Riadu się udać”.

„Incz Allah, naturalnie, prosimy, już jest wiza. A kto to?”

„Kobieta, specjalistka od spraw Irlandii..., chyba nie skodzi”.

„Broń bo... przepraszam, Allah jest wielki, król szanuje kobiety, znał ich nawet sporo...”.

„Ale, tego, ona też nie chrześcijanka, pochodzenie, można powiedzieć, jak Rouleau...”.

„Sorry, panowie, to nieporozumienie, wizy na razie nie ma...”.

Le Monde oburzył się, korespondenta nie wysłał. Tylko jeden tygodnik — lewicowy i pro-arabski — z nim się zsolidaryzował, reszta dziennikarzy pojechała, jak gdyby nigdy nic. Kilka organizacji antyrasistowskich ogłosiło protesty, których nikt nie wziął poważnie i tylko jedno pismo nazwało rzecz po imieniu, ale był to tygodnik satyryczny *Le canard enchainé*. Francuski klub prasy dyplomatycznej uznał, że „brak elementów do zajęcia stanowiska”, a francuskie MSZ ogłosiło tak bełkotliwy komunikat, że w ogóle nie wiadomo o co chodzi, poza tym, że to wina nie Fejsala a Rouleau, bo to on, a nie monarcha, urodził się w niewłaściwej rodzinie. Wbrew opiniom niektórych przewrażliwionych malkontentów, uważamy, iż jest to stanowisko prawidłowe i konsekwentne, odpowiadające całkowicie wymogom chwili.

Trzy razy nie

Skromna i dyskretna postawa dyplomacji i prasy francuskiej jest zrozumiała. Wszelkie wyrazy zdumienia są albo wyrazem złej woli, albo polegają na nieporozumieniu. Albowiem nie jest to już ten sam Fejsal co dawniej, nie jest to ta sama Francja i nie jest to ta sama Europa.

Po pierwsze — p. Jobert pojechał prosić o naftę, a nie wyklócać się o hasła Rewolucji Francuskiej z 1789 roku. To było dawno i nieprawda. Arabia saudyjska obiecała — nawiasem mówiąc niczego jeszcze nie podpisując — setki milionów ton ropy i chce w zamian Miraże i czołgi, a nawet niekochaną na świecie, ponad-dźwiękową „Concorde”, a więc to wszystko czym Francja bogata, a co jedynie jest jeszcze Beduinom potrzebne, aby ze średniowiecza wskoczyć wprost do epoki kolorowej telewizji (francuski system SECAM, naturalnie). Ten marsz do nowoczesności miał zapewne na myśli p. Jobert kiedy w uniesieniu mówił w pałacu z 1.001 nocy w Riadzie: „Wysublimowana myśl monarchy uzasadnia miejsce jakie Fejsal zajmuje w świecie Islamu...”.

Po drugie — porównywanie Francji z Ameryką, a Joberta z Kissingerem, jest pozbawione sensu. To prawda, że Kissinger nikogo nie pytał o wizy, ani nie przedstawiał świadectw chrztu, o które i dla niego samego i dla połowy towarzyszących mu dziennikarzy nie byłoby wcale łatwo, to prawda, że Jobert postąpił odwrotnie, nie wpuszczając „nieczystych” do swego samolotu. Ale o co tu chodzi?

W 1830 roku Karol X podbił i zaanektował Algier albowiem konsul Francji poczuł się urażony, kiedy niewolnik odpędzający muchy w czasie przyjęcia na dworze beja, dotknął jego kartezańskiego karku. W 1882 roku major Rivière okupował — z wia-

domym skutkiem — cytadelę w Hanoi, albowiem piraci nadsyłani z Chin niepokoiłi kolonię kochinchińską. Otóż te czasy — i słusznie — należą do przeszłości, Francja jednak nie zatrzymała się w odpowiednim momencie dekolonizacji ale — jak to kolorowo określił pewien dziennik w Kuwejcie na powitanie Joberta: „Francja spadła do rządu trzeciorzędnego mocarstwa z trzeciego świata”, natomiast USA ciągle są mocarstwem i to nawet super.

Francja potrzebuje nafty Fejsala, natomiast Fejsal nie potrzebuje niczego z Francji. USA zaś nie potrzebują nafty Fejsala, natomiast Fejsalowi potrzebne jest wszystko z USA. Fejsal wobec Francji jest więc takim samym mocarstwem co USA wobec Fejsala. W takiej sytuacji są zawsze dwa wyjścia. Albo postarać się odwrócić proporcje i zależność, albo je akceptować. Francja wybrała to drugie.

Zgoda na rasistowskie praktyki nie jest w Paryżu bez precedensu. W 1938 roku, tuż po Monachium „bawił” w Paryżu hitlerowski minister spraw zagranicznych p. Ribbentrop. Aby nie zmacić oblicza dostojnego gościa z Rzeszy — którego zapatrywania rasowe nie były obce gospodarzom — na rządowy obiad premier Bonnet „zapomniał” zaprosić panów Mandela i Zaya, dwóch ministrów pochodzenia p. Rouleau. Dalszy ciąg jest znany. W imię kryteriów stosowanych dziś przez króla Fejsala, obaj ministrowie zostali w 1944 zamordowani, a Francja przez cztery lata znośła kryteria p. Ribbentropa.

Po co zresztą sięgać tak daleko w historię? Nie tak dawno, w Paryżu, w imię zasad „Mein Kampf”, książki równie co „Protokoły” popularnej w niektórych krajach naftowych, Jego królewska Mość Fejsal zażądał odsunięcia od monarszego stołu p. Benno Vallières, prezesa firmy „Dassault” produkującej m.in. „Miraże”, tak ważne dla emancypacji beduinów oraz p. Dreyfusa, dyrektora „Renault”. Nie trzeba dodawać, iż nikt nie protestował — zresztą prezes i dyrektor mają większe od ministrów sprzed wojny szanse przeżycia stosowania we Francji paragrafu aryjskiego...

Po trzecie, Europa jest na kolanach, jeżeli w ogóle coś bez głowy i serca może być na kolanach. Europa szczyła w wyniku polityki m.in. p. Joberta, który nie tylko robi fatalne interesy połączone z koncesjami moralnymi, ale stara się, nieraz skutecznie, narzucić ten styl sąsiadom. Dlatego, nie tylko nie nastąpił żaden odruch prawdziwej solidarności z p. Rouleau w samej Francji, ale nikt się prawie nie obejrzał w innych krajach cywilizowanej Europy. A przecież w normalnych warunkach nie zakładających moralnej pustyni, wszyscy dziennikarze w Holandii czy Danii natożyliby żółte łaty.

Włochy są niemniej niż Francja zależne od nafty arabskiej. Ich minister spraw zagranicznych p. Moro jest nie mniej „elastyczny” od swego francuskiego kolegi. Na kilka dni przed swą pielgrzymką do „naftowego Lourdes” w kilku krajach arabskich, p. Moro ostro zdementował pogłoski jakoby płk Kadafi był

w jakikolwiek sposób wmieszany w zamachy terrorystyczne, a przede wszystkim w zamach na lotnisku Fiumicino, gdzie od bomb wrzuconych do bezbronnego samolotu zginęły 32 osoby. Musiał to powiedzieć, mimo iż w przeddzień jego kolega od spraw wewnętrznych oznajmił w tym samym parlamencie, że to nie kto inny tylko płk Kadafi wyprawił terrorystów w drogę, kupił im bilety, itd. Kiedy jednak onże płk Kadafi, z podobnych co jego starszy brat Fejsal, powodów i w oparciu o podobne kryteria, zażądał wyrzucenia, nie z samolotu a z posady, naczelnego redaktora turyńskiego dziennika *La Stampa* — powstał solidarny front całej włoskiej prasy.

48 żon w Szwajcarii

Dziennikarstwo — według Chestertona — to sztuka wzruszenia wiadomością o zgonie Kowalskiego tych osób, które nie wiedziały do tej chwili nawet o jego istnieniu. Dwóch dziennikarzy włoskich, lekkoduchów i free-lanców, postanowiło na podobnej zasadzie spopularyzować malowniczą postać płk. Kadafi we Włoszech. Pułkownik, osoba poważna, sokół islamu, właściciel 18 % włoskiej nafty, zasługiwał na to bez wątpienia. Cóż, kiedy się do tego fatalnie zabrali. Chcieli zaszokować włoskiego ignorantą i kołtuna, postanowili to uczynić przy pomocy dowcipu. Nie ma jak wiadomo, humoru w konserwach, nie ma też humoru narodowego. Są tylko osoby mające poczucie humoru, które się śmieją we właściwych miejscach, i są osoby bez tego poczucia, które albo się wcale nie śmieją, ale nie wtedy kiedy trzeba.

Panowie Fruttero i Lucentini (pochodzenie jak najlepsze) zawiadomili czytelników *La Stampa*, jednego z najlepszych dzienników włoskich, że płk Kadafi potrafi zjeść całego prosiaka na jedno posiedzenie, że ma w Szwajcarii haremik na 48 żon, że nic nie robi bez zgody CIA, że jego przemówienia pisze mu jakiś półanalfabeta włoski. Hm, pomyślałem sobie, a gdyby to o mnie ktoś tak napisał? Prosiak, niewielki, z wódką, może by i przeszedł. 48 żon w Szwajcarii — wypiąłbym dumnie pierś, CIA, nie nowego, już o tym prasa krajowa doniosła, ale Waszyngton odmówił wypłacania poborów, przemówień nie wygłaszam, a artykuły, hélas! muszę pisać sam... Czyli nie takie to groźne, i po przeczytaniu felietonu doszedłem do wniosku, że choć nie były to szczyty sztuki pamfletu, to przeciętnie dowcipny facet, na stanowisku, pomyśli sobie: lepsze to niż nic, zawsze to reklama. Ale płk Kadafi to facet nie przeciętny. „Jeżeli nie wyrzucicie tego drania (red. nacz.), to — grzmiał pułkownik — zrywam stosunki z Włochami, zakręcę kurek z naftą, i, jako że *Stampa* należy do Fiata, ogłaszamy wszecharabski bojkot jego towarów i nacjonalizujemy jego majątek, bagatelka, jakieś 100 milionów dolarów”. Główny argument przyszedł jednak z Bejrutu. Dyrektor arabskiego biura bojkotu syjonistów i ich agentów oświadczył: „Naczelną redaktora *Stampy* nazywa się Arrigo Levi, walczył

jeszcze w 1948 roku po stronie Izraela i jest od dawna na naszej najczarniejszej liście”.

P. Agnelli, właściciel Fiata i 100 milionów dolarów w krajach arabskich, nieco się przejął. Pojechał natychmiast do Rzymu i udał się do ambasady libijskiej, przeprosił za wybryk pismaków, ale starał się wytłumaczyć, że nawet on, Agnelli, nie potrafi wyrzucić Levi'ego. Włochy — mówił patron Fiata do małego urzędnika libijskiego (ambasador się nie chciał fatygować) — to kraj, pardon, demokratyczny, bez pułkowników w rządzie, dwóch premierów starało się już dawniej pozbyć poprzednich naczelnych *Stampy* i nie dali rady. Panowie — perswadował Agnelli — nic z tego nie wyjdzie, dajcie spokój, handlujmy jak ludzie. Poszumią, ale nie długo, rząd włoski stwierdził, że chodzi o pożałowania godny wypadek, ale że żądania pułkownika, mimo uczuć szacunku i starej przyjaźni, są nie do przyjęcia. Wreszcie wody opadły, Agnelli znowu sprzedaje Fiaty, Moro odwiezła meczety, Levi dalej redaguje *Stampę* — najbardziej obiektywny dziennik włoski właśnie w sprawach Bliskiego Wschodu.

Okazało się więc, że można uratować twarz nie tracąc nafty, że można przekonać pułkowników, emirów i królów, że nafta rządzi światem, ale nie każdym z nas z oddzielną. Aczkolwiek nie zawsze należy pisać żołąca (mają mi to niektórzy za złe), to nigdy nie należy pisać ropą naftową. Artykuł się potem maże i jest jakiś taki lepki...

Sankcje kulinarne

P. Marchais, sekretarz generalny francuskiej partii komunistycznej, znany jest ze stałego wysiłku w dziedzinie wzbogacenia teorii i praktyki kierowniczej roli partii. Ostatnim takim wkładem jest nowy rodzaj sankcji na krnąbrnych dziennikarzy. Cała afera wyszła bardzo nie w porę. Partie komunistyczne kapitalistycznych krajów Europy szykowały się właśnie do uroczystego szczytu w Brukseli, kiedy drobny incydent groził zaciemnieniem jasności intencji „dla dobra gatunku ludzkiego” i szczerości zaproszenia do wspólnej walki o wolność i dobrobyt, jakie chciały właśnie rzucić te partie pod adresem wszystkich absolutnie sił w Europie z wyjątkiem może p. Agnelli, Krupa i generalissimusa Franco.

Otóż — jak nie trudno się domyśleć — obiektem szczególnie pożądanym spojrzeń p. Marchais byli zachodnio-europejscy intelektualiści. Cóż kiedy w umizgach przeszkodził nieco wybuch „Archipelagu Gułag”.

Z jednej strony p. Marchais musiał przecież powiedzieć, że „w socjalistycznej Francji Sołżenicyn byłby wydany”. Z drugiej strony jednak, musiał bronić ojczyzny socjalizmu i napaść na Sołżenicyna. „Archipelag” dla p. Marchais to więc ohydny spisec przeciw ZSSR i Leninowi osobiście, przeciw ludziom sowieckim i pokojowi na świecie. Wszystko o czym ten Sołżenicyn pisze,

należy do bezpowrotnie minionej przeszłości i to właśnie partia bolszewicka „położyła ostatecznie kres tym praktykom”. (Ciekawe, że to się zawsze „praktyką” nazywa). Sołżenicynowi — tym którzy go wydają i tym którzy go czytają — chodzi nie o prawdę czy historię, a o szkalowanie samej idei socjalizmu. Można by w tym miejscu zapytać oczywiście, dlaczego jeżeli to wszystko należy do przeszłości, to tak bardzo się wszyscy denerwują, dlaczego cała prasa sowiecka atakuje książkę, której nikt na oczy w ZSSR nie widział.

Można by tak pytać bez końca, ale mniejsza, gdyż dla naszej opowieści ważne, że to nie „Brukselczyk”, a p. Gilles Martinet, rzecznik ideologiczny sprzymierzonej z p. Marchais partii socjalistycznej i publicysta *Le Nouvel Observateur*, tygodnika niezależnej lewicy francuskiej, pozwolił sobie zadać takie pytania, być innego niż p. Marchais zdania na temat książki Sołżenicyna i dość do innych wniosków materialistyczno-historycznych. Występując w tym samym co p. Marchais programie TV, Martinet powiedział rzeczy dla nas nienowe i banalne: że stalinizm nie należy do przeszłości, że partia nie położyła wszystkiemu kresu, że nigdy nie było publicznej debaty, albowiem tajny raport Chruszczowa nie był nigdy publikowany. Ba — przypominał nieudolnie Martinet — nie opublikowała go nawet *Humanité*, choć jest przecie nie w Moskwie redagowana.

Ot, niegodziwiec, powiedział Marchais. We wspólnym froncie, a jest innego zdania. Ponieważ Marchais nie sprzedaje Martinet'owi nafty, nie może go wyrzucić z pracy i z prasy, ani nie może go internować w szpitalu dla opozycjonistów; musiał więc zastosować nowy gatunek kary. Sankcje kulinarne, mianowicie, polegające na wycofaniu zaproszenia na obiad prasowy jakie KC KP Francji wystosował uprzednio do trzech — w tym do Martinet'a — współpracowników „Nowego Obserwatora” (jak mówią moje dzieci). Nic takiego właściwie się nie stało, słusznie więc, że — podobnie jak w wypadku Rouleau — tylko szalenie skromna liczba innych dziennikarzy zsolidaryzowała się i nie poszła na obiad do gmachu KC. Rozróżba byłaby bowiem jeszcze jedną próbą łamania wspólnego frontu i mącenia odprężenia na świecie. Pytanie zaś, czy jedność lewicy musi zakładać udział w obrzydliwej kampanii przeciwko Sołżenicynowi stanowiłoby, w tej sytuacji, nowy demagogiczny chwyt poniżej pasa...

Prawda jest nieco bardziej skomplikowana. Mówiąc o Sołżenicynie p. Marchais wyraził bowiem dwie, hm, myśli. Pierwsza — już nam znana — że w „socjalistycznej Francji Sołżenicyn byłby wydany...” i druga, raczej przemilczana, że tak by się działo „gdyby znalazł wydawcę...”. Kto wie jak łatwo jest znaleźć wydawcę w socjalistycznym kraju, ten wie, że nie pierwsza część zdania, a druga wyraża rzeczywistość i poglądy KP Francji. Fakt że *Nouvel Observateur*, poważne i otwarte dla wszystkich poglądów, demokratyczne pismo lewicy zostało przez p. Marchais nazwane, główną i zawodową trybuną antykomunizmu i antysocjalizmu, świadczy dobrze o piśmie a złe o p. Marchais, ale

przede wszystkim świadczy o tym, jak sobie naprawdę p. Marchais wolność wyobraża i jak łatwo będzie Sołżenicynowi, Martinet'owi i wszystkim innym w socjalistycznej Francji znaleźć wydawcę...".

Trzy wnioski i jeden paragraf — aryjski!

W trzech opisanych epizodach nie było właściwie wiele nowego. Przecież zanim przytoczone tu „praktyki” weszły do skarbca postępowej myśli arabskiej czy francuskiej, były od dawna stosowane przez kraje, gdzie socjalizm już zwyciężył i gdzie, już dawno, nie trzeba szukać wydawcy.

Jeżeli więc chodzi, po pierwsze, o stosowanie paragrafu aryjskiego przy wykonywaniu zawodu dziennikarskiego, to nie trzeba daleko sięgać. Nie wpuszczenie dziennikarzy izraelskich na uniwersiadę do Moskwy albo na festiwal młodzieży do Berlina, czystka w prasie PRL, gdzie, jak to barwnie określił pewien publicysta, „dopiero od marca 68 zaczęliśmy pisać po polsku”, starczą aby odebrać Fejsalowi wszelkie prawa do pionierstwa w tej dziedzinie.

Po drugie dokonywanie zmian na stanowisku nac. redaktora na żądanie władz zagranicznych należy też do najstarszych praktyk socjalistycznej integracji i proletariackiego internacjonalizmu. Pomińmy — bo wprost nie wypada — bogate przykłady z obozu socjalizmu, powiedzmy tylko, żeby było zabawnie, że przed paru laty ZSSR zażądał zmiany nac. redaktora... *La Stampy* właśnie, którym był wówczas poprzednik Levi'ego, p. Alberto Rinchey.

I wreszcie po trzecie, sankcje kulinarne też nie są niczym nowym. Na szczęście w Paryżu kiedy się jest wypędzonym od stołu p. Marchais można pójść do dobrej knajpy i zjeść obiad lepszy niż w KC (bo tylko na wschód od Łaby najlepsze obiady są zawsze w KC). W Moskwie, jak to opisał Sołżenicyn w „Gułagu”, kiedy sekretarz generalny kogoś wypędał od stołu, to menu stawało się skromniejsze, składało się ze śledzia i chleba, ale bez wody, na stojąco i nie na długo...

I tu dochodzimy do sedna nieporozumienia. Chodzi bowiem nie o to, że p. Marchais obiecuje nam wydanie Sołżenicyna w socjalistycznej Francji, albowiem Sołżenicyn jest już we Francji wydawany. Obietnice p. Marchais są wprost nie na miejscu i są równie kompromitująco nielogiczne co np. zobowiązanie p. Marchais do nie wprowadzania niewolnictwa w socjalistycznej Francji.

Natomiast prawdziwy morał jest następujący. P. Marchais — jak każdy z nas — ma święte prawo zapraszać do siebie na obiad kogo chce. Wolność zaś polega nie na tym, że p. Marchais zaprasza i wycofuje zaproszenia, a na tym, że nawet kiedy p. Marchais zaproszenia nie wycofa, to *my możemy do niego na obiad NIE pójść.*

Smacznego!

BRUKSELczyk

Pisane 8 lutego 1974

Sąsiedzi

W sowieckiej prasie

W pierwszych dniach stycznia *Izwestia* — podsumowując rezultaty — ogłosiła ubiegły rok 1973 za najlepszy w historii Związku Sowieckiego po zakończeniu drugiej wojny światowej. Możliwe. Ale rok nowy zaczął się mniej pomyślnie — z winy Aleksandra Sołżenicyna. Opublikowanie „Archipelagu Gułag” zaszkodziło „organom”. Przeszło pięć dni zanim Agencja Tass ogłosiła pierwszy komentarz i to tylko dla zagranicy. Minęły jeszcze dwa dni i o „Archipelagu Gułag” wspomina się już w telewizji, ale komentator mówi jedynie, że Sołżenicyn jest „zdrajcą”, który w swojej „powieści” (?) wybiela zdrajców ojczyzny. Widocznie książka nie została jeszcze dokładnie przeczytana. W następnym dniu pojawia się na ekranie oślawiony Jurij Żukow — „specjalista od zagadnień międzynarodowych”. Przed nim, na stole, leży stos listów od słuchaczy i każdy z nich — jak zapewnia Żukow — zawiera słowa oburzenia uczciwych ludzi sowieckich na książkę Sołżenicyna. Jeżeli wziąć pod uwagę, że „Archipelag Gułag” był w sprzedaży w Moskwie, to trzeba przyznać że obywatele sowieccy wykazali wysoki stopień operatywności: zdążywszy nie tylko zapoznać się z książką, ale się na nią oburzyć i napisać setki listów. Ale nie bez powodu mówią, że Związek Sowiecki, to kraj nieograniczonych możliwości.

A potem — potem poszło na całego. Artykuł w *Prawdzie* po 17-tu dniach. Artykuły w *Litieraturnoj Gazecie*, w *Sowieckoj Kulturnie* itp., itd. W gazetach listy oburzonych czytelników, oburzonych pisarzy, głosy oburzonych braterskich kompartii. Kampania rozwija się według znanego scenariusza, który już wszystkim dokuczył: wszystkie gazety, periodyki, mówcy, powtarzają jedne i te same kłamliwe, puste słowa, ale w tych wszystkich wystąpieniach przebija zakłopotanie: co zrobić z Sołżenicynem?

Zapytują o to siebie kierownicy państwa, zapytują prości

sowieccy obywatele. Na wykładach o sytuacji międzynarodowej, organizowanych przez towarzystwo „Znanie”, słuchacze nie przestają zadawać pytań. Pytania i odpowiedzi z reguły są bardzo do siebie podobne. „Kim jest Sołżenicyn?” — standartowa odpowiedź: — „Syn rostowskiego ziemianina, skazany w okresie wojny za działalność karalną w każdym wojsku”. Wiadomo dobrze, że Sołżenicyna aresztowano za pisanie listów, w których krytykował Stalina. Bezczelnym kłamstwem jest twierdzenie o ziemiańskim pochodzeniu pisarza. Swoją drogą jest zabawne, że 57 lat po rewolucji trzeba stosować tego rodzaju argumenty. Jeszcze jedno pytanie: — „Czy książka Sołżenicyna ma jakąkolwiek wartość literacką?” — standartowa odpowiedź: — „Zadnej. Jest napisana nudno i źle, chociaż niektórzy obywatele sowieccy oraz syjoniści za granicą twierdzą, że Sołżenicyn to nowy Dostojewski”. Ta odpowiedź — myślę — nie wymaga komentarzy. Ale główne pytanie: — „Dlaczego nie jest sądzony?” i zasadnicza odpowiedź — „Koniec końców myślę, że wola społeczeństwa została wykonana”.

Odpowiedzi te były dawane na wykładach w Moskwie w połowie stycznia. Nie ma wątpliwości, że podobne odpowiedzi daje się wszędzie, gdzie są zadawane pytania. A zapytania są coraz częstsze, gdyż obecnie sowieccy ludzie zaczynają dowiadywać się przez radio o czym pisze Sołżenicyn. Można przypuszczać, że Politbiuro jeszcze nie zdecydowało co zrobić z człowiekiem, który samotnie rzucił wyzwanie sowieckiemu państwu. Ale plan walki z książką Sołżenicyna już jest opracowany. Książka nosi tytuł „Archipelag Gułag” i mówi o sowieckim łagiernym imperium od chwili jego powstania w 1918 roku. Na ten temat sowieccy propagandyści wolą z autorem nie dyskutować. Zastosowano następującą technikę: w naszej historii miały miejsce naruszenia praworządności socjalistycznej, ale zostały już zdecydowanie potępione przez partię — kropka. Mówić więc o tym więcej nie trzeba — mało — nie wolno. Trudno sobie wyobrazić jak oburzyliby się sowieccy propagandyści gdyby ktoś im zaproponował by zapomnieli o hitlerowskich przestępstwach jedynie dlatego, że niemiecka partia socjaldemokratyczna już je potępiła. Nie, od Niemców — najzupełniej słusznie — wymaga się ukarania wszystkich przestępców wojennych. A gdy Sołżenicyn domaga się, symbolicznego choćby, ukarania stalinowskich przestępców, których — jak obliczył — może być nie mniej niż 250 tysięcy, gdy domaga się, aby ich — chociażby pociągnięto do odpowiedzialności i nakazano publicznie oświadczyć: tak, byłem katem — to Jurij Żukow, redaktor *Litieraturnoj Gazety*, Aleksandr Czakowskij, i setki, setki im podobnych oświadczyają: nie, o tym mówić nie wolno, o tym już wszystko powiedziano. Ale gdzie powiedziano — nie bardzo wiadomo. Raport Chruszczowa na XX zjeździe nadal jest dokumentem tajnym, a potępienie stalinowskich zbrodni na XXII zjeździe dotyczyło jedynie niewinnie skazanych członków partii. A Sołżenicyn mówi o milionach i milionach niewinnie skazanych — w tej liczbie i o tych (a była

ich przyniatająca większość), którzy nie byli w partii. I tego nie mogą mu wybaczyć.

W licznych artykułach przeciwko Sołżenicynowi najczęściej spotyka się słowo „zdrajca”, a następnym — jeśli idzie o częstotliwość — jest „bluźnierstwo”. Kasta kapłanów nieludzkiej religii rzuciła się na człowieka, który ośmielił się podnieść rękę na bożyszcze, któremu służy. Jak śmiał: to jest bluźnierstwo, świętokradztwo. A najbardziej straszne dla kapłanów jest to, że pisarz się ich nie boi.

Zapoznawszy się z próbkami „krytyki” Aleksander Sołżenicyn rzucił im w twarz: jesteście kłamcami, deformujecie mój tekst. „Wskażcie strony, Panowie! — zażądał autor „Archipelagu”. Ale czy oni mogą to zrobić? Każda ściśła cytata rozbijałaby wszystkie kombinacje i oskarżenia, sklejone z największym trudem kłamstwem.

Wydaje mi się, że jest rzeczą ważną odnotowanie, że w Związku Sowieckim znaleźli się ludzie, którzy wystąpili w obronie Sołżenicyna. Jest zupełnie zrozumiałe, że są oni nieliczni. Najważniejsze jest jednak, że są. Wśród nich historyk Roy Miedwiediew, który niedawno tak ostro występował przeciwko Sołżenicynowi. W wielkim artykule, napisanym z okazji „Archipelagu Gułag”, Miedwiediew oświadcza, że nie zgadza się z niektórymi poglądami i wnioskami Sołżenicyna (dotyczy to w pierwszym rzędzie oceny Lenina, którego pisarz uważa za przyczynę zła), ale kategorycznie potwierdza całkowitą ścisłość wszystkich faktów, przytoczonych w książce. W szczególności Roy Miedwiediew potwierdza historię oswobodzenia Pragi w maju 1945 roku przez oddziały własowców, które obróciły się przeciwko Niemcom. Te bowiem strony książki Sołżenicyna wywołują specjalną furję sowieckich propagandystów. Roy Miedwiediew pisze: „Jest to fakt historyczny, którego nie można ignorować”.

„Sprawa Sołżenicyna” bynajmniej nie jest zakończona. Jak dotąd, oprócz wydania w języku rosyjskim, książka ukazała się po niemiecku*. Opublikowany został tylko I tom. Ale już dzisiaj jest jasne, że ta książka jest jednym z najważniejszych dokumentów XX wieku. Jej znaczenie jest nie tylko historyczne. Świadczy o tym chociażby fakt, że przywódcy zachodnich partii komunistycznych, którzy zebrali się na konferencji w Brukseli, byli zmuszeni mówić o „Archipelagu Gułag”. I zupełnie nie można przewidzieć co zrobi państwo sowieckie by rozprawić się z człowiekiem, który się go nie boi.

Zaciekłość walki z Aleksandrem Sołżenicynem, prócz wszystkich innych przyczyn, tłumaczy się tym prostym faktem, że obywatele sowieccy mają możliwość usłyszeć jego książkę. Propaganda sowiecka po raz pierwszy zmuszona jest dyskutować

* Ostatnio również w języku szwedzkim. Nakład był wykupiony pierwszego dnia (Red.).

z przeciwnikiem, którego argumenty też są znane. W *Litieraturnoj Gaziecie* nr 2 na str. 13 główne miejsce zajmuje duża wzmianka zatytułowana: „Dlaczego modny jest Orwell”. Zdumiewający tytuł. Jak może być w modzie pisarz, którego nazwisko było zawsze wyklęte? Okazuje się, że rosyjska redakcja BBC zorganizowała szereg audycji poświęconych Orwellowi i jasne, że stał się on modny wśród słuchaczy sowieckich. Nie ma potrzeby mówić o żałosnych argumentach autora wzmianki, który próbuje polemizować z wielkim pisarzem angielskim. Ale dla czytelników sowieckich wzmianka zawiera niektóre pozytywne informacje. Można się z niej na przykład dowiedzieć, że w powieści „1984” Orwell okazał się — jak wyraził się autor wzmianki — „jedynie nieudolnym naśladowcą Jewgienija Zamiatina, rosyjskiego pisarza — emigranta, autora powieści 'My'”. Zostawiamy sumieniu autora wzmianki stwierdzenie „o nieudolnym naśladownictwie”, ale mamy nadzieję że obecnie modny stanie się — Zamiatin.



Jak wiadomo niedawno radość ogarnęła znowu całą planetę: Leonid Ilijcz Breżniew odwiedził Indie. Następnie zdążył być i na Kubie. Na Kubie jednak specjalnie ciekawych rozmów nie było (w każdym razie nic na ten temat do mnie nie dotarło), ale właśnie w Indiach miała miejsce ciekawa i pouczająca rozmowa. W dniu odjazdu sekretarz generalny dowiedział się, że jeden z liderów opozycji hinduskiej, Mr. Madhu Limaye, bardzo jest obrażony, że sowiecki gość rozmawiał jedynie z Indirą Ghandi. Generalny sekretarz niezmiernie się zdziwił, ale wspaniałomyślnie — prawdopodobnie z ciekawości — odłożył swój wyjazd na pół godziny i przyjął opozycjonistę. Ten zaś z miejsca, choć z opóźnieniem, ale zawsze, życzył gościowi „wszystkiego najlepszego w imieniu opozycji”. I na to Leonid Ilijcz zadał mu pytanie: A właściwie, szczerze mówiąc, do czego jest potrzebna opozycja? W Związku Sowieckim — wyjaśnił następnie — Komitet Centralny osądza wszystkie zagadnienia, a następnie podejmuje decyzje. I na pożegnanie pouczył lidera hinduskiej opozycji: „Istnienie opozycji przeskadza powstaniu przyjacielskich więzów między narodem, a kierownictwem”. Ten znakomity aforyzm Breżniewa przypomniał mi się w związku z dyskusją o ekonometrii, która toczy się na łamach miesięcznika *Planowoje Choziajstwo*. Dyskusja prowadzona jest przez dwie grupy sowieckich ekonomistów: jedna grupa to ortodoksyjni marksiści, stojący na gruncie leninowskich zasad planowania, i oskarżający drugą grupę o hołdowanie burżuazyjnej ekonometrii i ekonomii politycznej. Marksisci oświadczywszy, że „punkt ciężkości walki ideologicznej wyraźnie przesunął się w kierunku nauk ekonomicznych” przystąpili do zdemaskowania „burżuazyjnych, reformatorskich i rewizjonistycznych koncepcji ekonomicznych”. Wszystko to byłoby normalnym zbiorem wieloznacznych i nic nie znaczących słów, gdyby nie fakt, że jeden z liderów marksistów

ekonomistów, przytoczył w charakterze decydującego argumentu, cytując z Lenina. A twórca sowieckiego państwa oświadczył w swoim czasie co następuje: „Matematyka jest więcej niż podejrzana. Do niczego się nie nadaje”.

I tak spotkali się dwaj Ilijcze: jednemu nie jest potrzebna opozycja, a drugiemu matematyka. Wystarczy mieć Komitet Centralny. O tym zaś jak się pracuje według planów stworzonych na podstawie decyzji KC można przeczytać w eseju Anatola Złobina „To dziecię Akopian...” (*Litieraturnaja Gazeta* nr 46 z 1973).

Wspomniany w tytule Akopian, to znakomity w Związku Sowieckim iluzjonista. Porównuje się z nim — w rozmowie z autorem eseju — dyrektor jakiejś wielkiej budowy (który zażądał, by jego nazwisko nie zostało ujawnione). Dyrektor ten stwierdza, że dla wykonania planu niezbędne jest oszukanie wszystkich naczelników, od góry do dołu, uprzedzanie donosów, dawanie łapówek, ukrywanie się, oszukiwanie — i to wszystko dla dobra sprawy.

Esej ten pokazano trzem najwybitniejszym kierownikom sowieckich przedsiębiorstw budowlanych. Jednomyślnie odpowiedzieli, że napisaliby jeszcze bardziej ostro. Minister Budownictwa Przemysłowego Białorusi tłumaczy to w szczególności tym, że „w instytucjach planowania panuje dotąd tendencja, aby przedstawiać plany nie zbalansowane, ale za to maksymalnie napięte. Widocznie rozumują tam następująco: planujemy wzrost na 10% — niech będzie wykonany chociażby w 7%, zawsze to jest lepsze niż zaplanować 7%, a nie wiadomo wtedy co z tego jeszcze wyjdzie...”.

Można powiedzieć, że to jest marksistowskie planowanie bez matematyki.

Jeśli jednak tego rodzaju planowanie oburza sowieckich budowniczych, którzy zmuszeni są robić sztuczki, by wykonać plan, to nie wiadomo dlaczego nie niepokoi to amerykańskich kapitalistów, którzy — sądząc z ich oświadczeń — przedkładają Moskwę ponad wszystkie inne miasta świata. Tak na przykład korespondent pisma *Niedielia* (nr 2) odwiedził wiceprezidenta Bank of America, Alexa S. Jankowicza, w jego apartamencie na 20-tym piętrze jednego z moskiewskich hoteli. Wiceprezydent „nie bez dumy pokazał mi swoje apartamenty — trzy niewielkie pokoje”. Widocznie u siebie w ojczyźnie Mr. Alex S. Jankowicz gnieździ się razem z żoną i dziećmi w jednym pokoju i jest szczęśliwy otrzyawszy w Moskwie takie mieszkanie. Przenikliwy sowiecki dziennikarz natychmiast zauważył na podłodze, opartą o ścianę, tylko co zakupioną grawiurę — przedstawiającą plac pałacowy w Leningradzie. Amerykański bankier podzielił się z gościem utajonym marzeniem: „Chciałbym powiesić obok tej grawiury jeszcze jedną, która mówiłaby o rewolucji październikowej. Niech goście patrzą i myślą o tym, co zaszło. Dla wielu naszych biznesmenów wy jesteście jeszcze ciągle Rosją, a przecież już od

bardzo dawna to jest Związek Sowiecki. Trzeba otwierać im oczy na waszą dzisiejszą rzeczywistość”.

Można być przekonany, że z takimi amerykańskimi bankierami Związek Sowiecki nie zginie. Jak lubią mówić w Moskwie: tacy bankierzy są nam potrzebni.



Chiny znów zajmują czołowe miejsce na stronicach prasy sowieckiej: oskarżenia o zdradę marksizmu, o agresywne zamiary, o kult jednostki, o prześladowanie inteligencji — taka jest treść licznych artykułów, komentarzy i wzmianek. Aby definitywnie „zdemaskować” Sołżenicyna oświadcza się, że prasa chińska go chwali. Żeby ujawnić agresywność polityki chińskiej *Nowoje Wriemia* nie waha się potępić zachowania ich w konflikcie z Południowym Wietnamem w związku z wyspami Paracelskimi. Na wszystkich sowieckich mapach wyspy te są zaznaczone jako należące do Chin. Tym niemniej wyładowanie chińskich żołnierzy na wyspach Strateley — zdaniem *Nowoje Wriemia* — „raz jeszcze ujawniło szowinistyczny charakter maostowskiej, wielkomocarstwowej polityki”.

Wybitne miejsce w antychińskiej kampanii zajmuje wydana w końcu ub. roku książka Piotra Władimirowa pt. „Specjalna prowincja Chin. 1942-1945”. Ogromny tom — 650 stron — stał się z miejsca *best-seller*em. Książka rzeczywiście jest niezmiernie interesująca. Jest to dziennik Piotra Władimirowa, który był przez trzy lata w Yunanie (specjalnej prowincji) łącznikiem Kominternu przy kierownictwie KC Komunistycznej Partii Chin. Autor dziennika zmarł w 1953 roku, a dziennik został wydany w 20 lat po jego śmierci. Ponieważ wiadomo, że Komintern był oficjalnie rozwiązany w maju 1943 można śmiało określić Władimirowa jako agenta Stalina przy Mao Tse-tungu. Znajdujemy w dzienniku mnóstwo informacji o życiu chińskich komunistów w latach ich walki o władzę. Mao Tse-tung — sądząc z notatek w dzienniku — wysoko ocenia Władimirowa: „Nie było lepszego jak pan współpracownika z Moskwy w Chinach i w ogóle nie udało mi się takiego dotąd spotkać”. Możliwe, że Mao miał rację, gdyż Władimirow starannie rejestruje wszystkie usłyszane słowa Mao i innych działaczy, szczegółowo notuje wszystko, co widzi. Główne wrażenie: Mao nie znosi Stalina. „Stalin — mówi on — nie zna i nie może znać Chin. Ale chce o wszystkim decydować. Wszystkie jego tak zwane teorie o naszej rewolucji, to głupia gadanina”. 29 lipca 1942 roku Władimirow notuje, że w czasie walk pod Moskwą w 1941 roku Mao oświadczył: „Oto gdzie Stalina zaprowadziła jego gadanina. Chciałbym teraz zobaczyć tego wodza pętającego się po Moskwie”. I tegoż lata pojawia się druga notatka: „Wrogość (Mao do Związku Sowieckiego) jest obecnie dla mnie bynajmniej nie tak heretycka. Jest wiele nieznaczących i znaczących szczegółów, które zmieniają mój pogląd o tym człowieku”.

W książce są i opisy uczt, które organizował Mao w tym czasie, gdy „wojskowe i partyjne kadry w Yunanie otrzymywały dziennie jedynie trzy miski czumizy (chińska trawa pastewna) bez przyprawy... zimą dwie miski”. Jest opis straszego i podstępnego Kan Szena — chińskiego Berii. Okazuje się że chińska armia czerwona nie walczyła z Japończykami, jak o tym przez wiele lat zapewniała sowiecka prasa; Mao nie wojował z Czang Kai-sze-kiem, za to przez cały czas prowadził jakieś tajne pertraktacje z Amerykanami. Nie ulega wątpliwości, że wiele w tej książce podczyszczono, podkolorowano, wykreślono i dopisano — dźwięczy to już zbyt współcześnie. Tym niemniej nie będzie można się dziś obejść bez tej książki przy badaniu stosunków sowiecko-chińskich. Dziennik Władimirowa przekonywująco udawadnia, że sowiecko-chińskie tarcia powstały nie wczoraj. Zresztą nie należy zapominać, że Mao Tse-tung miał wszelkie powody by odnosić się niezmiernie podejrzliwie do Stalina. W sierpniu 1945 roku Stalin zawarł układ z Czang Kai-sze-kiem, uzyskawszy od niego mnóstwo ustępstw, które następnie — po zwycięstwie — odziedziczył Mao Tse-tung. A w tym samym czasie, gdy Władimirow zapisywał w dzienniku, że Mao nie lubi Rosjan, Mołotow oświadczył amerykańskiemu generałowi Hurley: „Tak zwani chińscy komuniści w rzeczywistości w ogóle nie są komunistami”. Wzajemna wrogość przesiąknięta wzajemną nienawiścią.

Adam KRUCZEK

O niemiecko-polskiej współpracy kulturalnej

Peter Nasarski ogłosił w *Kulturpolitische Korrespondenz* (Bonn, Nr 186-187 z 25 stycznia 1974) znamienny artykuł, który podajemy w tłumaczeniu z niemieckiego z nieznacznymi skrótami: „Przed niedawnymi czasy uważano u nas za rzecz samą przez się zrozumiałą, że polskie życie umysłowe i polska literatura reprezentowane są w NRF przez ludzi, którzy od dłuższego czy krótszego czasu żyją wśród nas, których nazwiska pojawiają się w naszych katalogach wydawniczych, na scenach naszych teatrów i na wystawach sztuki, i które cieszą się dużym uznaniem w społeczeństwie niemieckim. Warto tu przypomnieć takie nazwiska jak Józef Mackiewicz, Tadeusz Nowakowski, Sławomir Mrozek, Włodzimierz Odojewski. Nazwiska pisarzy, których książki i utwory dramatyczne tworzą słupy milowe duchowego znaczenia Polski na Zachodzie i w naszym własnym kraju.

Na tę długą tradycję i na rolę polskich artystów, poetów i intelektualistów za granicą, których twórczość zawsze ściśle związana była z Polską,

zwrócił niedawno uwagę na łamach *Frankfurter Allgemeine Zeitung* (24. 12. 1973) żyjący w Monachium pisarz Tadeusz Nowakowski. Zresztą i u nas znane są przyczyny, które od czasu rozbiorów Polski w XVIII wieku prowadziły do masowej emigracji i do tego, że dzisiaj co czwarty Polak żyje poza granicami swego kraju...

Jednakże dzisiaj nie zajmują nas przyczyny tej emigracji. Mamy natomiast wszelkie powody, aby zająć się wreszcie coraz częściej obserwowanym, niepokojącym zjawiskiem dziwnego, niezdrowego stosunku Niemców do polskich twórców kultury.

Institucje, koła robocze i osobistości, które na długo przed ratyfikacją układu między Warszawą i Bonn podejmowały praktyczne kroki zmierzające do porozumienia, wiele mogłyby powiedzieć o tym, jak trudno było podejmowany przez stronę niemiecką dialog wyrwać z atmosfery nieufności i podejrziwości, i doprowadzić do najskromniejszych choćby wyników.

Ze strony polskiej zawdzięczać to było można niemal wyłącznie żyjącym na emigracji pisarzom i publicystom, którzy — choć bez „oficjalnych pełnomocnictw” — tym lepiej odgrywali rolę kulturowych ambasadorów swojego narodu, im więcej mieli doświadczeń z bezpośrednim współżyciem i stosunkach z Niemcami. W przeciwieństwie do tego, najlepiej nawet przygotowane inicjatywy oficjalne kończyły się w ślepej uliczce: brak było przede wszystkim wzajemności, co jedynie pozwoliłoby wyrwać te inicjatywy z zasięgu jednostronnych i krótkotrwałych akcji spontanicznych i uczynić owocnymi na przyszłość. Niemiecko-polskie tygodnie dyskusyjne i seminaria w Republice Federalnej, „Tygodnie Polskie” w radiostacjach zachodniemieckich, stypendia przyznawane polskim studentom i naukowcom, prawo sprzedaży wydawnictw warszawskich w języku niemieckim przez księgarnie zachodniemieckie — wszystkiemu temu brakowało widomego, konstruktywnego odpowiednika ze strony polskiej. I do dzisiaj — wbrew inaczej brzmiałym oświadczeniom ze stolicy Polski — prawdziwa wymiana publikacji w szerokim zakresie daje tak samo na siebie czekać, jak wyłączenie dzieł autorów polskich żyjących w Republice Federalnej do programów edytorskich wydawnictw polskich.

Nieproporcjonalność wymiany kulturalnej praktykowanej przez obie strony byłaby nie do przecięcia, gdyby w kręgach inteligencji polskiej za granicą nie nastąpiła zmiana nastawienia w stosunku do Niemców, gdyby polscy pisarze i publicyści emigracyjni nie podjęli demontażu negatywnych schematów... Sześć niemiecko-polskich spotkań historyków w Lindenfels, w toku których — jak to wyraził żyjący w Ameryce profesor Jerzy Hauptmann — „nawiązany został dialog bez nacisków i ubocznych myśli” — to tylko jeden z owocnych przykładów dążenia ku prawdziwemu porozumieniu. Dalsze wysiłki o lepsze wzajemne zrozumienie znalazły wyraz w poświęconych Polsce imprezach, wystawach, koncertach jak również w przyswajaniu licznych książek polskich czytelnikom w NRF.

W międzyczasie dążenie do oficjalnych form odprężenia między Bonn i Warszawą prowadziło do po części otwarcie, po części zaś skrycie wypowiedzianych poglądów, że aby nie mącić atmosfery byłoby chyba „mądrzej” nie utrzymywać żadnych, a w każdym razie oficjalnych stosunków z ludźmi, którzy odwrócili się plecami do swego kraju. To że w samej Polsce nastąpiła wyraźna zmiana w stosunku do emigracji, że utworzone zostało specjalne towarzystwo, którego zadaniem jest podtrzymywanie kontaktów z emigracją, kwituje się uwagę, iż nie chodzi tu chyba „o kontakty polityczne”.

W naszych staraniach nie było jednak i nie ma w ogóle mowy o kontaktach politycznych. I nie chodzi tu o żadną formę „wtrącania się” w wewnętrzne sprawy, różnice poglądów czy dyskusje. Chodzi tu raczej o coraz bardziej wyraźną zmianę poglądów i nastawienia ze strony niemieckiej wobec ludzi, których wczoraj jeszcze sławiliśmy jako pośredników i tłumaczy

między naszymi dwoma narodami. Ta zmiana postawy przybrała niedawno dramatyczne niemal formy, kiedy przy zakładaniu Polsko-Niemieckiego Towarzystwa Współpracy Kulturalnej w Düsseldorfie rzucono pytanie, czy byłoby właściwie zwrócenie się do pewnego pisarza polskiego żyjącego w Berlinie Zachodnim o wygłoszenie referatu podczas tej imprezy. Na tym tle doszło wówczas do ożywionej dyskusji, która ujawniła daleko idące różnice poglądów.

Nie chodziło przy tym o literacką ocenę proponowanego referenta. Zastanawiano się jedynie, czy byłoby wskazane dopuszczenie do głosu autora polskiego, który postanowił — przynajmniej na pewien czas — żyć z granicą. Czy akurat my, Niemcy, mamy prawo do nietolerancji wobec pisarza, który jeszcze kilka lat temu należał w swojej ojczyźnie do czołowych przedstawicieli swego gatunku i któremu *Deutsche Akademie für Sprache und Dichtung* (Niemiecka Akademia Języka i Poezji) przyznała swoją Nagrodę Tłumaczy?

„Czy emigranci są gorszymi pisarzami?”. Jak bliskie jest nam to pytanie, którym Tadeusz Nowakowski zatytułował swój artykuł w *Frankfurter Allgemeine Zeitung*. Jak bliskie nam są też jego dalsze uwagi, z których niech mi będzie wolno zacytować tylko kilka zdań: „Czy osiągnięcia pewnych pisarzy polskich stały się nagle mniej ważne tylko dlatego, że żyją oni za granicą? Czy talent pisarza zmałał, gdy zdecydował się on na emigrację? Czy pisarz podobny ma być do tenora, który śpiewać może tylko pod jedną określoną szerokością geograficzną? Czy nie jest raczej tak, że wiele spraw rozumie się lepiej poza domem? Ojczyzna, którą w ciągu dwóch godzin lotu można osiągnąć, a jednak się nie osiąga, nigdy nie jest romantyczną utopią”.

Nowakowski udowodnił to swoje stwierdzenie na przykładzie twórczości Witolda Gombrowicza, którego „Dzienniki” podobnie jak i inne twory nigdy nie mogą ukazać się w Polsce. Nowakowski podkreśla przy tym, że pisarze-emigranci z Europy Wschodniej bynajmniej nie są „przeciw odprężeniu”. Uważają jedynie, „że niczego nie osiągnie się przez tworzenie tabu wokół pojęcia odprężenia”. „... Odprężenie wydaje im się raczej środkiem niż celem, a odwrotną stroną medalu jest próba realizowania go kosztem innych, równie cennych wartości”.

Choć doprawdy zawstydzające jest, że zasłużony na polu porozumienia niemiecko-polskiego pisarz zmuszony jest nazywać po imieniu sprawy, które należą do politycznego abecadła naszych dni, to jednak pocieszający jest fakt, że uwagi Nowakowskiego spotkały się z szerokim i pozytywnym echem. Świadczą o tym nie tylko listy czytelników *Frankfurter Allgemeine Zeitung* — w większym jeszcze stopniu dowodzą tego ogłoszone obecnie decyzje wielu instytucji i grup roboczych, które jako jedyną miarę partnerstwa w przyszłej praktyce wymiany kulturalnej postanowiły brać pod uwagę rzeczywistą wolę współpracy i dążenia do lepszego wzajemnego zrozumienia”.

Kraj

Poszerzone tezy tow. Kwiatka

[...] Normalizacja sytuacji w środowiskach twórczych wyrażająca się w generalnej akceptacji polityki partii nie jest równoznaczna z integracją tych środowisk na płaszczyźnie socjalistycznej ideologii i polityki. Brak wyraźnych konfliktów i napięć w tych środowiskach, wymierzonych przeciwko polityce partii, wynika przede wszystkim z powszechnego społecznego poparcia programu VI Zjazdu, konkretnych efektów w jego realizacji i braku sprzyjającego antypartyjnym wystąpieniom klimatu. Niemniej jednak dawne układy i antysocjalistyczne tendencje przeciw nie przestały istnieć. Znajdują one wyraz w próbach „doskonalenia” socjalizmu, ożywieniu i aktywności grup katolickich.

Uwidocznilo się dążenie do rehabilitacji i wybielania polityki burżuazyjnej okresu międzywojennego i okupacji oraz żądania naprawienia krzywd z lat sześćdziesiątych (część dyskusji na Zjeździe w Łodzi czy wystąpienia przy różnych okazjach).

W płaszczyźnie literatury i sztuki tendencje anty i obojętne socjalizmowi przejawiają się w szczególnym eksponowaniu kryterium poziomu artystycznego, co często stanowi narzędzie dyskredytowania dzieł zaangażowanych w idee socjalizmu.

Kontynuowana jest w stosunkowo szerokim zakresie działalność „felietonistów” atakujących zjawiska negatywne jako immanentne zło socjalizmu. Taką samą wymowę mają także niektóre dzieła o charakterze groteski oraz osnute na historycznych wydarzeniach kojarzonych ze współczesnością.

Dlatego też koncentrując uwagę na inspiracji i wspieraniu twórczości i twórców bez zastrzeżeń związanych z socjalizmem, należy ustalić jednolity tryb postępowania w stosunku do innych nadal liczących się w środowiskach twórczych orientacji.

Trudność w tym zakresie potęgują pojawiające się w sztuce światowej zjawiska i tendencje niekiedy bardzo trudne do zakwalifikowania. Przyjmując zasadę udostępniania ich na rynku krajowym, po dużej selekcji, zauważyć należy, że dzięki rozwo-

jowi informacji, wymiany i krytyki zainteresowanie nimi narasta. Niektórzy krytycy dają im bardzo wysokie oceny oraz są ordynnikami ich upowszechniania (filmy kontestatorskie i o szczególnie gwałtowności i seksu, widowiska „Hair”, „Oh, Calcutta”, „Jezus Chrystus Superstar”).

Zakładając konieczność elastycznej polityki w zależności od postaw konkretnych ludzi i grup w środowiskach kultury, główne jej zasady i kierunki określamy jak następuje:

1. Zdecydowany priorytet należy przyznawać twórczości o jednoznacznej socjalistycznej wymowie. Taka twórczość i jej autorzy winni być nagradzani, premiiowani materialnie i społecznie. Utwory zaś należy kierować do szerokiego rozpowszechniania. Ministerstwo Kultury i Sztuki i Komitet do spraw Radia i Telewizji oraz instytucje kulturalne winny szczególny nacisk położyć na inspirację, konkretne tematyczne zamówienia i programowanie ich twórczości.

Przykłady filmów Kutza, spektakli TV J. Antczaka, godny podkreślenia plon konkursu na powieść z okazji 30-lecia PPR, pokazują, że w wyniku zamówienia nie musi powstawać tylko twórczość tzw. okolicznościowa, ale mogą to być często utwory o wysokich walorach artystycznych i bardzo głębokiej ideowej wymowie.

Rok 1973 powinien już przynieść dalsze rezultaty tak pojętej inspiracji. Będą wśród nich propozycje filmowe na 30-lecie Ludowego Wojska Polskiego, współczesne seriale w Telewizji („Rodowód”, „Droga” i „Losy”), propozycje na nie rozstrzygnięty jeszcze konkurs Książki i Wiedzy.

W tym roku, zgodnie z zapowiedzią tow. Jana Szydłaka na Krajowej Naradzie Aktywu podejmujemy dwie centralne akcje: pierwszą — w oparciu o Port Północny i region przemysłowo-rolniczy województwa gdańskiego, drugą — zorganizowaną w obrębie Huty Katowice i rejonu województwa katowickiego. Ich zasadniczym celem będzie szeroko pojęta inspiracja i próba związania dużej grupy twórców z wielkimi przeobrażeniami społeczno-gospodarczymi w naszym kraju. W szczególności pragniemy skoncentrować się na młodzieży literackiej i artystycznej.

Mówiąc o tej podstawowej zasadzie naszej polityki w stosunku do twórczości i upowszechniania, pragnę zwrócić uwagę na problem statusu twórcy-komunisty, jego prawa do podejmowania kontrowersyjnych tematów, od których literatura i sztuka nie powinny stronić, ale których artystyczny kształt winni przedstawiać ludzie ideowo związani z naszą ideologią.

2. Władze państwowe winny wyrażać uznanie dla twórczości o uniwersalnej wymowie humanistycznej oraz wysokich walorach artystycznych i poznawczych mimo jej ideologicznego zaangażowania. Autorzy tych utworów winni być rozpatrywani jako kandydaci do nagród, a ich twórczość kierowana do upowszechniania o średnim zasięgu.

3. Zakaz upowszechniania utworów o charakterze antykomunistycznym, antynarodowym, wymierzonym przeciw międzynarodowemu interesowi Polski, lansującym antysocjalistyczne poglądy i wzory postaw osobowych. Równoległe na drodze krytyki i publicystyki kulturalnej zwalczanie tego rodzaju zjawisk.

Założona przez nas klasyfikacja twórczości ma charakter umowny. Doświadczenie uczy, że pojawiają się i będą się pojawiać nadal utwory kontrowersyjne, które jest dość trudno jednoznacznie ocenić. Praktyka odrzucania każdego kontrowersyjnego utworu jest szkodliwa. Stąd też konieczność indywidualnego podejścia i regulowania rozpowszechniania wysokością nakładu, ceną, zakazem zakupu w bibliotekach, propagowania w Telewizji i Radio.

W celu pogłębienia procesów dyferencjacji polskich twórców przebywających na emigracji i wiązania Polonii z krajem, powinniśmy w oparciu o znajomość postawy politycznej autora prowadzić do udostępnienia krajowemu odbiorcy ich utworów. Z faktu publikowania utworów zmarłych lub żyjących na emigracji twórców nie należy czynić szczególnego wydarzenia, traktować to jako narodową funkcję państwa socjalistycznego, jedynego mecenasa polskiej kultury.

Z większą niż dotychczas elastycznością należy podchodzić do utworów, których całość lub fragmenty są oceniane krytycznie ze względu na nadmierne eksponowanie skojarzeń z aktualną sytuacją. [...]

Marzec 1973 roku

Bóg, honor, Ojczyzna i Bohdan Poręba

Czemu właściwie przypisać tak ogromne powodzenie tego filmu? „Hubal” Bohdana Poręby jest w gruncie rzeczy — zgodzi się z tym każdy trzeźwo myślący widz — dziełem od strony artystycznej dość nijakim, nudnym nawet, dosięgającym co najwyżej bariery przeciętności. A jednak obejrzało go jak dotąd parę milionów widzów: i jeśli nawet wziąć konieczną poprawkę na tzw. organizację widowni (tj. masowe spędy młodzieży szkolnej i zbiorowe zakupy biletów dla zakładów pracy), jest to, jak na film polskiej produkcji, cyfra oznaczająca powodzenie olbrzymie. Widać, że sedno sprawy tkwi nie w satysfakcji estetycznej:

film zaspokaja najwyraźniej pewne nader rozpowszechnione potrzeby społeczne mające ze sztuką niewiele wspólnego. Mówiąc ściślej: „Hubal” pełni — zgodnie zresztą z zamierzeniami swoich twórców — funkcje nie tyle estetyczne, ile instrumentalne.

Zauważyć warto, że zgodni są co do tego niemal wszyscy krytycy, którzy dotąd zdążyli się wypowiedzieć. Zarówno bezkrytyczni entuzjaści spod znaku czasopism PAX-owskich, jak umiarkowani sceptycy (bardzo nieliczni), dostrzegający pewne czysto artystyczne słabości filmu, podkreślają zgodnym chórem, że zasadniczą motywacją „Hubala” jest „zaspokajanie zapotrzebowania społecznego”, „organizacja zbiorowej wyobraźni” itd. Stąd też np. historyczny ton ataku *Kierunków* na Andrzeja Osekę — autora jedyne omówienia, które obnażało (zresztą w bardzo umiarkowany sposób) propagandowo-perswazyjny mechanizm filmu. Dzieje się tak, jak gdyby „dozwolone” było jedynie krytykowanie w „Hubalu” owych wad czysto artystycznych — jakkolwiek opór wobec jego propagandowej techniki (czy tym bardziej wobec idei, szerzonych przy pomocy tej techniki) narusza jakies niepisane tabu. Odtwórca tytułowej roli, Ryszard Filipiński, określił w wywiadzie radiowym wszelkie krytyczne oceny filmu jako „pokazywanie języka z za węgła”. Oczywiście: bowiem za „Hubalem” — pragnął zapewne powiedzieć energiczny aktor — stoją tak potężne moce społecznej świadomości, że wszelki krytycyzm wobec nich będzie zawsze tylko dziecinny, niedojrzałym przedrzeźnianiem. Ponieważ sądzę, że silny nie zawsze ma rację, obawiam się, że i moja wypowiedź nie zadowolili p. Filipińskiego. Cóż począć...

Jak każdy przekaz propagandowo-perswazyjny, film Poręby cechuje się niezwykle silnym „nastawieniem na odbiorcę”; wszystkie jego środki i chwytły artystyczne (czy pseudoartystyczne) służą temu, aby jednoznacznie i niejako pod przymusem modelować reakcje widza i narzucać mu pewien system wartości. Aby reakcja każdego bez wyjątku widza przebiegała według określonego szablonu, potrzebne są takie środki wyrazu, które odwołują się do obrazów i idei rozpowszechnionych i głęboko zakorzenionych w świadomości społeczeństwa. Czołową rolę odgrywa więc w takich wypadkach stereotyp. Doskonale wiadomo, jak potężnym środkiem perswazyjnym może być odwołanie się do stereotypu choćby najbardziej zbanalizowanego. W wypadku „Hubala” jest to środek tym częstszy, że sprzyja jego użyciu cała poetyka tego filmu, nawiązująca bez osłonek do balladowo-oleodrukowych wzorców, do wszelkich takich form narracji, które cechują się silnym skonwencjonalizowaniem i uproszczeniem. Pojawiają się więc pewne stereotypy obrazowe, odwołujące się wyraźnie do standartowych produktów malarstwa ułańsko-patriotycznego: mamy przed oczyma i „polski dworek”, i „ułana i dziewczynę”, i „polską złotą jesień”, i „prosty lud w zapaskach i siermiągach”, i oczywiście „szarzę ułańską”... Odwołania do kiczowatej ikonografii patriotycznej są zarazem — nie trzeba chyba tego specjalnie podkreślać — nawiązaniem

do pewnych stereotypów ideologicznych (choćby owa idea solidaryzmu narodowego, zbratania się prostego ludu ze szlacheckim dworem w obliczu narodowego niebezpieczeństwa, idea, która obudziła nawet nieśmiałe zastrzeżenia kilku prawomyślnych krytyków-marksistów).

Stereotypowa — świadomie stereotypowa — jest wreszcie, co najważniejsze, postać głównego bohatera. Chciałbym być dobrze zrozumiany: nie mówię tu o Hubalu rzeczywistym, o postaci złożonej, dramatycznej, trudnej do oceniania w dzisiejszych kategoriach. Mam na myśli wyłącznie osobnika, któremu na filmowym ekranie udzielił swej — „niewątpliwie oczywiście sympatycznej”, jak mówi piosenka — aparycji aktor Ryszard Filipiński, pod artystycznym i duchowym kierownictwem Bohdana Poręby. Ów ekranowy Hubal jest przede wszystkim — i to jest dla filmu najbardziej znamienne — stereotypowym „mocnym człowiekiem”, „wodzem”, autorytetem nie poddawany w wątpliwość. Odnosi — z wyjątkiem oczywiście finału — same błyskotliwe zwycięstwa; rozpęda w pojedynkę oddziały Niemców nie wyjmując nawet szabli z pochwy. Nie przeżywa też niemal żadnych rozterek i wewnętrznych wahań. (Jedną z przyczyn wycofania się scenarzysty, J. J. Szczepańskiego, był fakt, że reżyser skrupulatnie oczyścił fabułę z wszelkich zdarzeń, mogących stać się zaczynem moralnego dramatu bohatera: znikła więc scena rozstrzelania jeńców niemieckich a maksymalnemu stuszoniu uległ problem pacyfikacji, będących odpowiedzialnością hitlerowców na akcje „Szalonego Majora”). Wszelkie ewentualne zastrzeżenia etyczne, jakie widz mógłby mieć do jego postępowania, odkupuje filmowy Hubal indywidualnym poświęceniem i końcówką śmiercią (stary chwyt, znany z polskich powieści i filmów... kryminalnych, gdzie bohatera-milicjanta, któremu zdarza się łamać przepisy prawne w trakcie ścigania przestępcy, często w charakterze ekspiacji spotyka heroiczna śmierć). Ideał „wodza” i „mocnego człowieka” urzeczywistnia Hubal-Filipiński również poprzez czysto zewnętrzne cechy wyglądu i zachowania: jest szorstki ale sprawiedliwy, gburowaty ale szczery, brzydki ale „męski”. Dodajmy na marginesie, że ironia historii ma tu zaiste wdzięczne pole do popisu: dzięki takiej koncepcji postaci Hubal-Filipiński kojarzy się nie tyle z przedwojennym oficerem kawalerii, ile ze stereotypową, znaną z licznych filmów sylwetką dowódcy AL-owskiej partyzantki czy oficera UB, którego szorstkie, „męskie” obejście łączy się z kryształową czystością ducha (stąd może wziął się krążący po Polsce dowcip: „Ten Filipiński to bardziej UB niż Hubal”). Rola koszarowego dowcipu i manifestowanej na każdym kroku niechęci do przemądrzałych „intelektualistów” jest tu, ma się rozumieć, również doniosła. W całości bowiem działanie ekranowego Hubala opiera się na przesłankach czysto emocjonalnych. „Aby naród poderwać do walki, trzeba przykładać, więcej: demonstracji” — powiada w którymś momencie bohater. Zgodnie z tą dewizą jego postępowanie ma charakter niemal wyłącznie demonstracyjny, pokazowy, zmie-

rzający nie tyle do jakiegoś realnego celu ile do pobudzenia emocji obserwatorów: stąd tak ogromną rolę odgrywa w tym filmie pusty gest, działanie i wysławianie się nie mające praktycznego znaczenia dla akcji, pełniące funkcje niemalże rytualne.

Obfitość stereotypów, oddziałujących na widza emocjonalnie i pozaracjonalnie, a przez to skutecznie sterujących jego reakcjami: to byłaby, jak sądzę, główna przyczyna powodzenia „Hubala”, przyczyna zresztą o bardzo ogólnym charakterze i wyjaśniająca popularność nie tylko tego filmu, ale wszelkiej sztuki kiczowatej. Bardziej konkretny charakter ma przyczyna druga. W dzisiejszej sytuacji politycznej i przy dzisiejszym stanie społecznej świadomości „Hubal” jest utworem, który cechuje pozorna opozycyjność. Znam wielu ludzi skądinąd dorzecznych, dla których sensację i powód do entuzjazmu stanowi fakt, że w filmie śpiewa się „Boże, coś Polskę”, że na ekranie pełno motywów religijnych (liczba krzyży różnego formatu jest istotnie uderzająco duża, zwłaszcza jeśli przypomnieć sobie, że z warszawskiej TV usunięto niedawno spikerkę za noszenie na szyi krzyżyka...), że środowisko oficersko-ziemiańsko-klerykalne pokazano z dużą sympatią, że wreszcie krytyka przedwojennego ustroju jest zdecydowanie wątpliwa i poza paroma kwestiami dialogowymi właściwie nieobecna. Co za złudzenia! Jasne, że film Poręby ze swoją obfitością nacjonalistyczno-religijnych motywów stanowić może pewne zaskoczenie w sytuacji, kiedy na żądanie sowieckiej ambasady wycofuje się z księgarń nawet prace naukowe o konfederacji barskiej. Trudno się jednak nie zdumieć naiwnością przeciętnego Polaka, który nie dostrzega, że w obliczu narastających, i dość naturalnych w tym stanie rzeczy, nastrojów nacjonalistycznych i szowinistycznych, utwory w rodzaju filmu Poręby są niezastąpionym instrumentem kanalizowania i uśmierzania tych nastrojów. Mają bowiem charakter na tyle konserwatywny i nacjonalistyczny, aby budzić szmerek zainteresowania i aurę sensacji, na tyle zaś są bezpieczne dla obecnej ekipy rządzącej i jej polityki¹, że można bez obawy ryzyka udostępnić je publiczności. Widz, który obejrzy „Hubala”, wyjdzie z kina przede wszystkim uspokojony: uspokojony co do obecnego stanu polityki kulturalnej i wolności słowa (skoro bowiem można dziś oglądać takie rzeczy!), uspokojony co do pewnych kwestii moralnych (film, jak powiedziano wyżej, nie nasuwa żadnych wątpliwości czy rozterek etycznych²), uspokojono-

1. Na marginesie: przykład „Hubala” raz jeszcze poucza nas, iż wszelkie rozgrywki personalne biurokracji partyjnej mają u podłoża wszystko inne, tylko nie różnice ideologiczne. Niemal natychmiast po rozgromieniu frakcji moczarskiej Gierka sięga w swojej polityce kulturalnej po „narodowe” symbole i mity, których nie powstydziliby się Generał i jego ludzie od kultury.

2. *Nota-bene* ośmieliło to jego zwolenników do wypowiedzi zupełnie bezprecedensowych. *Wrocławski Tygodnik Katolików* (organ PAX-u) drukuje w urze 41 z 1973 roku artykuł byłego hubalczyka, Marka Szymańskiego, pt. „Poprawiacze historii”. Na temat wspomnianej już kwestii rozstrzeli-

ny wreszcie co do wartości i wyższości swojego narodu i siebie samego jako jego przedstawiciela (co jest naturalnym efektem wszelkich argumentów nacjonalistycznych). Nie sposób się zdziwić, że ów tak rzekomo opozycyjny „Hubal” spotkał się od początku z bardzo wydatnym oficjalnym poparciem (wyrażającym się w reklamie, szerokim rozpowszechnianiu itd.: zresztą członkowie Biura Politycznego byli, jak wieść gminna niesie, pierwszymi — i wdzięcznymi — widzami tego filmu). Znakomicie bowiem kanalizuje on społeczne niepokoje, skierowując je w daleką, przebrzmiałą już, na poły baśniową przeszłość i uśmierzając mitycznym przekonaniem o wiecznej i niezależnej od przeciwności losu wyższości naszego narodu.

Zaspokajając zatem jednocześnie istniejącą u odbiorców potrzebę buntu i opozycji oraz przeciwstawną jej potrzebę bezrefleksyjnego bezpieczeństwa, film Poręby przedstawia klasyczny przykład współczesnego zniewolenia umysłu. Widoczne to jest zresztą w innej jeszcze sferze zagadnień, wiążącej się z opisaną wyżej sylwetką głównego bohatera. Filmowy Hubal to z pozoru model buntownika, indywidualisty, nawet anarchisty, opornego wobec instytucji (konspiracyjnego rządu itd.), dążącego do wolności działania na własną rękę³. Ale ten osobliwy kontestator zaprowadza przecież na własnym podwórku rządu silnej ręki: oddział Hubala to miniatura totalitarnego państwa, opartego na absolutnym posłuszeństwie i uwielbieniu wodza, konserwatywnej ideologii, mitach i demonstracyjnych gestach „woli zbiorowej”, nacjonalizm, niechęci wobec „mięczaków” i inaczej myślących, na emocjonalnych reakcjach zbiorowych itp.⁴ To, co Erich Fromm nazywa „charakterem autorytarnym” współczesnego człowieka, wyrażającym się w jego „ucieczce od wolności”, przejawia się jak na dłoni w reakcjach odbiorców „Hubala”: filmowa postać Majora przemawia tak do nich dlatego właśnie, że przy swoim pozornym anarchizmie ucieleśnia w istocie mit przywódcy, dyktatora, owej „silnej ręki”, która zdejmując z podległej sobie jednostki ciężar odpowiedzialności za życiowe decyzje.

wania jeńców czytamy tu, nie wierząc własnym oczom, co następuje: „Major nie uśmiercił własnoręcznie kilku jeńców, bo wszystkiego było to kilku Niemców. [...] Był to tylko jakże nikły odwet” itd. Brukowy charakter „WTK” jest rzeczą od dawna znaną, ale trzeba było dopiero orgii bezkrytycznych zachwytów nad „Hubalem” rozpetanej przez pisma PAX-owskie, aby podobne stwierdzenia odważył się wydrukować tygodnik, bądź co bądź, katolicki.

3. Stąd może stosunkowo znaczna popularność filmu wśród młodzieży. Tygodnik *Szpilki* opublikował niedawno dyskusję licealistów, w której przyrównywano postać Hubala do Guevary.

4. Może to argument *ad personam*, który nie ma tu nic do rzeczy, ale warto chyba jednak przypomnieć, że Ryszard Filipiński zalicza się do czołowych polskich antysemitów (vide głośną w swoim czasie przedstawienia założonego przezeń, a popieranego przez Związek Młodzieży Socjalistycznej, teatryku „Eref”).

„Hubal” to dla myślących ludzi w Polsce wyjątkowa okazja, aby zdać sobie sprawę, że renesans endeckiej ideologii — w obecnej chwili tak wyraźnie dający o sobie znać w kulturze, publicystyce itp., że można by go przyrównać tylko do znanych zjawisk pomarcowych — jest wbrew pozorom czymś niesłychanie wygodnym i korzystnym dla ustroju, w którym żyjemy. Nacjonalizm i szowinizm — powtórzmy jeszcze raz tę oczywistą prawdę — polega bowiem w istocie na samouspokojeniu narodu co do jego własnej wartości i na skanalizowaniu społecznych niepokojów w kierunku, który odpowiada aktualnej ekipie rządzącej (dokonuje się to, jak powszechnie wiadomo, przez podsuniecie odpowiedniego „wroga”, na którym nastroje te mogłyby się wyładować: vide fala antysemityzmu w marcu 1968, lub wygrywanie germanofobii podczas usprawiedliwiania przez propagandę konieczności agresji na Czechosłowację). Z drugiej strony, nacjonalizm, oparty zawsze na zbiorowych, stadnych emocjach, niezwykle łatwo kojarzy się z niechęcią do indywidualnej odpowiedzialności, z kultem mitycznego wodza, który rozwiąże wszelkie nasze trudności, z posłuchem wobec odgórnych rozkazów, z tym, co osławiony Bolesław Piasecki nazwał kiedyś „instynktem państwowym”. Sowieckiej ambasadzie, tak zwykle wyczulonej na wszelkie „narodowe” aluzje, wypada tym razem pogratulować wyjątkowej przenikliwości: zrozumiała ona nareszcie, że polski nacjonalizm da się doskonale pogodzić z posłuszeństwem wobec „racji stanu”. Jakże rzadko natomiast zdajemy sobie z tego sprawę my sami. Polak wpłacający składki na odbudowę Zamku Królewskiego wyobraża sobie, że spełnia patriotyczną powinność, gdy tymczasem pomaga tylko w kłajstrowaniu ideologicznych konfliktów; podobnie Polak, który inwestuje kapitał swego zaufania w neoendeckich koncepcjach, nie powinien się łudzić, że w ten sposób walczy z systemem, w którym żyje — przeciwnie, wspomagając go w ten sposób i pozwalając mu przetrwać.

Jan HAMMEL

(Artykuł nadesłany z Kraju — Red.)

Bohdan Poręba, reżyser „Hubala”, urodził się w 1934 roku w Wilnie. W 1955 roku ukończył wydział reżyserski PWSTiF w Łodzi i w okresie po-Październikowym stawił pierwsze kroki w filmie fabularnym („Lunatycy”, „Droga na Zachód”). Nie odniósł sukcesów i na kilka lat zginął z widnokregu, tracąc etat w filmie (mimo oparcia w kołach partyjnych); ratując się od biedy pracował w teatrach na prowincji. Na widowię wypłynął znów w okresie marca 1968, rozwijając bardzo żywą działalność polityczną w kołach zbliżonych do „Walki Młodych”. Na fali marcowej wrócił do pracy w Zespołach Filmowych, realizując w 1969 film fabularny pt. „Prawdzie w oczy” — tak gwałtownie antysemitki, że nawet w tym okresie Partia przyjęła go wstydliwie. Sprawę filmu szybko wyciszono. W 1972 roku Poręba rozpoczął pracę nad „Hubalem”.

W kołach filmowych Poręba znany jest z niezmiennej manieri bojów-

karza (jego częste wypowiedzi na zebraniach i dyskusjach utrzymane są zawsze w tonie pogrózki) i z pięknym barytonu, którym po kilku kieliszkach wyśpiewuje piosenki partyzanckie.

Ryszard Filipiński, rówieśnik Poręby, jest Lwowiakiem. W latach sześćdziesiątych był aktorem Teatru Starego w Krakowie, z którego wyszedł w 1966, zakładając własny teatr jednego aktora „Eref-66”. I on wślawił się w okresie marca 68, specjalizując się w tekstach antyżydowskich i atakach na dywersję ideologiczną z Zachodu. Za monodram „Raport z Monachium”, według książki Brychta, otrzymał nagrodę Komitetu dla Spraw Radia i Telewizji za rok 1968. Hubal to jego pierwsza wielka rola filmowa.

Poręba i Filipiński to niewątpliwie autentyczni współautorzy filmu. J. J. Szczepański, autor scenariusza, wycofał swoje nazwisko z czołówki, natomiast Poręba i Filipiński znajdują się w niej jako autorzy „dodatkowych dialogów”. Patronem projektu był Jerzy Passendorfer, w którego zespole „Panorama” Hubal został wyprodukowany. Passendorfer jest znany między innymi jako reżyser „Barw walki”, filmu opartego na wspomnieniach gen. Moczara. Pomiędzy czystką po-marcową i czystką po-grudniową Passendorfer pełnił obowiązki sekretarza POP Związku Filmowców.

Nowości wydawnicze

BIBLIOTEKI « KULTURY »

TOM 236

PRZECIW NIEWOLNICTWU

Str. 64.

Cena F. 10,00.

Wznowienia fotograficzne

TOMY 237 i 238

CMENTARZE NASTĘPNY DO RAJU

Str. 258.

Cena F. 25,00.

i

OPOWIADANIA

Str. 192.

Cena F. 22,00.

Sprawy i troski

Polska praca i płaca w USA

Sądząc z różnych opowiadań i relacji prasowych, Polonia amerykańska zaczyna po trosze przypominać legendarnego smoka na Wawelu. Wszyscy o nim słyszeli, wielu ulega czarowi legendy i nie potrzebuje empirycznej afirmacji. Mamy właśnie nowy, doskonały przykład jak słabo ugruntowane są pojęcia o Polonii amerykańskiej, ile sprzecznych informacji na jej temat dociera do opinii publicznej, dając jednym zachętę do wiary w legendy a innym zawód rozczarowania.

W 1973 roku szeroki rozgłos zyskały dwie publikacje z poważnych źródeł, w których m.in. przedstawiony został obecny status społeczny i ekonomiczny polskiej grupy etnicznej w USA. Dwa poważne źródła i dwa, wzajemnie wykluczające się wnioski.

Profesor socjologii w Mundelein College w Chicago, Russel Barta, podjął się na zlecenie Institute of Urban Life (Instytut Studiów Miast) przeprowadzić badania w celu ustalenia jakie są wpływy różnych grup etnicznych w życiu gospodarczym Stanów Zjednoczonych A.P. Publikując wynik swoich badań, prof. R. Barta podaje, że zbadał skład dyrekcji 106 wielkich spółek akcyjnych (Korporacji) i stwierdził — cytuję *Dziennik Związkowy* — że „W Chicago i okolicznych przedmieściach obywatele polskiego pochodzenia nie mają żadnego, lub tylko minimalny wpływ na działalność dużych firm przemysłowych, handlowych czy usługowych”. Prof. R. Barta dodaje, że „prawie nigdzie nie stwierdzono na kluczowych stanowiskach przedstawicieli polskiej grupy etnicznej”.

Oczywiście, cała prasa polonijna opublikowała tę wiadomość z ubolewaniem przyznając słuszność autorowi i uzupełniając jego wywód opinią, że podobnie rzecz przedstawia się w innych wielkich ośrodkach gospodarczych w USA, z nowojorskim i kalifornijskim na czele.

W tym samym czasie, kiedy pisano z ubolewaniem o konclu-

zjach prac badawczych prof. Barta, ta sama prasa polonijna i wiele dzienników amerykańskich ogłosiły oficjalny komunikat Departamentu Handlu USA (któremu podlega statystyka państwowa) w którym podano (na podstawie badań ankietowych), że polska grupa etniczna w Stanach Zjednoczonych A.P. znajduje się na drugim miejscu, spośród wszystkich grup etnicznych w USA pod względem wysokości zarobków (!). Według tych danych, przeciętny zarobek rodziny z polskiej grupy etnicznej wynosił rocznie z górą 12.000 dolarów, czym wyprzedzamy Niemców, Anglików, Francuzów, Włochów, Irlandczyków itd. Na czołowym miejscu w tej tabeli wysokich zarobków znaleźli się Rosjanie (mowa o grupie pochodzeniowej) a my na drugim miejscu. Bomba nie z tej ziemi — jak mówią warszawiacy. Sensacja ta trafiła również na łamy prasy polskiej w Europie, jako, że przyjemnie jest mieć bogatych wujaszek w Ameryce.

Zastanawiające jest tylko skąd biorą się te wysokie dochody polskiej grupy etnicznej w Ameryce? Niestety, żaden przywódca polonijny, ani żadne pismo polonijne, nie zainteresowało się rozwiązaniem tej zagadki: jakim cudem, element polski w USA, którego nie można się doszukać na wyższych stanowiskach w przemyśle, w bankowości, w handlu lub na kierowniczych posadach rządowych, może mieć przeciętnie większe dochody, niż mają te grupy etniczne, z których tworzy się elita finansowa i rządząca — cała amerykański *establishment*?

Rzecz warta jest jednak zbadania skąd bierze się ta sprzeczność?

Tracimy czy zyskujemy wpływy?

Opinię prof. Barta o nieobecności przedstawicieli Polonii w kluczowych ośrodkach dyspozycji gospodarczej, poprzec można wieloma przykładami z innych dziedzin życia publicznego. Nawet pobieżny rachunek wykazuje, że cofamy się w stanie posiadania, jaki zdobyła sobie Polonia amerykańska przed laty. Okazuje się, że ta biedna, przedwojenna emigracja zarobkowa, mająca przywódców tej miary co Ignacy Paderewski, płk Starzyński prezes „Sokolstwa Polskiego” w USA, prezes ZNP Żychliński, prezeska Związku Polek Wołowska, ks. Kruszcza, biskup Hodur, Piotrowski itp., zdołała więcej osiągnąć w życiu amerykańskim aniżeli w okresie po II wojnie światowej z ospałym przywództwem i przy napływie nowej fali emigracji powojennej, legitymującej się lepszym wykształceniem, ale sfrustrowanej wskutek przeżyć wojennych i zawiedzionych nadziei w okresie powojennym, skłonnej raczej do potępieńczych swarów, niż do wspólnego działania w tym co jest do zrobienia.

Do czasów prezydenta Trumana mieliśmy w Kongresie Stanów Zjednoczonych 12 polonijnych kongresmanów. W latach 60-tych straciliśmy dwóch, ostało się 10-ciu a po wyborach 1972 mamy już tylko 8-miu.

Za prezydenta Johnsona, Amerykanin polskiego pochodzenia, J. Gronouski, był członkiem rządu USA a prof. Z. Brzeziński doradcą prezydenta do spraw polityki zagranicznej. Przed nimi, w Waszyngtonie, w Radzie Gubernatorów Federalnego Banku Rezerwowego (odpowiednik polskiego Banku Narodowego) tj. w najwyższych sferach polityki finansowej Stanów Zjedn. zasiadał prof. M. Szymczak. Dzisiaj ani w rządzie, ani w Białym Domu, ani w Banku Federalnym na stanowiskach czołowych nie ma ani jednego Amerykanina polskiego pochodzenia. Podobnie jest w sądach federalnych, gdzie mieliśmy paru sędziów polskiego pochodzenia, ale z chwilą gdy któryś z nich umrze (np. sędzia Machrowicz z Detroit), czy przejdzie w stan spoczynku (np. sędzia Kluczyński z Chicago) na ich miejsce nie dostanie się już Amerykanin polskiego pochodzenia, pomimo usilnych zabiegów przywództwa polonijnego z KPA na czele.

Ze zdumieniem wyczytałem więc w londyńskiej *Myśli Polskiej* (z 15 września 1973) opinię prof. T. Siedlika z University of Main, który beztrząsco zinterpretował ankietę Departamentu Handlu USA mówiącą o rzekomych wysokich zarobkach polskiej grupy etnicznej a zwłaszcza jego komentarz własny tej treści: „Nie ulega najmniejszej wątpliwości, że ogromną rolę w osiągnięciu tego poziomu spełniły polonijne organizacje społeczne, w ostatnich, przeszło trzydziestu latach, pod kierownictwem Kongresu Polonii Amerykańskiej”. Niestety, prof. T. Siedlik opinii tej nie udokumentował. Trzeba go więc wyręczyć, jako że do niepowodzeń polonijnych, jeszcze by tego tylko brakowało, aby popaść w samozadowolenie, kiedy ponad 90 % elementu polskiego w USA nie należy do organizacji polonijnych.

Co tu mówić o wielkich osiągnięciach KPA, kiedy KPA przegrywa nawet wówczas, gdy walczy o skromne stanowiska we władzach lokalnych, które mają znaczenie dla Polonii. Jeśli — jak twierdzą w KPA — w Chicago mieszka około 700 tys. Amerykanów polskiego pochodzenia, to można przyjąć, że blisko 20 % czyli ok. 140.000 stanowi młodzież w wieku szkolnym. Po Murzynach, najwięcej jest młodzieży polskiego pochodzenia w szkołach chicagowskich, ale burmistrz m. Chicago nie mianował ani jednego przedstawiciela Polonii do miejskiej Rady Szkolnej, która decyduje o sprawach nauczania i obsadach nauczycielskich w szkołach chicagowskich. Mieliśmy swoich przedstawicieli w tej Radzie, a teraz nie mamy ani jednego, pomimo wysiłków KPA i pism polonijnych, które walczyły przynajmniej o jedno miejsce.

W systemie amerykańskim droga do najwyższych stanowisk w Waszyngtonie prowadzi przez osiągnięcia i wpływy na terenie swojego stanu, powiatu lub miasta, albo w uniwersytetach z których *Establishment* czerpie fachowców do swojego grona. Toteż utrata stanowisk w Waszyngtonie dowodzi, że w lokalnych ośrodkach życia publicznego wpływy polonijne maleją do tego stopnia, że sztaby obu wielkich partii politycznych w USA mogą

sobie pozwolić na zignorowanie prawa polskiej grupy etnicznej do udziału w rządach na wyższych szczeblach władzy.

Przywódcy polonijni niechętnie przyznają się do tych porażek, a im więcej niepowodzeń, tym głośnie reklamuje się jedną czy drugą synekurkę przydzieloną Amerykaninowi polskiego pochodzenia dla tak zwanego „otarcia łez”, czyli złagodzenia narzekania. Musiało dojść już do poważnych porażek w stanie Illinois, skoro Zarząd Kongresu Polonii Amerykańskiej w Chicago w uchwale z 3 grudnia 1973 roku umieścić następujące zdanie: „Ostatnio widzimy znaczne uszczuplenie reprezentacji Polonii we władzach miejskich i federalnych...” (Gwiazda Polarna, 19 stycznia 1974 roku). W uchwale tej dziwią tylko dwa słowa — „ostatnio widzimy”. Dlaczego dopiero „ostatnio” skoro paryska *Kultura* dostrzegła to z odległości drugiego kontynentu i pisze o tym od wielu lat, a amerykański socjolog prof. Russel Barta potwierdził jej opinię wynikami swoich badań.

Może nie być dla nas miły ten stan rzeczy, tak odmienny od naszego *wishful-thinking*, lecz trzeba przyznać, że wyniki badań przeprowadzonych przez prof. R. Barta są bliższe rzeczywistości życia polonijnego, aniżeli optymistyczne komentarze prof. Siedlika, który pisze, że: „Jeśli chodzi o stanowiska pracy, to także i tutaj Polacy są w czołówce, wyprzedzeni tylko przez Rosjan i w małym procencie przez Brytyjczyków”. (!)

O wielkich dochodach Polonii w USA

Warto przypomnieć twierdzenie prof. Taylora, że dane statystyczne (i ankietowe) służą przede wszystkim tym, którzy je sporządzają. Nie znaczy to, że statystyka (w tym przypadku ankietowa) kłamie, tylko zanim przystąpi się do omawiania jakichkolwiek danych statystycznych, powinno się zapoznać z metodą ich opracowania.

Amerykańska statystyka imigracyjna — podajmy dla przykładu — identyfikuje przynależność narodową i państwową, mając na to jedno tylko określenie *nationality*. Obszernie ten problem omówiony jest w pracy M. Szawlewskiego pt. „Wychodźstwo Polskie w Stanach Zjednoczonych” (rok 1923). Szawlewski był wówczas konsulem generalnym R.P. w New Yorku (później, w Polsce szefem Biura Ekonomicznego w Banku Polskim) i jego wywód nie stracił na aktualności, ponieważ do tej pory każdy przybywający do USA w rubryce *nationality* ma zapisaną nazwę kraju urodzenia, względnie posiadane obywatelstwo, a nie narodowość w pojęciu etnicznym.

Przy tak przyjętej metodzie statystycznej Polak, który przybył do USA przed 1919 rokiem, kiedy państwo polskie jeszcze nie istniało, figuruje w statystykach amerykańskich, w rubryce *nationality*, jako Rosjanin, Niemiec lub Austriak, w zależności od tego pod którym zaborem urodził się lub jakim obywatelstwem legitymował się. Ten zapis, zrobiony przez urzędnika emigracyj-

nego, nie został poprawiony przez biuro statystyczne. Zapis zostaje na całe życie. W arkuszach spisów ludności, jakie odbywają się w USA co 10 lat, jest jeszcze dodatkowe pytanie, oparte na wykładni językowej słowa *nationality*. Mianowicie pytanie z jakiego kraju pochodzą rodzice respondenta (jeśli nie są rodowitymi Amerykanami)?

Na to, aby jeden człowiek mógł zmienić kraj zamieszkania trzeba zgody aż dwóch rządów. Toteż amerykańska ustawa emigracyjna określa kwoty imigracyjne dla obywateli poszczególnych państw a nie dla narodowości, chociaż jest sporo krajów wielonarodowościowych. Ale z tego wniosek, że nie można w pełni identyfikować statystyk imigracyjnych z oszacowaniem liczebności grup etnicznych w USA.

W podobnej sytuacji jak Polacy, znaleźli się Żydzi, którzy nie posiadali własnego państwa do 1948 roku i różne narodowości nie posiadające własnych państw. W spisach imigrantów, jako *nationality* mają zapisany kraj urodzenia (obywatelstwa).

A skąd była największa emigracja żydowska do USA? Oczywiście do 1918 roku z obszarów Rosji a od 1919 roku z Polski. Żydzi z Polski są zaliczeni do polskiej grupy pochodzeniowej a Żydzi z Rosji zapisani są do rosyjskiej grupy w konsekwencji czego ich skala zarobkowa (nierzadko bardzo wysoka, z racji pozycji zajmowanych w życiu gospodarczym Stanów Zjednoczonych) mogłaby być „dopisana” do dochodów odpowiedniej grupy. Statystyka państwowa tym się nie zajmuje. Ale ankiety próbują.

Prof. Siedlik w swoim opracowaniu, powołując się na badania ankietowe, zamieścił tabelę 8 grup etnicznych, legitymujących się (rzekomo) najwyższą przeciętną dochodów na rodzinę. W tej czołówce 8 grup etnicznych z najwyższymi zarobkami nie ma żydowskiej grupy etnicznej. Czy ten fakt nie wymagał skomentowania? Są dwie możliwości: albo żydowska grupa etniczna w USA spadła do rzędu najgorszej zarabiających w Ameryce, albo jej dochody zostały rozdzielone pomiędzy te grupy etniczne, z których obszarów państwowych wywodzi się emigracja żydowska. Kropki nad „i” nie trzeba stawiać*.

Metodzie ankietowej zawdzięczamy to, że na pierwszym miejscu pod względem średniej dochodowości znalazła się rosyjska grupa etniczna a na drugim polska. Oczywiście to nie ma nic wspólnego z rzeczywistą skalą zarobków Polonii amerykańskiej, która z trudem wydobywa się z dolnej skali zarobkowej ku średniej, niejednokrotnie spotykając się z dyskryminacją w karierach życia publicznego i gospodarczego.

* Jako ilustrację można zacytować komunikat *Associated Press*, który poinformował o śmierci Samuela Goldwyna: „the colorful Polish immigrant... born as Samuel Goldfish in Warsaw, Poland... Goldwyn was the founder of Metro-Golwyn-Mayer”. Niedawno prasa amerykańska pisała o *poliskim emigrancie Dawidzie Wish*, przedsiębiorcy budowlanym którego majątek obliczany jest w setkach milionów dolarów.

Statystyka czy ankieta?

Kiedy ogłoszone zostały wyniki spisu ludności w USA z 1970 roku, Departament Handlu opublikował, że dane spisowe wykazały, iż w Stanach Zjednoczonych mieszka ok. 4,5 milionów osób pochodzenia polskiego. Przeciwno tym obliczeniom gwałtownie zaprotestował Kongres Polonii Amerykańskiej. Poszły protesty do Waszyngtonu, skargi do prasy, a w piśmie KPA skierowanym do Departamentu Handlu powiedziano, że omyłka jest tak duża (o kilka milionów), ponieważ metoda statystyczna uwzględnia tylko dwie kategorie osób — jedna to urodzeni w Polsce a druga to urodzeni w USA z rodziców emigrantów z Polski. Kongres Polonii Amerykańskiej domagał się wprowadzenia do kwestionariusza spisuowego dodatkowego pytania: — Do jakiej grupy narodowościowej zalicza siebie respondent? KPA motywował to żądanie tym, iż nie tylko emigranci i dzieci emigrantów z Polski tworzą naszą grupę etniczną, lecz należy do niej wielu Amerykanów z trzeciego, czwartego, itd. pokolenia. Wobec tego przez pytanie zmierzające do samookreślenia etnicznego grupa polska — według przypuszczeń KPA — wzrośnie do 8 lub 10 milionów.

Na to pismo przysłała z Departamentu Handlu bardzo grzeczna w formie odpowiedź, której sens był taki: — gdyby władze KPA przed skargami zapoznały się dokładniej z treścią arkusza spisowego, to nie byłoby narzekań. Właśnie bowiem w spisie z 1970 roku to pytanie o samookreślenie przynależności etnicznej zostało po raz pierwszy wprowadzone i cyfra 4,5 miliona oparta została na oświadczeniach respondentów. Marzenia i rzeczywistość rzadko idą w parze.

Jeszcze przed protestem KPA, socjolog z Uniwersytetu chicagowskiego, prof. Krug, wygłosił prelekcję w Związku Akademików Polskich (18. XII. 1971), w której zapoznał Polonię z interesującymi ją cyframi ze spisu ludności z 1970 roku nie omijając zagadnienia nowych pytań spisowych. Prof. Krug powiedział m.in., że spis ludności wykazał, iż tylko 40 milionów tzw. białych Amerykanów (głównie pochodzenia europejskiego) oświadczyło, że poczuwa się do przynależności do którejś z grup etnicznych. Nadto zadeklarowało swą przynależność etniczną 10 milionów osób pochodzących z Ameryki Łacińskiej i 22 milionów Murzynów. Natomiast 130 milionów Amerykanów nie posiada już żadnego poczucia związków pochodzeniowych, dało bowiem negatywną odpowiedź w spisie ludności.

Oczywiście, że do tych 60 % inderentnych pochodzeniowo Amerykanów należy też spora ilość osób polskiego pochodzenia (małżeństwa mieszane itp.). Ale to są pozycje już stracone, zwłaszcza że wśród tych 4,5 milionów, które przyznało się do polskiego pochodzenia, zaledwie 5,6 % zadeklarowało, iż język polski jest ich językiem domowym, podczas gdy np. w grupie narodowości Ameryki Łacińskiej 57 % podało, że hiszpański jest ich

językiem domowym. Wszystko to szczegółowo omówił w referacie dla Polonii prof. S. Piwowarski z Uniwersytetu Loyola, ale widać do przywódców polonijnych nie dotarło, gdy rozpoczęli spór z organizatorem spisu ludności.

Ankieta, którą omówił prof. Siedlik jest w tak rażącej sprzeczności z oficjalnymi danymi powszechnego spisu ludności, że trudno z jej stwierdzeniami się pogodzić. Spis mówi, że ok. 60 % Amerykanów nie ma już poczucia związków etnicznych a prof. Siedlik twierdzi, iż ankieta wykazała, że tylko 9 % nie znało swego pochodzenia etnicznego. Trudno bez zastrzeżeń przyjąć wyniki ankiety, obfitującej w tyle zaskakujących i empirycznie niesprawdzalnych danych.

Rola grup etnicznych w USA

W 1969 roku do prezydenta Nixona zgłosiła się delegacja kongresmanów Murzynów, prosząc o wysłuchanie ich żądań. Nixon odmówił przyjęcia twierdząc, że nie ma w Kongresie kongresmanów murzyńskich, meksykańskich czy innych, wszyscy są kongresmanami wybranymi przez cały naród amerykański. Teraz, w 1974 roku, Nixon już by tego nie powiedział. Faktem jest, że grupy etniczne wywierają wpływ na życie polityczne w USA, że *melting pot* popekał, a odrębności etniczne odradzają się kulturowo, ale nie separatystycznie. W stanie New York nie można wygrać wyborów, nie wysuwając na gubernatora lub senatora kogoś z grupy żydowskiej. Nie można wygrać wyborów w stanie New Mexico, nie mając kandydata z meksykańskiej grupy etnicznej. W Nowej Anglii musi zwyciężyć Irlandczyk z pochodzenia, a w stanie Illinois kongresmanami wybierani są Amerykanie polskiego pochodzenia, z czym liczą się obie partie, ale same dobierają sobie kandydatów, których przywództwo polonijne akceptuje.

W grudniu 1973 roku byłem w San Francisco na dorocznym zjeździe Polsko-Amerykańskiego Towarzystwa Historycznego. Jednym z gości na tym zjeździe był socjolog z uniwersytetu w Los Angeles, który wygłosił referat na temat Polonii kalifornijskiej. Jego samookreślenie brzmiało następująco — „jestem Amerykaninem a następnie Żydem pochodzenia z Polski”. Jako profesor socjologii, wziął na swój warsztat naukowy również polską grupę etniczną w Kalifornii. W konkluzji powiedział, że Polacy na obczyźnie udowodnili, iż potrafią zachować więź narodową żyjąc w zwartych skupiskach, natomiast w diasporze więź ta ulega silnemu osłabieniu, silniejszemu, aniżeli w grupach etnicznych, które dominują w społeczeństwie amerykańskich i potrafią działać solidarnie bez nawyków stadnych. Ta opinia wydała się wielu słuchaczom trafna.

W pracy zbiorowej, ostatnio wydanej przez Centrum Studiów Instytucji Demokratycznych w Ameryce, pt. „Don't Just do Some-

thing" co w tłumaczeniu dowolnym znaczy — nie rób byle czego (albo pomyśl jaki sens ma twoja praca), zabrać głos b. długoletni rektor Uniwersytetu chicagoskiego, ongiś typowany na wiceprezydenta USA u boku Roosevelta, prof. Robert T. Hutchins, który wykazał, że opinia publiczna w Ameryce jest dziś produktem instytucji masowego przekazu (z T.V. na czele), które są *stacjami obsługi* dla różnych „grup nacisku” i agencji rządowych, mających czym wynagradzać te usługi. Odnosząc ten wywód do stosunków polonijnych powiedziałbym: — nie licytujmy się ile milionów liczy Polonia w USA, bo sama masa nie posiada takiego znaczenia, by się przed nią otwierały drzwi z wysokimi progami. Prof. Hutchins wskazuje na *pressure groups* jako na rzeczywistych dysponentów opinią publiczną, a my takiej grupy nacisku nie mamy i wcale się o jej stworzenie nie staramy. Organizacyjnie tkwimy dalej w stosunkach getta narodowościowego, wyżywamy się w protestach, a ludzi zdolnych stworzyć polską *pressure group* nie mamy.

Edward PUACZ

Kronika australijska

Australia była uważana za kraj kolonialny i białą plamę na mapie życia kulturalnego cywilizowanego świata jeszcze w początkach XX wieku. Pierwsza uzyskała światową sławę australijska śpiewaczka — Melba. Dziś pamięć o niej zachowała się wśród bywalców wykwintnych lokali z racji deseru nazwanego jej imieniem. A powinnyby też pozostać w pamięci Polaków, bo w czasie pierwszej wojny światowej dawała chętnie koncerty na pomoc polskim ofiarom wojny — jak to się wówczas nazywało.

Później zaczęli pojawiać się coraz liczniej artyści filmowi rodem z Australii, portrety na okładkach amerykańskiego *Time* bywały pędza Dobell'a, na scenach święciła triumfy Margaret Sutherland (sopran koloraturowy) a powieści popularne Morris West'a osiągały milionowe nakłady.

Ale dopiero rok 1973 stał się przełomowym „przyjęciem do towarzystwa”. Patrick White jako pierwszy Australijczyk uzyskał nagrodę Nobla z literatury (w polskim tłumaczeniu ukazały się już trzy jego powieści: „Żywi i Umarli”, „Wóz Ognisty” i „Węzeł”), ale nie pierwszy w ogóle, gdyż było już parę nagród Nobla z medycyny i chemii.

Otwarto też uroczyste operę w Sydney, wybudowaną w ciągu kilkunastu lat kosztem stu milionów dolarów. Aby się wkupić do dobrego towarzystwa australijska Galeria Narodowa w Canberze zakupiła za dwa miliony dolarów modernistyczny obraz (?) „Blue Poles” Amerykanina J. Pollock'a (w ub. roku Pierre Bonnard za 400 tys. dol.). Wreszcie otwarcia festiwalu sztuki w Adelajdzie, w lutym 1974, ma dokonać osobiście królowa Australii (bo wiem taki tytuł jest obecnie w użyciu) Elżbieta II. W organizowaniu pierwszych festiwali, odbywających się co dwa lata, brał bardzo czynny udział

Stanisław Ostoja-Kotkowski, znany pionier sztuki audio-wizualnej, dekorator, malarz, reżyser, producent...

Obecny rząd australijski jest szczodry dla artystów, pisarzy, intelektualistów (i czarnych tubylców).

W ostatnim spisie dotacji figuruje nasz dobry znajomy Andrzej Chciuk — otrzymał roczne stypendium 6 tysięcy dolarów australijskich, czyli 9 tys. amerykańskich, piszący obszerną powieść obyczajową o życiu polskich emigrantów w Australii. Jest to jeden z nielicznych przykładów popierania twórczości pisarskiej w obcym języku. Dotację — 2 tysiące dolarów — na dokumentację potrzebną do trzeciej książki, otrzymała Polka rodem z Wołynia, Mrs Harding, pisząca powieści pod pseudonimem Zofia Kruk (nazwisko panięńskie jej matki), oraz recenzje jako Penny Harding. Jej powieść „The Taste of Fear — A polish childhood in Germany 1939-1946” stała się *best-seller'em*. Dr J. Smolicz z Uniwersytetu w Adelajdzie otrzymał dotację około 6 tys. dolarów na kontynuowanie prac o asymilacji emigrantów wschodnio-europejskich. Lech Paszkowski z Melbourne też otrzymał pomoc dla wykończenia i wydania angielskiego tłumaczenia jego książki „Polacy w Australii i Oceanii”. Peter Skrzynecki z Sydney wydał już dwa tomy poezji oraz zamieścił kilkadziesiąt swych wierszy w australijskich periodykach o wielkich nakładach.

Gwiazdą teatrów w Sydney jest Anna Volska (skrót z Dobrowska) występująca też w filmach. Najwięcej sławy przysporzyła jej tytułowa rola w telewizyjnym filmie opartym na dziejach Heleny Rubinstein, zwłaszcza że droga do sławy, tak pierwowzoru jak też wykonawczyni prowadziła z Krakowa do Australii.

Spośród artystów dotację 2 tys. dol. otrzymał młody malarz W. Placek. Sukcesy odnosi tu pionierka rzeźby „szydełkową robotą” Ewa Pachucka, przybyła z Polski przed trzema laty. Figuruje ona na wystawie w Sydney wśród około 50 reprezentantów współczesnej sztuki australijskiej. Stowarzyszenie Polskich Kombatantów w Australii ofiarowało za pośrednictwem Kardynała Wojtyły posąg Matki Boskiej Stalowej dla nowego kościoła miasta stali — Nowej Huty pod Krakowem. Jest to praca pp. E. i B. Godulskich, również przybyłych z Polski przed paru laty. Także w Sydney pracują (i przeważnie wykładają) malarze E. Klimek, St. de Teliga, Zmieja, grafik G. Smolicz i sędziwy prof. Fuerring, na Tasmanii jest rzeźbiarz Aleksander Szołomiak, w Melbourne Z. Tomaszewscy, B. Hermacińska-Goodman (płaskorzeźba Chopina wręczona na uroczystości z okazji otwarcia Opery Sydneyjskiej), rzeźbiarz F. Pawłowicz, w Adelajdzie malarze Władysław i Ludwik Dutkiewicz i Krzywokulski, rzeźbiarz B. Kozłowski, w Perth rzeźbiarz A. Szczepański, w Canberze p. Tupalska oraz na pewno wielu jeszcze pominiętych, bo polscy artyści przeważnie „chodzą luzem” i utrzymują słaby kontakt ze zorganizowaną Polonią, często na skutek gorzkich doświadczeń — Polonia ta nie dała im poparcia, gdy tego potrzebowali.

Z poloników zagranicznych można by wymienić, że występowała tu z niezmiennym powodzeniem Wanda Wiłkomirska. Niespodziewanie wielkie zainteresowanie wywołały dwie prelekcje J. Grotowskiego (w języku francuskim). Opuścił Australię po paroletnim pobytku pianista Niedzielski. Uczy tu Australijczyków sztuki filmowej prof. Toeplitz, pojawiał się Skrowaczewski. Spodziewany jest przyjazd zespołów Pantomimy i Śląska. Na brak muzyki polskiej od Moniuszki do Lutosławskiego w repertuarach rozgłośni państwowych nie można narzekać. Słyszeliśmy pogadanki o Koperniku jak też psychologoburze wywody profesora Andrzejewskiego-Andreski'ego a na telewizorach oglądaliśmy „Banacka” i „Zemstę” Wł. Dutkiewicza.

E. ŻAGIELL

Kronika kulturalna

Ofelio, idź do klasztoru

22 grudnia 1963 roku w warszawskim piśmie „Kultura”, w rubryce „Kuchnia polska”, p. Toeplitz zamieścił artykuł zatytułowany „Szlachetność plotki”, w którym można przeczytać co następuje: „Gombrowicz słania się, ponieważ chcąc nie chcąc musi udawać, że możliwa jest w naszych czasach jakaś wielka polska emigracja pisarska, podczas gdy sam doskonale wie, że emigracja ta jest, i może być, tylko mała, że pisarze, nawet zdolni, oderwani od swojej ziemi karleją, marnują się i kończą i nie ma współcześnie ani jednego przykładu, aby mogło się zdarzyć inaczej. Przykro jest widzieć znakomitego kiedyś pisarza w stanie takiej prostracji...”

Minęło dziesięć lat. W tym samym piśmie i w tejże rubryce „Kuchnia polska” p. Toeplitz ogłasza nowy artykuł na temat Gombrowicza, pt. „Blokada czyli nic albo nic”, w którym stara się dojść: „kto ponosi odpowiedzialność za to, że współczesna kultura literacka w Polsce zubożona została o jeden z ważnych kształtujących ją czynników?”. P. Toeplitz przyznaje zatem publicznie, że Gombrowicz jest najbardziej rzucającym się w oczy i najbardziej przekonującym dowodem na to, że na „emigracji, która może być tylko mała” może wyrosnąć wielki pisarz. Zapytuję: w jaki sposób pisarz, uważany za emigracyjnego karła, usychający z dala od swej ziemi, tworzący dzieło publikowane przez innego emigranta, Jerzego Giedroycia, dzięki temu właśnie dziełu potrafi stać się nagle gigantem literatury swej ojczyzny? Nie czekając kolejnych dziesięciu lat na odpowiedź, wygotowaną przez p. Toeplitza, pragnę dać własną, oraz przy pomocy tak drogich mu faktów odnaleźć rzeczywiście odpowiedzialnych za blokadę Gombrowicza w Polsce.

Jest rzeczą niewątpliwie trudną dla narodu — szczególnie dla

Polski, dość drażliwej, o ile mi wiadomo, na punkcie swego honoru narodowego — przyznać, że któryś z jego synów mógł stać się wielkim bez pomocy, a nawet w opozycji wobec niego. Jednak jest faktem, że w przeciągu ponad 20 lat, w zakresie wydawniczym Polska nie zaofiarowała Gombrowiczowi **niczego** oprócz głuchego milczenia, przerwane w 1957 roku publikacją kilku utworów, wkrótce potem umieszczonych na indeksie. Co do prasy, to poza kilkoma izolowanymi, odważnymi utworami z zakresu krytyki artystycznej, zabrała ona głos tylko w 1963 roku celem zaatakowania przebywającego wówczas w Berlinie Gombrowicza w sposób wyjątkowo pługawy.

Otoczony tym wrogim milczeniem Gombrowicz zmarł w 1969 roku. Dwie, nie pozbawione znaczenia uwagi: w 1957 Gombrowicz zezwolił jednorazowo na publikację swych utworów pojedynczo, nie domagając się opublikowania „Dziennika”, zaś jego edytor paryski, Giedroyc, mimo iż posiada legalne prawa do tych dzieł, zgodził się na to wydanie, aby udostępnić Gombrowicza czytelnikom w Polsce.

Dokąd zaś zawiodły Gombrowicza mała emigracja i stan prostracji? Do uznania jego emigracyjnego dzieła na całym świecie, do wystawienia jego emigracyjnych sztuk przez największe teatry europejskie, do przyznania mu „Prix International des Editeurs” za jego emigracyjny utwór „Kosmos”, oraz do kandydatury do nagrody Nobla. W czasie gdy Polska zmuszała go do milczenia, jedynym polskim wydawcą, który zdobył się na publikację dzieła Gombrowicza w całości był Giedroyc z paryskiej *Kultury*, dzięki któremu Gombrowicz przetrwał jako pisarz polski. I dzięki któremu prasa w Polsce może zajmować się analizą takich utworów jak „Pornografia”, „Kosmos”, „Dziennik”, „Operetka”, itd. Mam tu na myśli świetne szkice krytyczne Michała Głowińskiego, Jerzego Jarzębskiego, Andrzeja Kijowskiego, Artura Sandauera, Małgorzaty Szpakowskiej, Wojciecha Wyskiela i innych. Czyż trzeba powtarzać to, co już tylekroć podkreślał Gombrowicz: że dla uzyskania wewnętrznej niezależności i swobody wyrazu pisarz winien zachowywać dystans wobec wszelkiej formy, szczególnie zaś wobec formy narodowej? W związku z tym Gombrowicz zawsze uważał emigrację, w sensie ściśle osobistym, duchowym, w sensie wewnętrznego wygnania, za rzeczywisty los każdego prawdziwego artysty.

A teraz, gdy dzieło i życie Gombrowicza zostały zakończone w 1969, kto jest odpowiedzialny za to, że utwory jego nadal się w Polsce nie ukazują? Państwo Polskie, które obstaje przy nieogłaszaniu „Dziennika”, czy też jego spadkobierczyni oraz jego paryski wydawca, którzy obstają przy respektowaniu woli pisa-

rza? Zagadnienie należy potraktować otwarcie jako próbę sił pomiędzy „Dziennikiem” (czyli Gombrowiczem, nie zaś jego spadkobierczynią czy wydawcą), a oporem władz polskich wobec „Dziennika” (czyli wobec Gombrowicza). Trzeba bowiem stwierdzić, że próby odzyskania dzieła Gombrowicza (niestety, przy użyciu czasami metod jak najgorszych) zaczęły się dopiero po jego śmierci. To nie przypadek. Pisarz nieżyjący jest mniej niebezpieczny od żyjącego, a przede wszystkim nie może się bronić. Gombrowicz zdawał sobie z tego sprawę lepiej niż ktokolwiek inny. Dlatego właśnie, po gorzkich doświadczeniach ze swą ojczyzną żądał, by najpierw wydany został jego „Dziennik” (jedyne jego utwór nie należący do dziedziny fikcji literackiej), który słusznie uważał za jedyny głos, jaki umożliwi zrozumienie go. Przeczuwał, że będzie się próbowało przekształcić emigracyjnego „karła” w pomnik narodowy i w ten sposób zabezpieczył się przed przeróbkami, dokonywanymi palcami cenzorów. Bieg wypadków przyznał mu rację. Już p. Toeplitz, celem usprawiedliwienia odmowy publikacji „Dziennika”, określa pewne ustępy tego dzieła jako „zwyczajną antysocjalistyczną propagandę polityczną”. I — dodaje — „... czy jest na świecie wydawca, który nagle, ni stąd ni zowąd, wydrukuje paszkwil na siebie samego? Taki wydawca nie istnieje, a u nas, tak czy owak, wydawcą jest Państwo Polskie”. Jasna deklaracja, ale równocześnie i prywatna opinia p. Toeplitza, który uzurpuje sobie prawo przemawiania w imieniu polskich czytelników na temat utworu, który zabrania im się czytać. Byłby może czas pozwolić polskim czytelnikom, którzy nie są dziećmi, aby wydali własny sąd na podstawie oryginalnego tekstu, bez pośrednictwa ograniczonego felietonisty. Tylko oni są w stanie osądzić, czy „Dziennik” jest utworem propagandowym (Gombrowicz propagandzista!...), czy też — jak chciał jego autor — nieskrępowaną rewizją wartości artystycznych i ideologicznych naszej epoki, dokonaną przez programowo niezależnego artystę. Jednakowoż polski wydawca-państwo tej nieskrępowanej rewizji wartości wyraźnie sobie dla swoich czytelników nie życzy.

I od tego miejsca zaczyna się poszukiwanie kosztów ofiarnych dla wytłumaczenia tej sytuacji. P. Toeplitz pisze o „ponoszących odpowiedzialność” i tą odpowiedzialną mam być ja, która — niezorientowana w sprawach polskich — poddaję się naciskom mego otoczenia i mego wydawcy w Paryżu. (Zastanawiam się, jak może wydawca, z którym autor bezpośrednio podpisał kontrakty na całość swego dzieła, wywierać nacisk na spadkobierczynię pisarza). Zanim przedstawię moje osobiste stanowisko, chcę pokazać, jak zachowała się Polska wobec spadkobierczyni autora, którego dzieła tak bardzo chce wydać.

Lipiec 1969. Mała wzmianka u dołu stronicy jednej z gazet

warszawskich na temat śmierci autora „Ferdynand”. Trzy telegramy i jeden list od przyjaciół Gombrowicza.

Grudzień 1969. Pierwszy gest oficjalny, w pięć miesięcy po zgonie Gombrowicza: p. Iwaszkiewicz, prezes Związku Literatów Polskich, ogłasza w czasopiśmie „Twórczość” prywatne listy, które napisał do niego Gombrowicz. Bez zatroszczenia się o prawa autorskie.

Kwiecień 1970. Czasopismo „Polonia” publikuje w 7 językach wyjątki z „Dziennika”. Nie prosząc odpowiednich wydawców o pozwolenie.

Maj 1973. Czasopismo „Miesięcznik Literacki” zamieszcza fragmenty „Dziennika”, ale tym razem w bardziej zakamulowany sposób. Wycina się zdania to tu, to tam, doczepia jeden fragment do drugiego, traktuje się tekst jak zestaw klocków do zabawy i rezultat, w postaci montażu, zostaje przedstawiony jako wywiad, udzielony przez Gombrowicza fikcyjnemu Argentyńczykowi nazwiskiem Marcos de Quebrado.

Kiedy Giedroyc i ja listownie zwracamy się, za pośrednictwem adwokata, do czasopisma o przerwanie tego zniekształcania tekstu, do którego posiadamy prawa autorskie, kiedy proszę redakcję o wyjaśnienie, p. Toeplitz na łamach innego czasopisma oświadcza w odpowiedzi, że podobny sposób postępowania jest nie tylko normalny, ale i dowcipny! Że nasze oburzenie jest bezcelne i komiczne! I tryumfalnie oznajmia, że embargo zostało zdjete: „O co tu bowiem chodzi naprawdę?” — pyta Toeplitz — „O prawa autorskie? O integralność myśli Gombrowicza? O dobre obyczaje? — „Bujać to my, panowie szlachta!” Chodzi po prostu o to, że w interesie polskiego czytelnika, polskiej czytającej młodzieży i polskiej kultury, naruszona została wasza blokada, nałożona na pisma Gombrowicza...”. Pomijając fakt, że dla mnie i dla każdego, kto posiada minimum poczucia odpowiedzialności, prawa autorskie, integralność myśli pisarza i dobre obyczaje są sprawami zasadniczymi, chcę zauważyć, że rzeczywiste odcięcie młodzieży i czytelnika polskiego od dzieła Gombrowicza polega na uniemożliwieniu im dostępu do pełnego tekstu „Dziennika”, na odgradzeniu od tych jego części, które Marcos de Quebrado pomija. Co to wszystko ma znaczyć? To właśnie ja domagam się od czterech lat odblokowania polskim czytelnikom „Dziennika”. Zresztą cóż dziwić się złej wierze p. Toeplitza i owego rzekomego Argentyńczyka, skoro już Gombrowicz bardzo dobrze opisał tę postawę w swym „Dzienniku” — „Najlepsze ich umysły są chore na tę wstrętą, połowiczną szczerość: szczerze w stosunku do cudzego świata, ale skrupowa-

* „Dziennik 1953-1956”, Instytut Literacki, Paryż 1971, str. 255.

ne, gotowe wykastrować się z wszelkiej rzetelności, gdy chodzi o gmach własnej chimery. Ofelio, idź do klasztoru!”

31 lipca, 1973. Po dokładnie czterech latach tego rodzaju postępowania jeden z wydawców w Krakowie napisał do mnie, proponując zbiorowe wydanie dzieł Gombrowicza w ciągu najbliższych lat. 17 września inny wydawca, warszawski, zaproponował mi wydanie oddzielnych utworów.

Należy skończyć z legendą „wszystko albo nic”. Zasada brzmiała: „Najpierw 'Dziennik'”. Niezależnie od tej zasady jednak, w okresie poprzedzającym wspomniane daty ani razu żaden polski wydawca nie zaproponował mi konkretnie publikacji jakiegokolwiek utworu Gombrowicza. Ani „Ferdydurke”. Ani „Bakakay”. Ani „Kosmosu”. Nic. Nie mówię tu o przedstawieniach teatralnych, bo to osobna sprawa. P. Toeplitz pisze o próbach kontaktu „mniej lub bardziej określonymi drogami”. Normalnie gdy jakiś wydawca chce opublikować jakiś utwór Gombrowicza, nie przychodzi mu na myśl wysłać chmary baloników próbnych, krążących latami wokół mnie i moich przyjaciół. Liczba dróg wiodących od wydawcy do autora nie jest taka znów wielka. Wystarczy jeden list. Od roku 1969 gotowa jestem dyskutować z każdym polskim wydawcą, który by zapragnął porozmawiać ze mną szczerze na ten temat. I jest mi przykro, że na skutek działania w sposób, który określe jako nie tylko nieuczciwy, ale także niezręczny i nader nieinteligentny, sytuacja ulegała systematycznemu pogarszaniu, zmuszając mnie od początku do zajęcia postawy obronnej i protestów. Zastanawiam się poza tym, w jaki sposób można pogodzić propozycje wspomnianych wydawców, o szczerości których nie wątpię, z oświadczeniami p. Toeplitza.

P. Toeplitz uważa, że domaganie się publikacji „Dziennika” jest nieuzasadnione. „Żaden zagraniczny autor ani żaden zagraniczny wydawca nie stawiał nigdy polskim wydawnictwom takich warunków” — twierdzi. Po pierwsze, Gombrowicz w swojej ojczyźnie nie jest autorem zagranicznym i jego pozycja w Polsce jest zupełnie odmienna od pozycji Sartre'a czy Steinbeck'a. Po drugie, zapomina się tu o tym, że autorzy ci — i dołączę tu m.in. Aragona — mają tę ogromną przewagę wobec Gombrowicza, że w ich krajach rodzinnych wydaje się ich w całości i ich prawo do własnych utworów jest szanowane. Ciekawa jestem, jak by zareagował Aragon, gdyby jacyś francuscy dziennikarze zaczęli się zabawiać w robienie montażu z jego tekstów i prezentowali je następnie w formie fałszywych wywiadów, odrzucając przy tym wszystkie ustępy, nie odpowiadające im ze względów politycznych.

Na zakończenie chcę określić moje własne stanowisko. Jestem Kanadyjką, to prawda. Jeżeli Gombrowicz wybrał mnie, abym

zajmowała się jego dziełem, to prawdopodobnie nie ze względu na moje szczególne kwalifikacje w dziedzinie języka i kultury polskiej. To chyba oczywiste? Kwestia: jestem czy nie jestem specjalistką w zakresie literatury polskiej, nie ma tu nic do rzeczy. Natomiast Gombrowicz znał mnie dostatecznie dobrze by wiedzieć, że potrafię walczyć o to, co on uważał za sprawę najważniejszą: żeby wszędzie uchronić jego pisma przed zniekształceniem i w ten sposób wiernie je zachować. Jeśli podjęłam się tego zadania, które Polska czyniła wielokrotnie niewdzięcznym i trudnym, to dlatego, iż wierzyłam — i wierzę coraz głębiej — że dzieło i osobowość Gombrowicza były tego warte. Nie jestem Rosjanką ani Niemką, lecz znam wartość i rolę Dostojewskiego i Manna w literaturze światowej. Tym bardziej więc — Gombrowicza.

Rita GOMBROWICZ

Mediolan, 25 stycznia 1974

(Przełożył z francuskiego M. Broński)

Laski i ich założyciele

2- kwietnia 1973 roku zmarł w Laskach — Zakładzie dla Niewidomych — ks. Antoni Marylski (1894-1973), długoletni prezes Towarzystwa Opieki nad Ociemniałymi, współtwórca i wieloletni kierownik Zakładu.

Towarzystwo Opieki nad Ociemniałymi powstało już w 1910 roku założone przez Różę Czacką (1876-1961), prawniczkę Tadeusza Czackiego, założyciela Liceum Krzemienieckiego.

Róża Czacka straciwszy wzrok w wieku dwudziestu dwóch lat, zapoznawszy się z metodami kształcenia niewidomych we Francji i Szwajcarii, postanowiła zająć się sprawą niewidomych w Polsce.

Towarzystwo Opieki nad Ociemniałymi rozwija swoją działalność, naprzód w Warszawie, tworząc warsztaty z internatem, przytułek dla starców, patronat dla rodzin ociemniałych, bibliotekę Braille'a. Pierwsza wojna światowa przerywa działalność Towarzystwa. W roku 1918 Róża Czacka wraca do Warszawy w habicie Franciszkanek i zakłada Zgromadzenie SS. Franciszkanek Służebnic Krzyża, świadoma tego, że jedynie zespół zakonny, poświęcony całkowicie opiece i kształceniu ociemniałych, byłby w stanie podołać temu zadaniu.

W 1922, Matka Czacka otrzymuje w darze 2 i pół ha gruntu na skraju Puszczy Kampinoskiej, 20 km. od centrum Warszawy, a około siedmiu od jej krańców, przy szosie wiodącej do Izabelina, w lasku sosnowym, przetykanym dębami. Tutaj powstaje wtedy osiedle, zwane Laski — Zakład Opieki nad Ociemniałymi.

Drogą zakupów i darowizn obszar osiedla Laski rozszerza się z biegiem lat do trzydziestu pięciu ha gruntu, a wokół kaplicy powstaje szereg domów, materialnie z niczego, jedynie z nieustępliwej woli założycieli tej placówki, przeznaczonej dla rehabilitacji ludzi pozbawionych jednego zmysłu, wyrwania ich z biernej vegetacji i włączenia, po latach szkolenia, do normalnego społeczeństwa, jako zawodowo do życia przygotowane jednostki.

W tymże 1922 roku, za poradą ks. Władysława Kornilowicza, nastąpiło spotkanie Antoniego Marylskiego z Matką Czacką, spotkanie, które miało zaważyć na całym jego życiu, nadać mu sens i kierunek. Po burzliwych latach pierwszej młodości, służbie wojskowej, próbach realizacji tołstojowskiej ideologii pacyfizmu, po studiach i podróżach, znalazł jako dwudziestoosmioletni młodzieniec pole pracy, w duchu swoich dążeń i wiary, a pracy tej pozostał wierny do śmierci. Odtąd, od 1922 roku, jako prawa ręka niewidomej założycielki, krążył Antoni Marylski, tramwajem i na piechotę, pomiędzy ul. Polną, siedzibą patronatu, a laskiem podwarszawskim, tą dwu i pół hektarową posiadłością. Przy pomocy życzliwych chłopów zwoził budulec na pierwsze mury Zakładu dla Niewidomych. Z biegiem lat powstają internaty dla chłopców i dziewcząt, szkoły, warsztaty, domy dla personelu, budynki gospodarcze i in.

W miarę przybywania gruntu osiedle wzbogaca się o pole uprawne, ogród warzywny i owocowy. Funduszy zawsze brakło, subwencje państwowe były nikłe w porównaniu do potrzeb i zamierzeń Towarzystwa, ratowano się zbiórkami w całym kraju i darami prywatnymi.

Przed drugą wojną światową Laski składały się już z kilkunastu murowanych budynków, w których kształciło się około trzystu dzieci od lat najmłodszych do 18-19 lat, a około 45 wyszkolonych niewidomych opuszczało corocznie Zakład, podejmując, pod opieką patronatów, życie samodzielne, jako robotnicy fabryczni, zwłaszcza, przy obróbce drzewa i metali, albo jako chałupnicy na własnych warsztatach.

Podobnie jak z funduszami, działa się z pracownikami zakładowymi, przybywało ich, w miarę potrzeb, jako że zasadą Stowarzyszenia było, dopełniać kadry zakonne świeckimi ludźmi, zdolnymi do tej pracy i jej godnymi. Rósł zastęp ludzi dobrej woli, rekrutujących się przeważnie z „Kółka” młodzieży, skupionej wokół ks. Kornilowicza, studentów humanistyki, młodych filozofów, artystów i konwertytów. Laski stały się dla wielu z nich przystanią, częścią portem, na resztę życia.

Od założenia Zakładu, od tych pierwszych murów z 1922 roku

do samego zgonu, trzy postacie prowadziły to wielkie dzieło miłosierdzia i odnowy religijnej: Matka Czacka, ks. Kornilowicz i Antoni Marylski.

Z dalszych, niezapomnianych pracowników i sympatyków Lasek pierwszej doby, wymienię jedynie kilku, tych, co już zeszedli z tego świata, jak poeta Jerzy Liebert, eseista Rafał Blüth, Zofia Landy (w zakonie S. Teresa, oboje neofici), Zygmunt Serafinowicz, brat Lechonia, Witold Świątkowski i inni, których nie pamiętam; pracowali w szkolnictwie i warsztatach, jako nauczyciele i wychowawcy, instruktorzy i pielęgniarze, w gospodarstwie, administracji, bibliotece. Jednocześnie Towarzystwo prowadziło tzw. opiekę otwartą nad dorosłymi niewidomymi w placówkach patronatów w Warszawie, Wilnie, Poznaniu, Chorzowie i Krakowie.

Z biegiem lat Laski stały się międzynarodowym ośrodkiem światłego katolicyzmu.

Dzięki zasługom i rozległym stosunkom założycieli Zakładu, dzięki przykładowo nowoczesnym metodom szkolenia niewidomych, jak również jego franciszkańskiej gościnności odwiedzają Laski najwybitniejsze postacie Kościoła Zachodniego ostatnich czasów, jak ks. Journet, dziś kardynał, wielki przyjaciel Polski, znakomity filozof, tomista, Jacques Maritain, O. Voillaume, założyciel Zakonu Małych Braci Charles de Foucault, O. Perrin, niewidomy dominikanin, O. Lœuv, twórca nowej „Szkoły Wiary” we Fryburgu, O. franciszkanin Six, jeden z najwybitniejszych działaczy, pośród niewierzących i inni: pracownicy społeczni, nauczyciele, młodzież katolicka.

Szczególną atmosferą swobody i pogody odznaczały się niedziele w Laskach. Mnóstwo osób zjeżdżało z Warszawy i okolic do kaplicy w sosnowym lasku, odwiedzając tu znajomych, krewnych, bliskich, zawsze najserdeczniej przyjmowani. Nowi goście zapoznawali się z celami Towarzystwa, jego organizacją, trybem prac, mogli oglądać wyroby niewidomych, zespoły pomocy naukowych, plany i mapy wypukłych, przyrządów pomiarowych, oraz mnóstwo najróżniejszych eksponatów przyrodniczych.

Antoni Marylski, niegdyś porywczy i samowolny, pracą i wyrzeczeniem, wyrobił swój dar naczelny — rozum serca.

Nie było człowieka, z którym nie umiałyby się porozumieć, niezależnie od narodowości, wyznania, przekonań, stanowiska społecznego. Jego spojrzenie, uśmiech, uścisk dłoni zdobywały sympatie, rozbrajały uprzedzenia. Umiał dyplomatyżować, odczekać, przeczekać, ustąpić — by wreszcie cel osiągnąć.



Z wybuchem drugiej wojny światowej na Laski spadły pierwsze bomby z walk lotniczych nad Warszawą, a na terenie Lasek rozegrała się kilkodniowa (17-21 września) bitwa na przedpolu oblężonej stolicy z cofającym się spod Kutna wojskiem. Zwłoki poległych, chowane na terenie Lasek, ekshumowano dopiero

wiosną 1940 roku. Niemcy zabrali wtedy swoich poległych, a po drugiej stronie szosy, pod wysokim krzyżem, skutym z żelaznych prętów, złożono dwustu kilkudziesięciu polskich żołnierzy, w kilku szeregach, przeważnie bezimiennych mogiłek, prędko zarosłych dziewanną i polnym zieleń — żołnierzy „poległych w obronie ojczyzny” — imienia Polski na tablicy pod krzyżem wymienić nie dozwolono.

W ciągu groźnych lat okupacji Antoni Marylski, jako kierownik Zakładu odpowiedzialny za jego byt i istnienie, opiekun bezbronnych niewidomych, był ponadto czynnym działaczem ruchu podziemnego, jako członek A.K., z ugrupowania Kampinos. W latach, kiedy jedno słowo nieopatrnie groziło śmiercią i znieszczeniem dzieła, Marylski ratuje zagrożonych, ukrywa ściganych Żydów, nawiązuje kontakty z partyzantką w puszczy, służy radą i wszelką możliwą pomocą. Zagrożony, poszukiwany przez Gestapo, musi się ukrywać, unika aresztowania i z właściwą mu pogodą i równowagą ducha, wraca do pracy.

Ogólne zniszczenia wojenne budynków i ich wyposażenia wyniosły około 70 % stanu, została również zbombardowana siedziba patronatu w Warszawie.

Po wojnie zabrano się do odbudowy i łatania dziur, borykając się, jak zwykle, z przemożnymi trudnościami finansowymi, mimo to Marylski zdobywa się jeszcze na założenie nowych placówek wolno-kolonijnych we wsiach podwarszawskich: Sobieszowie i Pieścidłach.

Do powojennej odbudowy Lasek przyczyniły się w dużej mierze instytucje zagraniczne jak U.N.R.R.A., CARE, United Church Service, YMCA, Don Suisse, Czerwony Krzyż, Kongres Kanaadyjski, American Foundation for Overseas Blind itd. Wszędzie po świecie znaleźli się przyjaciele i sympatycy Instytucji.

Dzięki tym organizacjom Zakład został zaopatrzony w samochody ciężarowe, meble, odzież, żywność, pomoce szkolne, nawet krowy i konie; powstawały wciąż coraz nowe działy szkolenia, przedszkole oraz internat dla dzieci niewidomych i, ponadto, umysłowo upośledzonych, rosły warsztaty szrotkarskie, dzieliarskie, tkackie, garncarskie, tokarskie, obróbki metali i drzewa.

Z nastaniem nowej władzy w Polsce większość zgromadzeń zakonnych wywłaszczono i rozproszono. Ten sam los groził SS. Franciszkanom w Laskach. Ale kierownik Zarządu, który umiał rozmawiać z Niemcami, i niekiedy nawet ich rozbrajać, umiał też parlamentować z władzami PRL. Zastąpić świeckimi pracownikami siostry Franciszkanek, zlecić urzędnikom opiekę nad dzieckiem niewidomym, częstokroć upośledzonym jeszcze

dodatkowym kalectwem — okazało się niepodobieństwem. Brązowe habity, sznurem przepasane, pozostały. Wydatna pomoc amerykańskiej Fundacji for Overseas Blind pozwoliła zagospodarować się od nowa i dźwignąć pracę niemal od początku.

Zakład kształci obecnie i wychowuje 334 dzieci niewidomych, od lat 3 do 18. Prowadzi przedszkole, szkołę podstawową, trzyletnią szkołę zawodową, oraz jedyną w Polsce ośmioletnią szkołę dla dzieci niewidomych i debilnych. Dzieci, mieszkające na terenie Zakładu, mają zapewnioną opiekę lekarską, dzięki trzem lekarzom i dziesięciu pielęgniarkom.

W lutym 1971 roku Antoni Marylski, w siedemdziesiątym szóstym roku życia, otrzymał święcenia kapłańskie. Zmarł dwa lata później, po zawale sercowym. Nabożeństwo żałobne odprawił ks. Prymas Wyszyński i odprowadził zwłoki przyjaciela na Zakładowy cmentarzyk, gdzie spoczęły przy mogile Matki Czackiej i ks. Kornilowicza.

Ogromne mnóstwo ludzi zjechało się na te żałobne obrzędy z Warszawy i całej Polski, w dzień kwitnący, wiosenny. W kondukcje szły dzieci niewidome, od najmłodszych, te, co dobrze znały głos i ojcowską rękę pana Marylskiego, siostry i księża i całe rodziny przyjaciół, żegnające swego dobrodzieja, byli tu starzy chłopcy ze wsi Laski, co pamiętali Marylskiego, jak przychodził z Warszawy na piechotę, pół wieku temu, jak mu pomagali zwozić budulec, stawiać pierwsze mury, nocując w opuszczonej chacie, i była biedota wiejska, o której nigdy nie zapominał, dawni partyzanci „Kampinosu”, socjaliści i komuniści, były nawet oficjalne przedstawicielstwa ambasad.

Synowie rodzin podopiecznych i robotnicy zakładowi dźwignęli trumnę i zanieśli na ramionach aż na cmentarz.

Ze śmiercią ks. Antoniego Marylskiego została odwrócona pierwsza, szczerze zapisana, najważniejsza karta historii Lasek, domu niewidomych, Zakładu dla Ociemniałych.

Maria CZAPSKA

Major Tadeusz Nowacki

11 grudnia 1973 zmarł nagle na zawał serca w stolicy Nowej Zelandii mjr. Tadeusz Nowacki, znany dobrze czytelnikom *Kultury i Zeszytów Historycznych*. Przeżył lat sześćdziesiąt dziewięć.

Podczas pierwszej wojny światowej przebywał z rodzicami w Rosji, oglądał rewolucję oczami trzynastoletniego chłopca. Rodzice chcieli by został inżynierem, ciągnęło go jednak lotnictwo. Ukończył Szkołę Podchorążych w Dęblinie. Służył w Pierwszym Pułku Lotniczym w Warszawie do roku 1939. W kampanii wrześniowej dowodził przez pewien czas jednostką rozpoznawczą, kiedy zaś zabrakło samolotów, bił się z karabinem w rękę jako zwykły żołnierz. Wzięty do niewoli, przeszedł przez następujące obozy jenieckie: Prenzlau, Neubrandenburg, Grossborn. Był człowiekiem szlachetnym, delikatnym w stosunkach z ludźmi i nadzwyczaj skromnym. Historią, szczególnie historią wojskowości, interesował się jeszcze przed wojną: widywano go często, w mundurze oficera służby stałej lotnictwa, w warszawskich bibliotekach i antykwariatach. W Nowej Zelandii pracował fizycznie, w wolnych chwilach czytał i pisał, dał się również poznać jako prelegent w stowarzyszeniach polskich. Nie stronił od najbliższych przyjaciół, był jednak z usposobienia raczej samotnikiem i prowadził surowy, niemal pustelniczy tryb życia. Zgromadził duży jak na warunki emigracyjne księgozbiór (dwa tysiące dwieście tomów, przeważnie z zakresu wojskowości), w testamentcie zapisał go Instytutowi Literackiemu w Paryżu.

Pogrzeb odbył się w Wellingtonie 14 grudnia, przemówienie nad grobem wygłosił ppłk dypl. Zygmunt Węgorek. Warto przytoczyć jeden wzruszający fragment tego przemówienia: „W Nowej Zelandii, jak wszędzie na emigracji, my byli żołnierze nie byliśmy już w służbie wojskowej polskiej. Nowacki głęboko to przeżywał. Wielki patriota, zamknął się w sobie i odciął od ludzi. Nigdy nie przeboleał utraty munduru... W nowej sytuacji nie miało dlań wielkiego znaczenia co robi, chodziło tylko o zapewnienie sobie znośnych warunków egzystencji. Odsunięty przez los od Polski i od lotnictwa, tym żarliwiej poświęcił się swemu drugiemu umiłowaniu: studiom wojskowo-historycznym... Przemyslenia swoje rzadko, ale czasem ze mną omawiał. Kiedyś, w roku 1961, opracował ciekawą tezę: Czy mogliśmy uniknąć klęski wrześniowej? Opracowanie to wydało mi się tak interesujące, że przedstawiłem listownie mjr. Nowackiego i jego elaborat Jerzemu Giedroyciowi, redaktorowi *Kultury* w Paryżu. Sukces był natychmiastowy. Wiedzę i zdolności Nowackiego w pełni tam wykorzystano, a on uzyskał platformę publicystyczną o szerokim zasięgu. Poprawiło się jego samopoczucie, jakby odżył i nabrał do siebie zaufania”.

Redaktor *Kultury* i *Zeszytów Historycznych* traci w majorze Tadeuszu Nowackim cennego i niezastąpionego współpracownika.

Sprawy (nie tylko) wydawnicze

Fikcja i rzeczywistość w prawie autorskim

Uważni obserwatorzy nagonki prasy ZSSR na Sołżenicyna po opublikowaniu w Paryżu „Archipelagu GUŁag” podkreślają swoisty charakter tej kampanii. Jest ona, moim zdaniem, obliczona wyłącznie na użytek wewnętrzny. Wytrawni specjaliści w sposób starannie przemyślany dzielą role, dawkują kalumnie i oszczerstwa. W wypowiedziach i artykułach bardziej oficjalnych unika się pogroźek, nie wspomina o możliwości ukarania pisarza (audycja w telewizji moskiewskiej: „on by pewnie nawet chciał zostać męczennikiem, ale nic z tego”).

Brudną robotę tym razem prasa stara się wykonać cudzymi rękami. Anonimowi „czytelnicy” dają wyraz swojemu oburzeniu w najgorszych wyrazach, ale sekretarz Związku Pisarzy wątpi tylko w wartość literacką dzieł pisarza: „Sołżenicyn wie doskonale, że jego tzw. książki tak długo tylko znajdują na Zachodzie wydawców, jak długo pozostaje on na terenie ZSSR”.

Wiarygodność „informacji” o Sołżenicynie i o treści „Archipelagu GUŁag” prasa usiłuje potwierdzić cytując obficie zagraniczne źródła. „Polityka” zwraca uwagę na źródła informacji TASS, inicjującej kampanię przeciwko pisarzowi: niemal bez własnego komentarza cytuje TASS z „Rudego Prava” artykuł korespondenta tego pisma w... USA. Ze szczególną pilnością przedrukowuje się w prasie sowieckiej każdą krytyczną wypowiedź o dysydentach rosyjskich.

Czyni to również Wilhelmi — całe stronicę jego artykułu w „Nowych Drogach” (nr 11/1973) zajmują wypowiedzi Sebastiana Haffnera, cytowane ze „Sterna” Chwałac Haffnera, Wilhelmi cynicznie — w związku z opublikowaniem „Archipelagu GUŁag” — w następujący sposób krytykuje intelektualistów Zachodu: „Szanować styl życia w socjalizmie przyjęty, suwerenność jego typu kultury, suwerenność jego systemu politycznego i metod kontroli społecznej — nie, tego dotychczas nikt tam nie przestrzegal”.

Wilhelmi woli nie formułować własnych sądów o dysydentach (kto w Polsce wierzy Wilhelmiemu?), a czytelnikowi prezentować jako świadka oskarżenia zachodniego publicystę. A należy Haffner do tych, nielicznych, na szczęście, „izolacjonistów”, którzy apelują do rosyjskich dysydentów, by nie niepokoili Zachodu swoimi wypowiedziami. Niech nareszcie przestaną apelować o pomoc do ludzi nauki i sztuki.

Haffner wysuwa dwa argumenty: pierwszy z nich współgra z tezą Wilhelmi o „szanowaniu” i „suwerenności” — największe zagrożenie ludzkości to wojna atomowa, więc nie zawracajmy sobie głowy wewnętrznymi sprawami ZSSR. Ale drugi argument Haffnera świadczy o tym, że nawet on nie ma bynajmniej zamiaru „szanować” tak brutalnie przez Sołżenicyna udokumentowanego stylu życia w ZSSR, jego typu kultury, jego systemu politycznego i metod kontroli społecznej. Czytamy bowiem u Wilhelmi (że też cenzura tego nie dopatrzyła!), że Haffner zaleca dysydentom spokój i milczenie, gdyż „ZSSR nie jest przygotowany na taką zmianę” (na demokratyzację stosunków wewnętrznych, zapewnienie „wolności myśli”).

Kiepski więc świadek z Haffnera. Wylazł z niego „liberał”, który nie przeczy faktom, ale woli, by o nich dla świętego spokoju nie mówiono zbyt głośno, w imię odprężenia i współpracy międzynarodowej.

Sprawy się jednak mają wręcz przeciwnie. Nic tak nie służy zbliżeniu między narodami, jak zwalczanie kłamstwa i zatajania prawdy. Długie dziesięciolecia żyłem w atmosferze przemilczania każdej prawdy, niekorzystnej dla własnego obozu; każdy zarzut uczyliśmy się odpierać kontratakami na imperializm. Od lat co najmniej dwudziestu wiem już, że linia podziału przebiega między dobrem i złem, między krzywdą i sprawiedliwością, prawem i bezprawiem. Socjalista nie może „szanować” ograniczeń wolności w żadnym państwie policyjnym na Wschodzie czy na Zachodzie, w żadnym państwie w ogóle.

W naszej rubryce wypada nam na przykład rozważyć spokojnie „wolność myśli” w ZSSR w dziedzinie chronionej przez prawo autorskie. Jest po temu okazja, bo 27 grudnia ub.r. ukazało się ostatnie zarządzenie wykonawcze, przewidziane w dekreście z lutego 1973 o przystosowaniu prawa autorskiego ZSSR do przepisów Konwencji Genewskiej z roku 1952. Przedstawiam Czytelnikowi możliwie najprościej dziewięć podstawowych problemów tego prawa.

1. *Definicja oficjalna* — „najpełniejsza na świecie ochrona praw autorskich”. Sięgamy do pierwszego tomu nowego wydania Wielkiej Encyklopedii ZSSR. Znajdujemy tu (szp. 478) wyliczenie wszystkich dobrodziejstw prawa autorskiego w ZSSR. Autor decyduje o wszystkim: nie wolno niczego drukować ani zmieniać bez jego zgody, nie wolno pominąć jego nazwiska lub pseudonimu, ma on prawo do wynagrodzenia, ochrony przed plagiatem itd., itp. Nawet prawo przekładu dzieła bez zgody autora (w międzyczasie, w roku 1973 z tym samym uzasadnieniem uchylone

stawi encyklopedia jako troskę o „rozszerzenie wymiany kulturalnej między narodami ZSSR”. Natomiast w krajach kapitalistycznych — zdaniem Encyklopedii — podstawową funkcją prawa autorskiego jest ustanowienie monopolu na sprzedaż dzieła autora jako towaru. Autor z reguły przekazuje całość swoich praw do dzieła monopolistycznemu przedsiębiorstwu. W krajach kapitalistycznych uważa się prawa majątkowe autora za drugorzędne (na przykład w Stanach Zjednoczonych AP wolno bez zgody autora wprowadzać dowolne zmiany do jego dzieła [!? — AB]).

Tyle encyklopedia. I tu dygresja: I takie bzdury będzie można czytać w londyńskiej edycji tej encyklopedii! Mam przed sobą prospekt Macmillana — wydawca zapewnia, że każdy tom angielskiego przekładu będzie ściśle odpowiadał rosyjskiemu tekstowi z zachowaniem kolejności haseł. Każdy artykuł będzie w Moskwie akceptowany. Nie znam warunków finansowych umowy, ale tym razem ZSSR może „kapitalistycznemu monopolistycznemu” bez strat odstąpić prawa do tego przekładu na wieczne czasy bez dodatkowego wynagrodzenia: mimo rozgłosu drugiego wydania nie będzie.

2. *Prawo druku*. To konstytucyjne prawo może autor w ZSSR realizować bez przeszkód, ale tylko „w sposób prawnie dozwolony”. Prawnie dozwolone drogi do drukarni wiodą jednak jedynie przez państwowego wydawcę i cenzurę prewencyjną.

Mimo że prawo druku w krajach demokratycznych Zachodu nie zna podobnych ograniczeń, istnieją inne, które budzą krytykę i niepokój lewicy. Jeśli dzieło nie znajduje wydawcy, druk własnym nakładem jest kosztowny, sprzedaż książki uzależniona od kosztownej reklamy itp. Ostatnio program lewicy w tej dziedzinie przedstawiła socjaldemokracja szwedzka. Jej projekt reformy ruchu wydawniczego (ze stycznia 1974) przewiduje m.in. ograniczenie rozmiarów koncernów wydawniczych oraz dotowanie i kredyty bankowe nie tylko dla małych przedsiębiorstw wydawniczych, ale również dla autorów, którzy zdecydują się na wydanie książki własnym nakładem. Realizacja tego projektu napotka oczywiście na ogromne trudności: jak usunąć z ogonka do kasy państwowej grafomanów, kto i jak potrafi bezstronnie pozbawić zasiłku „tworzy wychowawczo szkodliwe” itp. Ale kierunek poszukiwań lewicy jest jednoznaczny.

Program polskiego października, praskiej wiosny, eksperymentów w Jugosławii wskazuje na pewne możliwości rozszerzenia prawa druku w tych krajach. Postulowano realizację pięciopunktowej Karty wydawcy: zniesienie cenzury prewencyjnej, decentralizacja, szerokie uprawnienia wydawnictw, konkurujące ze sobą redakcje w każdej grupie tematycznej, uprawnienie związków twórczych oraz organizacji społecznych do wydawania książek.

W ZSSR autor jest z reguły zdany na jedno monopolistyczne wydawnictwo o niemal niekontrolowanym prawie wyrokowania o losach książki. Tu anegdota (prawdziwa). W jednej z licznych

ostatnio ankiet czytelnicy w ZSSR zwrócono się m.in. do kilku tysięcy uczniów z prośbą o wskazanie jaką przeczytaną książkę uważają za najlepszą i jaką za najgorszą oraz o uzasadnienie tej oceny. Najlepsze wskazał prawie wszyscy, najgorszej — żaden z ankietowanych uczniów. Jedna trzecia badanych uzasadniła brak odpowiedzi na to ostatnie pytanie... zaufaniem do wydawców: złych książek nie ma, ONI by ich nie wydali („raz izdali, znaczyt' choroszaja"). Nawet autorzy opracowania nieufnie odnieśli się do tej pochwały wydawców, chociaż wniosku końcowego nie wyciągnęli. Tego mianowicie, że nawet uczeń rozumie istotę podziału na „my” i „ONI” i wie, że IM się lepiej nie narażać.

3. *Prawo do nienaruszalności tekstu* jest w ZSSR jednoznacznie zawarowane. Jak zawsze w stosunkach między autorem i wydawcą decyduje jednak faktyczny układ sił. W ZSSR przewaga jest po stronie wydawcy, stopień uzależnienia autora od arbitralnych z reguły decyzji redaktora — na Zachodzie niespotykany. W oficjalnych dokumentach określa się redaktora jako „współtwórcę”, odpowiedzialnego przed partią (mówi się: „przed czytelnikiem”) za każde wydrukowane słowo. Przyszłych redaktorów uczy się „odwagi” wobec autora, ścisłego przestrzegania zasad aktualnej polityki kulturalnej. Biada redaktorowi, który „przepuści” coś w tekście; on głównie podlega nadzorowi cenzury, on właśnie — redaktor książki, a nie autor — odpowiada dyscyplinarnie za każde ujawnione przez cenzora potknięcie polityczne.

Redaktor w ZSSR występuje zatem wobec autora „z pozycji siły”. Zmiany, których zażąda, autor przyjmuje z reguły bez oporu. Konflikt z redaktorem monopolistycznego przedsiębiorstwa wydawniczego może spowodować katastrofę; autor zabiega o życzliwość redaktora, rzadko odwołuje się od decyzji redaktora do przełożonych — jest to z reguły bezskuteczne, a często zamyka drogę do dalszej współpracy.

Dwie diametralnie różne definicje prawa do nienaruszalności tekstu: pierwsza — umownie „dogmatyczna” — „obowiązek wydawcy uzyskania zgody autora na dokonane zmiany”; druga — „liberalna” — „prawo wydawcy zaproponowania autorowi, by ON wprowadził zmiany”. Prawo do nienaruszalności tekstu może autor realizować jedynie wtedy, kiedy przewaga jest po jego stronie, kiedy wydawcy zabiegają o wydanie jego dzieła i autor ma ich wielu do wyboru.

Prawo do nienaruszalności tekstu jest w ZSSR jeszcze pod jednym względem dotkliwie ograniczone: jeśli autor zgodził się na coś, to już nigdy zgody tej cofnąć nie może. Ustawodawstwo innych krajów (również Polski) przyznaje autorowi prawo do „rozmyślenia się”, do zmiany zdania, nawet do cofnięcia zgody na publikację książki w każdym stadium prac nad jej wydaniem.

4. *Prawo do wynagrodzenia* jest — trzeba to przyznać — w ZSSR ściśle przestrzegane. System wynagrodzeń autorskich jest jednak całkowicie odmienny od zachodniego. Stosunkowo

wysokie wynagrodzenie jednorazowe wypłacane jest przy pierwszym wydaniu, a przy dalszych zredukowane jest do 1/3, a niekiedy do symbolicznych 10%. Na Zachodzie — przeciwnie — honorarium zwiększa się przy następnych wydaniach. Wypłacane w miarę sprzedaży w procentach od ceny katalogowej, osiąga dopiero przy wznowieniach znaczne kwoty.

Mimo stosowania ryczałtowego systemu honorariów, Polska płaci autorom zagranicznym honoraria procentowe (ok. 5% od ceny katalogowej). ZSSR natomiast płacił dotychczas autorom zagranicznym tak jak krajowym i zamierza przy tym systemie pozostać. Jest on dla autorów książek o małych nakładach i o dużej objętości korzystny, natomiast dla autorów poczytnych — krzywdzący. H. Böll na przykład otrzymał w przeliczeniu procentowym zaledwie ok. 1% ceny katalogowej jego książek, sprzedanych w ZSSR.

5. *Podatki* obciążają w ZSSR honoraria krajowe w stopniu minimalnym. Wynoszą one przy najwyższych nawet dochodach z tego tytułu mniej niż 10%. Natomiast przy zagranicznych honorariach autorów krajowych i honorariach przekazywanych za granicę podatek wynosi od 30-70%. ZSSR stosuje przy tym nieznanne na Zachodzie dodatkowe obciążanie podatkowe honorariów, wypłacanych nie autorowi bezpośrednio, ale jego spadkobiercom lub innym posiadaczom jego praw. W tych wypadkach podatek wynosi 60% od najniższego nawet honorarium.

Sytuację łagodzi przepis, wyrażający gotowość ZSSR zawarcia z każdym krajem porozumienia w sprawie jednakowego opodatkowania, albo nawet zwolnienia od podatku od honorariów autorskich obywateli obu państw.

7. *Prawo swobodnego przedruku* i wykorzystania opublikowanego dzieła w prasie, radio i telewizji jest w ZSSR wyjątkowo rozszerzone. Zastosowanie tych przepisów do dzieł autorów zagranicznych wywołuje wiele nieporozumień i dyskusji. Rosyjscy prawnicy usiłują uzasadnić na przykład prawo radia i telewizji do swobodnego odtwarzania nie tylko dzieł autorów zagranicznych, wydanych w ZSSR w przekładzie, ale również wydanych jedynie za granicą.

Drugi przykład: przed rokiem ukazał się osławiony przepis o swobodnym „reprodukowaniu dzieł w celach naukowych i oświatowych”; prawnicy usiłują sprowadzić go wyłącznie do uprawnień... bibliotek do sporządzania fotokopii w jednym egzemplarzu i to tylko fragmentów dzieł lub artykułów. Nasuwa się tu pytanie dlaczego dla tak drobnego stosunkowo i znanego na całym świecie uprawnień bibliotek naukowych użyto sformułowania tak nieprecyzyjnego o prawie do reprodukcji dzieł w ogóle. Odpowiedź jest prosta: w ZSSR kwitnie do dziś, w nieznanym nigdzie na świecie rozmiarach, proceder korsarskiego przedruku dzieł i czasopism zagranicznych. W sposób scentralizowany przyjmuje się w Moskwie „prenumeratę” na przedruki ponad 500 zagranicznych czasopism naukowych, głównie amerykańskich, i drukuje się całe numery *cover-to-cover*

w nakładzie sięgającym 1.500 i więcej egzemplarzy. O rozmiarach tej akcji nikt na Zachodzie nie miał nawet wyobrażenia; w październiku 1973 ZSSR sam wystąpił do wszystkich zainteresowanych państw z propozycją... zalegalizowania tego „wydawania” cudzych dzieł. Wybuchł skandal, tylko Francuzi zgodzili się podpisać umowę licencyjną na jeden rok za symboliczną opłatą. Inne kraje pertraktują chyba do dzisiaj, obstając przy zaniechaniu przedruku, wypłacie pełnego odszkodowania i prenumowaniu czasopism w normalnym trybie.

8. *Ograniczenie ochrony autorów zagranicznych* do dzieł wydanych w oryginale po 27 maja 1973 i to w powołaniu na Konwencję Genewską stanowi również kiepski wynalazek prawników rosyjskich. Dopiero ich uczone komentarze ujawniły niezwykłą konstrukcję prawną, której nie domyślił się żaden chyba specjalista na Zachodzie: ZSSR wprowadził to ograniczenie w powołaniu na Art. VII Konwencji. Stanowi on, że przepisy Konwencji nie dotyczą oczywiście dzieł z jakichś przyczyn niechronionych („are permanently in the public domain”). Ponieważ przed 27 maja 1973 żadne dzieło wydane za granicą nie było w ZSSR chronione — na przykład „Dzienniki” Gombrowicza — ergo „stanowiło własność publiczną” w dniu wejścia w życie Konwencji. Można więc je swobodnie wydawać na terenie ZSSR, tłumaczyć i masakrować nikogo o zgodę nie pytając. I tak ma być z całym dorobkiem literatury i nauki światowej sprzed połowy 1973 roku po wsze czasy! Takiego przepisu i takiej dowolnej interpretacji nie zna — jak sądzić — ustawodawstwo żadnego innego kraju.

9. *Rozszerzenie zagranicznej „ochrony” autorów sowieckich* na ich dzieła wydane jedynie za granicą stanowi również *curiosum* w skali światowej. Naruszając powszechnie uznany przepis, że dzieło korzysta z ochrony w tym kraju, w którym zostało po raz pierwszy opublikowane (a nie w kraju w którym zostało napisane) — prawnicy sowieccy uznali za możliwe potraktowanie dzieła w maszynopisie jako towaru, którego wywóz narusza zasady MONOPOLU HANDLU ZAGRANICZNEGO w ZSSR.

Obywatel ZSSR nie ma prawa wywozu towarów za granicę i podpisywania za granicą umów na ich sprzedaż bez pośrednictwa właściwej dla danej grupy towarów centrali handlu zagranicznego. Rząd ZSSR postanowił zatem w ostatnich dniach 1973 roku, że dla grupy towarów „Dzieła autorów — obywateli ZSSR” właściwą „CHZ” jest WAAP (*Wsesojuznaja agencja awtorskich praw*). Uzyskała ona uprawnienia centrali handlu zagranicznego i bez jej pośrednictwa wszelkie kontakty autorów — obywateli ZSSR z zagranicą są zakazane, a umowy zawarte z wydawcą zagranicznym — nieważne.

Spróbujmy na chwilę przyjąć tę fikcyjną definicję dzieł i praw autorskich jako „towaru”, a przekonamy się, że mimo tego cała ta konstrukcja pozostanie fikcją prawną, nie wytrzymałą krytyki. WAAP bowiem, mimo uzyskanych uprawnień, pozostaje wśród central handlu zagranicznego ZSSR odmieniec do innych

zgoła niepodobnym. Inne centrale realizują swój monopol eksportu w ten sposób, że *zakupują* zawsze towary u krajowego producenta i już jako ich właściciele sprzedają je za granicę.

Inaczej z WAAP'em i autorami. Nawet w ZSSR nie odmawia się im prawa własności do ich dzieła; za granicą autor również pozostaje jedynym, prawnym dysponentem swojej książki, czy maszynopisu. Przepisy jednak nakazują mu korzystanie ze swojego prawa własności do dzieła jedynie za pośrednictwem jakiegś tam WAAP i grożą czym tylko mogą za zbrodnię podpisywania czegokolwiek za granicą bez patronatu państwa. Słuszne czy niesłuszne — ale są to prawomocne postanowienia rządu, kwalifikującego na podstawie ustawodawstwa ZSSR postępowanie obywatela tego państwa jako karalne.

Ale tylko prawem kaduka może rząd ZSSR uznać za nieważną umowę z wydawcą zagranicznym, podpisaną przez bezspornego posiadacza praw autorskich. I jakże można sobie wyobrazić, że ta decyzja rządu ZSSR ma jakikolwiek wpływ na ważność umowy z zagranicznym wydawcą, wobec zagranicznego sądu?

Jeśli więc jakiś przedstawiciel WAAP wystąpi do sądu w Paryżu z żądaniem konfiskaty „Archipelagu GUŁag”, sąd zażąda dowodu, że jest on do tego upoważniony. Uwierzytelniony odpis uchwały rządu ZSSR o uprawnieniach centrali handlu zagranicznego dla WAAP i nieważności umów podpisanych bez jej udziału wzbudzi tylko zgorszenie na sali. Sąd postawi sobie jedynie nietrudne zadanie rozstrzygnięcia, czy autorem „Archipelagu GUŁag” jest Sołżenicyn, czy też WAAP'owiec — i skargę oddali, choćby rzeczony WAAP'owiec przedstawił pięć dalszych uchwał rządu ZSSR, zakazujących Sołżenicynowi podpisywania czegokolwiek w kraju, czy za granicą. Nikogo bowiem na Zachodzie nie zwiedzie powoływanie się ZSSR na Konwencję Genewską. Znaczenie mają nie te czy inne interpretacje przepisów Konwencji Ochrony Praw Autorskich, wykorzystane dla ograniczenia „wolności myśli”, ale zobowiązania ZSSR przestrzegania jej generalnej zasady — usuwania wszelkich przeszkód w swobodnym przepływie informacji i w rozpowszechnianiu dzieł literackich i naukowych.

Adam BROMBERG

Uppsala, 1 lutego 1974

Krajowe nowości wydawnicze

Opracowała Maria Danilewicz Zielińska na podstawie nowych nabytków Biblioteki Polskiej w Londynie i książek nadesłanych autorce do recenzji (adres: Quinta das Romãzeiras, Feijó, Portugal).

Socjologia

7. OSSOWSKA, Maria: *Ethos rycerski i jego odmiany*. Warszawa, 1973, Państwowe Wydawnictwo Naukowe, 8°, str. 223, ilustr. motywami z tkaniny z Bayeux.

Rycerskość, jako styl życia, jest jednym z ciekawszych zagadnień socjologii kultury i dobrze się stało, że prof. Maria Ossowska zajęła się rzeczowym oświetleniem tego zjawiska na szerokim tle historycznym. U podstaw stoi wzór osobowy pojmowany jako „coś, co staramy się osiągnąć”, „przedmiot czyichś aspiracji”. Naśladujący go „kierują się przekonaniem o jakiejś dodatniej wartości osoby naśladowanej”.

Prof. Ossowska ukazuje kolejno *ethos* elity rycerskiej w starożytnej Grecji, u Germanów, w średniowiecznej Europie i na renesansowych dworach. Grecy wytworzyli pojęcie „*megalopsychos*” = „śluszenie dumnego”; był nim „człowiek, który znalazł właściwą miarę między przesadną skromnością a zarumiałością”; największym jego dobrem była jego „cześć”. Ideał rycerza zarysował się wyraźnie w średniowieczu: musiał być dobrze urodzony; — powinien promieniować urodą i wdziękiem, podkreślonymi wspaniałością stroju; — musiał być silny, dzielny i chciwy sławy, wierny zobowiązaniom. W życiu erotycznym obowiązywał go niezmiernie skomplikowany kodeks moralności: *chansons de geste* są w gruncie rzeczy niezmiernie urozmaiconymi kronikami wiarołomstwa. Rycerz był bohaterem walk, — często indywidualnym, co tak wyraźne odbicie znalazło w „Trylogii” i „Popiołach”. Odwaga „służyła obronie własnego istnienia, ale służyła także obronie honoru”, przy czym w kodeksie rycerskim średniowiecza „zalecało się raczej umrzeć, niż dopuścić do poniżenia”. Kodeks ten przetrwał do naszych czasów, — wskazań jego dopatruje się autorka np. u Conrada, a nawet u Bertranda Russell'a, który — jak pisze — w swojej autobiografii „zgłasza najgłębszy akces do staroświeckich wartości, których Conrad bronił”.

Do scharakteryzowaniu „rycerza w roli dworzanina” Ossowska analizuje pojęcie *gentleman'a*, cytując na wstępie A. Maurois, który napisał, iż „*gentleman*, prawdziwy *gentleman* — to najsympatyczniejszy typ w ewolucji ssaków”. Francuskim *gentilhomme* i angielskiemu *gentleman'owi* dodaje wreszcie do towarzystwa „prawdziwego *gentleman'a*” amerykańskiego, którego popularnym wcieleniem jest Ashley Wilkie z „Przemiętło z wiatrem” — oraz pozytywni bohaterowie *Westernów*.

Autorka dotyka tylko marginesowo pojęcia rycerskości u Polaków — pokrywa się ono zasadniczo ze schematem wspólnym Europie Zachodniej. Kończy książkę — raczej niespodzianie — dłuższą cytata z wiersza Wieniawy („Śmierci się nie boję — bo mi śmierć nie dziwna”; „A stchórczy raz — przed Bogiem — to przecież nie wstyd” etc.) i deklaracją: „O tym, że drogę sercu Wieniawy były jeszcze inne wartości niż te, które w wierszu deklarował, świadczy jego śmierć samobójcza w Nowym Jorku w 1942 roku”. (*Nota-bene* wiersz Wieniawy cytowany jest na podstawie „Zielonych oczu” Stanisława Mackiewicza).

Książki

Książka o Józefie Czapskim

W kwietniu bież. roku, w lozańskim wydawnictwie *L'Age d'Homme*, ukaże się książka Murielle Werner-Gagnebin, asystentki wydziału literatury na uniwersytecie genewskim pt.: „Czapski — la main et l'espace”. Zamieszczamy poniżej wprowadzenie autorki:

Książka ta, składająca się z 5 rozdziałów i opatrzona wieloma barwnymi i czarno-białymi ilustracjami uwzględnia szczególnie tę stronę twórczości malarza, którą autorka nazywa „teatrem codzienności”: stacje metra, kawiarnie, kina. Główną cechą charakterystyczną tego malarstwa upatruje autorka w specyficznym dla Czapskiego urywaniu formy, obramowaniu postaci, użyciu synkopy jako zasady architektonicznej. Skądinąd zaznacza się tu w sposób bardzo subtelny tematyka egzystencjalna, podkreślona pustką spojrzeń, nachyleniem postaci, ich hieratycznością. Poszukiwanie samego siebie i poszukiwanie Bytu są tu o ile nie tożsame, to co najmniej równoległe.

W toku swej analizy — skierowanej przede wszystkim na rozstrzygnięcie zagadnień ekspresji przestrzennej — autorka dociera do źródeł sztuki Czapskiego. Czapski należy do tradycji malarzkiej, która zawsze wystrzegała się poświęcania sztuki na rzecz anegdoty; reprezentują ją Goya, Daumier, Toulouse-Lautrec. Autorka zajmuje się jednak głównie techniką obramowywania (*cadrage*) przedmiotu, tak istotną u Czapskiego. Osobny rozdział został poświęcony temu zagadnieniu, które rozważa się najpierw ogólnie, przy użyciu przykładów zaczerpniętych z filmu, reklamy i malarstwa, a następnie w odniesieniu do dzieł Czapskiego. Czapski zostaje więc zestawiony z Degas'em, Bonnard'em, Eisensteinem, Romanem Cieślewiczem, itd.

Książkę zamyka analiza rysunków Czapskiego. I tu ich cechą najistotniejszą jest nastawienie na wewnętrzne oddziaływanie zjawisk. Poszukiwanie siebie, główny temat malarstwa Czapskiego, odgrywa niemińszą rolę w jego rysunkach. Równocześnie powstają tu nowe formy.

F i l m

8. WOROSZYLSKI, Wiktor: *Dziesięć lat w kinie*. Felietony filmowe. Warszawa, 1973, Iskry, 8°, str. 222 (2).

Autor sądzi, że owo pokłosie felietonów filmowych z dziesięciolecia układa się w „powieść współczesną” czy też „dziennik reakcji na pewne sygnały”, których podsumowanie prowadzi go do wniosku, że kino utraciło dla niego swą pierwotną „magię”. Co powiedział, jakby przestraszony wyznaniem złe osadzonym pod piórem recenzenta filmowego, zastrzega się, iż jest nadal entuzjastycznym widzem filmów-dzieł sztuki, „filmów autorskich” poszerzających wizję pisarza zgodnie z jego intencjami.

W dorobku pisarskim Woroszylskiego książka ta zajmie miejsce poślednie — jest raczej świadectwem, że w okresach „przebojów” zarabiał godziwie na chleb z masłem, dając czytelnikom „Filmu” oceny trafne choć nie rewelacyjne. Najciekawiej wypadła relacja o współpracy reżyserskiej przy „Pasażerze” Andrzeja Munka, której nakręcanie kończono po tragicznej śmierci reżysera (1961).

Literatura piękna (poezja)

9. CZERNIAWSKI, Adam: *Widok Delft*. Wiersze z lat 1966-1969. Kraków (1973), Wydawnictwo Literackie, 8°, str. 43.

Przedruki 30 wierszy drukowanych poprzednio w pismach emigracyjnych. Po korekcie, bez wiedzy autora, usunięto „Mały kodeks karny” (pierwodruk w *Wiadomościach*, 11. I. 1970) i „Gombrowicza” (pierwodruk: *Oficyna Poetów*, listopad 1969). Pytanie: czy warto w tych warunkach publikować w wydawnictwach krajowych? Przypuszczać należy, że uczucia autora oddaje dobrze powiedzonko: „Po kiego licha ja tę żabę jadłem?”.

Literatura piękna (opowiadania, utwory powieściowe)

10. BARTELSKI, Lesław M.: *Niedziela bez dzwonów*. Opowiadania autentyczne. Łódź, 1973, Wydawnictwo Łódzkie, 8°, str. 263 (3).

Na tom składają się lekko zbeletryzowane wspomnienia z okresu okupacji i Powstania Warszawskiego oraz reportaże z podróży. W dedykowanej prof. Kazimierzowi Wyce „Wyspie kogutów” pojawiają się przejmująco narysowane sylwety poetów Podziemia i doskonały opis spotkania z Krzysztofem Baczyńskim.

W drugiej części tomu, w relacji z Nowogródka („Strzaskany dom”) Bartelski przypomina, iż Euzebiusz Łopaciński skonstatował, iż Mickiewicz miał w rzeczywistości prawo pieczętować się herbem Nałęcz (jak Conrad!) a nie „umitrowanym Porajem”. Bartelski przypuszcza, że Mickiewicz mógł opierać się na Strykowski, który w swej kronice wspomina, „że od Giedroyciów, którzy pochodzą z dawnych książąt litewskich, wywodzą się trzy rodziny: Mickiewiczze, Mackiewiczze i Paszkiewiczze”. Owo pokrewieństwo herbowe z Giedroyciami miało być dla Mickiewicza szczególnie atrakcyjne, co nie powinno dziwić u poety o tak silnie rozwiniętym darze widzenia przyszłości. Mackiewicz, włączony w tę konfigurację herbową, pięknie by tę zbieżność skomentował.

Opowiadanie tytułowe „Niedziela bez dzwonów” jest relacją ze Lwowa, odwiedzonego w towarzystwie Karola Kuryluka, który szukał tam śladów „Sygnałów”. Razem udali się do Zbaraża, gdzie Kuryluk chciał zobaczyć dom rodzinny. Symbolem miasta, do którego dojechali w niedzielę, była „cerkiew zapuszczona i milcząca jak dawno pęknięty dzwon”.

11. DYGAT, Stanisław: *Dworzec w Monachium*. Warszawa, 1973, Państwowy Instytut Wydawniczy, 8°, str. 107 (1).

Nawrót do ulubionego tematu Dygata: bohater Polak z paszportem francuskim, konfrontuje swoją — nieco po gombrowiczowsku pojętą — polskość nad polskościami z otoczeniem francuskim, niemieckim i łasymi na kapitalistyczne uroki sprytnymi rodakami. Fabuła łączy motywy znane z „Jezióra Bodeńskiego” (internowany pseudo-Francuz w tymże obozie nad tymże jeziorem) i „Podróży” (brak wspólnego języka z wynarodowionymi emigrantami). Ale — i to zapisać należy na dobro Dygata — pod Monachium z tytułu powieści można by podstawić Münster czy inne miasto w Niemczech Zachodnich a przelotna wzmianka o „Głosie Ameryki” przechodzi niemal niezauważona. Rzecz zgrabnie napisana, ale w zestawieniu z „Jeziorem Bodeńskim” oznaczająca katastrofalne obniżenie stawianych sobie samemu wy magań artystycznych. Gdyby nie smutnopolskie zarysowanie problemu Polak/Niemiec/Niemka i Polak/Francuska byłaby to książeczka „dochodowa” kwalifikując się na przykład dla Anglosasów jako lektura „wagonowa”, błyskotliwa i lekka. Słowem: ni pies, ni wydra. A szkoda, bo miejscami autor wygrywa zreczenie sytuacji paradoksalne i groteskowo rysuje postać Genia Dudka (alias Eugène'a Doudeque'a) marzącego „żeby być kimś innym”. Mimo przebrania bohatera w mundur szarego człowieka i sporej dawki ironii rzecz przepojona jest poczuciem wyższości nacji polskiej: Dudek, słowiański rzecz przepojona jest poczuciem wyższości nacji polskiej: Dudek, słowiański „nieudacznik”, wie i rozumie więcej i lepiej od „nich” (kim by nie byli) — z tej prostej racji, iż „oni” nie przeżyli tego, co „my”. Jeżeli, jak w „Świecie przetłumaczonym” Iwańskiej „nie ma przyszłości bez przeszłości” — a w dodatku, jeśli charakterek Dudka powieli się w dalszych pokoleniach na prawach dziedziczności — biada nam!

Nadane nowe wydawnicze

Armia Krajowa w dokumentach 1939-1945. Tom II, Czerwiec 1941 — Kwiecień 1943. Str. 554 i 2 nlb. (Wyd. Studium Polski Podziemnej, Londyn 1973).

MAKAREWICZ (Roman). *Wiosna i zima*. Wiersze lwowskie. Str. 47 i 1 nlb. (Wyd. Oficyna Poetów i Malarzy, Londyn, 1972, cena z przesyłką £ 0.55).

ŻYTOMIRSKI (Eugeniusz). *Spo-wiedź*. Str. 186 i 2 nlb. (Wyd. Gryf Publications Ltd., Londyn, 1973).

ŻYTOMIRSKI (Eugeniusz). *Pieśń o Nowym Świecie*. Poemat. Str. 29 i 3 nlb. (Wyd. Gryf Publications, Ltd., Londyn 1972).

De La CHAPELLE (Philippe). *Katolicyzm a prawa człowieka*. (Konceptja historyczna i teologiczna humanizmu zachodniego). Tłumaczenie z francuskiego. Str. 269 i 3 nlb. (Wyd. Odnova, Londyn 1973).

SW. TOMASZ Z AKWINU. *Summa teologiczna*. Tom 14. *Nowe prawo i łaska* (1-2; Q. 106-114). Przełożył i w objaśnienia zaopatrzył O. Romuald Kostecki, O.P. Słowo wstępne Stefana Kardynała Wyszyńskiego. Str. 237 i 5 nlb. (Wyd. Katolicki Ośrodek Wydawniczy „Veritas”, Londyn 1973).

PARIS (Marianne). *Kłusownicy*. Powieść. Str. 422 i 2 nlb. (Wyd. Edition du Lion, Paryż 1973, cena F. 25,00).

KRAJ — BLOK WSCHODNI

8-12-73

Zmarł w Warszawie, w wieku 85 lat płk Henryk Bagiński, naczelny komendant Polskich Drużyn Strzeleckich, członek ZET, współzałożyciel „Zarzewia”. W czasie ostatniej wojny był w sztabie Naczelnego Wodza Wł. Sikorskiego.

14-12-73

Papież mianował ks. Mariana Przykuckiego biskupem sufraganiem metropolity Poznania.

15-12-73

Polski Oddział Stowarzyszenia Kultury Europejskiej (SEC) przyznał wybitnemu sławiście czeskiemu Karelowi Krejci nagrodę za wybitne zasługi na polu propagowania kultury polskiej. W najbliższym czasie ukazać się w Warszawie przekład jego książki „Praga w legendzie i rzeczywistości”. ■ W Krakowie utworzono oddział sowieckiej agencji prasowej *Novosti*. ■ Współpracownicy tygodnika *Polityka* ufundowali nagrodę im. Salvadora Allende za najlepsze dzieło o Ameryce Łacińskiej. Nagroda wynosi 10.000 zł i ma być przyznawana co roku 11 września, w rocznicę śmierci Allende. ■ Znany pisarz Mirosław Żuławski został mianowany ambasadorem w Senegalu. Poza tym mianowano ambasadorami: Stanisława Karkuta w Etiopii, a Zdzisława Lesiaka w Kenii; inż. Józef Kamiński został mianowany wiceministrem Komunikacji. ■ W roku 1973 Polska sprzedała za granicę 37,5 milionów ton węgla kamiennego. Do krajów zachodnich wyeksportowano 53 %, a do krajów socjalistycznych 47 %. W sumie Polska eksportuje węgiel do przeszło 30-tu krajów, i jest na 2-im miejscu wśród światowych eksporterów węgla. W 1974 roku jest przewidziane wydobycie 195 milionów ton węgla.

16-12-73

W Polsce ukazał się pierwszy numer nowego miesięcznika *W drodze*, wydawanego przez polskich Dominikanów. ■ Papież mianował ks. dr. Pawła Sochę biskupem sufraganiem diecezji gorzowskiej. ■ W PRL na 100 mieszkańców przypada 6,5 telefonu. Średnia europejska wynosi 14,8. ■ W Zagrzebiu otwarto konsulaturę PRL. ■ W PRL w 360 domach akademickich mieszka 100 tysięcy studentów. Do 1975 roku ma powstać 16 tysięcy nowych miejsc w domach akademickich. ■ Wprowadzono automatyczne połączenie telefoniczne między Paryżem, a Warszawą.

17-12-73

W Wilnie miał miejsce uroczysty wieczór poświęcony twórczości Adama Mickiewicza z okazji 175-iej rocznicy jego urodzin.

19-12-73

Znany czeski fizyk nuklearny Frantisek Janouch otrzymał pozwolenie wyjazdu na 5 lat z Czechosłowacji wraz z rodziną. Został on zaproszony przez szwedzką Akademię Nauk. Janouch był bezrobotny przez ostatnie trzy lata i jeszcze ostatnio wielokrotnie przesłuchiwany przez policję. ■ Nikodem Szcześniak został mianowany w Warszawie podsekretarzem stanu w ministerstwie Przemysłu Maszynowego.

23-12-73

W ramach RWPG powołano do życia trzy międzynarodowe zjednoczenia gospodarcze, zrzeszające państwa socjalistyczne, celem zacieśnienia współpracy w dziedzinach przemysłu włókienniczego, elektrotechnicznego oraz urządzeń i materiałów dla elektrowni atomowych. ■ Została podpisana umowa handlowa między PRL a NRF przyznająca statkom rybackim NRF prawo do połowów w strefie rybołówstwa morskiego PRL. ■ Według oficjalnych zapowiedzi przeciętna płaca miesięczna netto wyniesie w Polsce w 1974 roku 3.000 zł. W 1970 wynosiła ona 2.232 zł. ■ Ks. Kardynał Bolesław Kominek obchodził 70-lecie urodzin.

31-12-73

Trybuna Ludu podaje, że Towarzystwo „Polonia” utrzymuje obecnie kontakty z 471 organizacjami polonijnymi, w tym ze 179 stowarzyszeniami w USA, 62 w Australii, 45 w Brazylii, 33 w Kanadzie, 30 we Francji.

1-1-74

W Warszawie powstał nowy dom wydawniczy: Wydawnictwa Szkolne i Pedagogiczne. Ma on wydać w roku 1974 750 tytułów o łącznym nakładzie 45 milionów egzemplarzy. Jest to 1/3 rocznej produkcji książek PRL. Wydawnictwo to powstało z połączenia PZWS i PZWSZ.

2-1-74

W roku 1973 — 17 tysięcy rolników w PRL przekazało swoje gospodarstwa na własność państwa w zamian za rentę. Są to rolnicy w podeszłym wieku, którzy już nie są w stanie samodzielnie gospodarować.

5-1-74

Pierwszym laureatem nagrody malarskiej im. Jana Cybisa został Tadeusz Dominik. ■ W Warszawie powstał Polski Komitet Solidarności z Narodem Chilijskim. Przewodniczącym został mianowany Edmund Osmańczyk. Jeszcze jeden serwitut. ■ W PRL jeden samochód przypada na 49 osób. PRL zajmuje więc 45-te miejsce w świecie, jeśli idzie o zmotoryzowanie. Z krajów socjalistycznych wyprzedzają Polskę: NRD, Czechosłowacja, Jugosławia, Węgry i Bułgaria. ■ W roku 1973 — 2,6 miliona Polaków przebywało za granicą (nie licząc 4 miliony osób, które odwiedziły NRD). Do Polski przybyło 6 milionów turystów z krajów socjalistycznych i 500 tysięcy z krajów zachodnich.

6-1-74

Milicja Obywatelska PRL przeprowadziła w całej Polsce kontrolę techniczną 28 tysięcy samochodów. 27 % samochodów posiadało poważne usterki techniczne, ponad 100 kierowców było pijanych.

7-1-74

W Pradze czeskiej odbyła się konferencja 67-miu partii komunistycznych, poświęcona omówieniu pracy miesięcznika międzynarodowego *Problemy pokoju i socjalizmu*. Pismo to ukazuje się w Pradze w wielu językach. ■ Znany reżyser sowiecki, Sergiusz Paradjanow, został aresztowany w Kijowie.

8-1-74

Znana pisarka sowiecka Lidia Czukowska została usunięta ze Związku Pisarzy Sowieckich za swój „list otwarty” w obronie A. Sacharowa. ■ W Warszawie, w Związku Literatów Polskich, odbył się wieczór młodych poetów. W wieczorze wzięli udział: Wit Jaworski, Ewa Lipska, Leszek Aleksander Moczulski, Stanisław Stabro, Waldemar Zyszkiewicz, Jacek Bierezin, Zdzi-

sław Jaskuła, Ryszard Krynicki, Jerzy Górzeński, Krzysztof Karasek, Jerzy Kronhold, Jarosław Markiewicz, Krzysztof Mrozowski, Marek Romanowski, Leszek Szaruga, Andrzej Titkow, Bożena Umińska, Janusz Styczeń. Wieczór stał się ewenementem, gdyż młodzi poeci recytowali wiersze o dużym ładunku kontestacyjnym i publicystycznym. Płk Załuski nie był w stanie opanować ani sali, ani poetów.

9-1-74

Produkcja ropy w ZSSR ma wzrosnąć w 1974 roku o 30 milionów ton w porównaniu z rokiem ubiegłym i osiągnąć wysokość 450 milionów ton. ■ W Warszawie rozpoczęła się międzynarodowa konferencja naukowa „Idee Lenina a międzynarodowy ruch robotniczy”. Zebranie zorganizowano z okazji 50-letniej rocznicy śmierci Lenina.

11-1-74

Do Warszawy przybyła 30-osobowa grupa uchodźców politycznych z Chile, którym PRL udzieliła azylu. ■ Henryk Korotyński, b. redaktor naczelny *Życia Warszawy*, został zastępcą sekretarza generalnego Międzynarodowej Organizacji Członków Ruchu Oporu (FIR), z siedzibą w Wiedniu. ■ Liczba koni w Polsce wynosiła w 1972 roku 2.422 tysiące. PRL rozpoczęła w roku 1969 eksport końskiego mięsa. W roku 1973 wyniósł on 8 tys. ton.

15-1-74

Zmarł w Pradze, w wieku lat 62, Józef Smrkovsky, przywódca „Wiosny praskiej”. Został on usunięty z partii w 1970 roku.

16-1-74

W roku bieżącym nagrody kulturalne m.st. Warszawy, stworzone z okazji „Rocznicy wyzwolenia stolicy”, otrzymali: Jarosław Iwaszkiewicz, Stanisław Szenic, Hanna Bielicka, Zofia Kucówna, Zygmunt Rybicki, Witold Rowicki, Andrzej Zahorski i inni. ■ W Warszawie zmarła Irena Krońska.

19-1-74

Premier PRL Jaroszewicz, oświadczył w Sejmie, że ZSSR zapewnił Polsce pokrycie 75 % zapotrzebowania na ropę i że pozostałe 25 %, tj. 3 miliony ton, PRL musi zakupywać na Zachodzie i w „trzecim świecie”. Jak wiadomo w układzie handlowym na okres 1971-1975 ZSSR zobowiązał się do pokrywania zapotrzebowania Polski w 100 %, w zamian za to Polska podjęła się znacznych inwestycji w sowieckim przemyśle naftowym. Analogiczne umowy były zawarte z innymi krajami Komekonu. Deficyt ZSSR wobec kraju Komekonu w 1972 roku wynosił: według statystyk sowieckich 200 milionów funtów, według obliczeń Komekonu natomiast ok. 400 milionów funtów. Nie należy zapominać, że m.in. Polska w 1972 roku dostarczyła dla rejonu Leningradu 1 milion ton kartofli. Jednocześnie w Bonn szef delegacji sowieckiej, Nowikow oświadczył, że ZSSR będzie dostarczał w 1974 roku do NRF tę samą ilość ropy co w 1973.

20-1-74

Papież mianował prof. Mariana Rechowicza biskupem tytularnym oraz administratorem apostolskim w Lubaczowie (PRL). Lubaczów jest częścią dawnej archidiecezji lwowskiej. ■ Nagrodę krytyki artystycznej im. Norwida za najwybitniejsze wystawy malarskie w roku 1973 w Warszawie otrzymali: Jerzy Wolff i Zdzisław Jurkiewicz. ■ Nagrody Związku Kompozytorów Polskich na rok 1974 otrzymali: Dr Stefan Śledziński, prezes ZKP i dr Józef Patkowski, kierownik studia eksperymentalnego Polskiego Radia. ■ PRL zajmuje w świecie czwarte miejsce w produkcji węgla kamiennego, drugie

w produkcji statków rybackich, trzecie w produkcji siarki, siódme w produkcji nawozów sztucznych, drugie w produkcji żyta, lnu i ziemniaków. ■ PKO obniżyło oprocentowanie wkładów oszczędnościowych podnosząc jednocześnie odsetki od kredytów udzielanych ludności. ■ Tegoroczny przydział dewiz na prywatne wyjazdy do państw kapitalistycznych i Jugosławii został w PRL podniesiony do kwoty 130 dolarów. ■ Według danych Centralnego Związku Rzemiosł w Warszawie rzemieślnicy otrzymują o 70 % za mało surowców i materiałów, a prawie w ogóle nie otrzymują niezbędnych obrabiarek do metali i drzewa. ■ W PRL miała miejsce podwyżka szeregu cen. Zdrożały oleje i benzyna (średnio 40 %), komunikacja autobusowa (średnio 25 %), taksówki, wszystkie napoje alkoholowe, oraz zostały podwyższone ceny w restauracjach, z wyjątkiem stołówek pracowniczych i studenckich. ■ W 1947 roku PRL ma zakupić w Związku Sowieckim półtora miliona ton zbóż i 10 tysięcy traktorów.

21-1-74

W setną rocznicę urodzin Wincentego Witosa odbyła się w jego rodzinnej wsi Wierzchosławicach sesja historyczna, zorganizowana przez Zakład Historii Ruchu Ludowego, oraz uroczysta akademii. Do tej pory jednak Pamiętniki Witosa (wydane przez Instytut Literacki w Paryżu) nie mogą się w PRL ukazać.

22-1-74

Zwłoki Jana Palacha, które były ekshumowane potajemnie przed Zaduszkami w 1973 r., zostały przeniesione do innego grobu, na którym leży czarna płyta z napisem „Maria Jedlickova pochowana 5 listopada 1973”. ■ Zmarł nagle, w wieku 72 lat, pierwszy sekretarz KC Komunistycznej Partii Litwy Antanas Sneckus.

23-1-74

Polski Pen Club w Warszawie przyznał Czesławowi Miłoszowi nagrodę Pen Clubu „za wybitne osiągnięcia w zakresie przekładów literatury polskiej na język angielski”.

25-1-74

W Związku Sowieckim zmarł, w wieku 97 lat, nestor ekonomii sowieckiej, Stanisław Strumilin. Był on członkiem zagranicznym PAN i doktorem *honoris causa* Uniwersytetu Warszawskiego. Szereg jego książek było tłumaczonych na język polski.

27-1-74

Episkopat Polski zaprotestował bardzo ostro przeciwko internowaniu księdza Piotra Zabielskiego, umieszczonego w domu dla obłąkanych, stwierdzając, że jest to „akt nadużycia władzy i niebezpieczny gest sprzeczny z istniejącymi prawami wolności obywatelskich”, że „jest on całkowicie zdrowy na umyśle” — odrzucając „wzięcie odpowiedzialności za jego osobę i akty” — czego zażądały władze jako warunku wypuszczenia go. Zgodzenie się na ten warunek oznaczałoby — zdaniem biskupów — że ks. Zabielski jest faktycznie chory umysłowo. ■ „Grupa krakowska” katolików świeckich (Stomma i Turowicz) otwarcie dyskutuje możliwość likwidacji *Znaku* jako ugrupowania wysuwającego własnych posłów, dążąc do tego by przy następnych wyborach każde środowisko (*Tygodnik Powszechny*, *Więź*, *Odys*, kluby) wzięło odrębną odpowiedzialność za swoją działalność polityczną. ■ W roku 1973 PRL wyeksportowała 3,1 miliona egzemplarzy książek. Najwięcej — około miliona — do ZSSR.

28-1-74

Zakupy zboża w USA przez Związek Sowiecki w roku 1974 zostały ograniczone do jednego miliona ton. Ponieważ zakupy zboża innych krajów wynoszą łącznie 17 milionów ton istnieje obawa, że w USA przy najbliższych zbiorach zabraknie zboża. ■ Sąd Wojewódzki dla m. st. Warszawy ogłosił wyrok w procesie wytoczonym przez Melchiora Wańkowicza Stanisławowi Strumph-Wojtkiewiczowi. Melchior Wańkowicz zarzuca autorowi „Wspomnień o własnych siłach”, że opublikował niezgodne z prawdą informacje jakoby on otrzymał subwencję w okresie międzywojennym od Ministerstwa Spraw Wewnętrznych na założenie wydawnictwa „Rój” oraz że dopuszczał się naruszenia praw autorskich pisarzy publikujących w tym wydawnictwie. Ponieważ Strumph-Wojtkiewicz nie był w stanie przeprowadzić dowodu prawdy, sąd zarządził usunięcie z książki kwestionowanych fragmentów.

1-2-74

Przeor Ławry Poczajowskiej na Wołyniu, mgr Samuel, wystosował protest do władz sowieckich z powodu skonfiskowania szeregu budynków klasztoru, przekształcanych na klub, muzeum ateistyczne i na klinikę. Ławra Poczajowska, głośna z cudownego obrazu Matki Boskiej, po oderwaniu Wołynia od Polski korzystała dotąd z pewnych praw i przywilejów.

13-2-74

W Moskwie, przed gmachem KC, odbyła się manifestacja obywateli sowieckich (republika estońska) pochodzenia niemieckiego, protestujących przeciw odmowie wydania im wiz na wyjazd do Niemiec Zachodnich. W ZSSR jest ponad milion osób pochodzenia niemieckiego, zamieszkałych przeważnie w dorzeczu Wołgi i w republikach bałtyckich. Po układzie Brandt-Breżniew 40.000 spośród nich złożyło podania na wyjazd. W latach 1971-1973 mogło wyemigrować do NRF 9.000 osób. ■ Władimir Maksimow, który w ub. roku został wykluczony ze Związku Pisarzy sowieckich, otrzymał pozwolenie na wyjazd do Francji na rok czasu, jakkolwiek 10 dni przedtem odmówiono mu wizy wyjazdowej. Maksimow po usunięciu go ze Związku Pisarzy sowieckich został dokooptowany przez francuski PEN Club. ■ Andrzej Werblan (red. nac. *Nowych Dróg*), Józef Pinkowski (wiceprzewodniczący Komisji Planowania) i Wincenty Kraśko (członek Rady Państwa) zostali mianowani sekretarzami KC PZPR. Kazimierz Barcikowski przestał być sekretarzem KC i został mianowany ministrem Rolnictwa. Ministrem Kultury został mianowany Józef Tejchma, a usunięty Stanisław Wroński został mianowany ministrem bez teki.

ZACHÓD — EMIGRACJA

3-12-73

Zmarł w Anglii Roman Orwid-Bulicz, dziennikarz i literat.

4-12-73

W Buenos Aires zmarł Tadeusz Dąbrowski, oficer 2-go Korpusu w czasie wojny, w Argentynie prowadził księgarnię „Libreria Polaca”, będąc od samego początku przedstawicielem Instytutu Literackiego.

5-12-73

Polskie Towarzystwo Naukowe na Obczyźnie zorganizowało w Londynie sympozjum pod hasłem „Miejsce Polski w Europie”. Referaty wygłosili dr Józef Lewandowski z Uppsali, prof. Jan Marczewski z Paryża, Michał Gamarnik z Free Europe w Monachium oraz prof. Jan Drewnowski z Hagi.

11-12-73

W Wellington (Nowa Zelandia) zmarł, w wieku 69 lat mjr. Tadeusz Nowacki, pilot, publicysta wojskowy, współpracownik *Kultury i Zeszytów Historycznych*.

13-12-73

W Londynie zmarł, w wieku lat 84, gen. bryg. dr Włodzimierz Leon Dembiński. W kampanii wrześniowej był on dowódcą artylerii 28 Dywizji Piechoty, a później 2-jej Dywizji Strzelców we Francji.

15-12-73

W Londynie odbyło się pierwsze posiedzenie Rady Narodowej RP. Rada wybrała na przewodniczącego Franciszka Wilka (PSL). ■ Komitet „Free Europe, Inc.” zaprzestał publikacji biuletynu *Wiadomości o życiu w Polsce*. ■ Paryski komitet uczczenia pamięci Gen. Sosnkowskiego ogłosił sprawozdanie ze zbiórki na przerobienie zbiorowego grobowca Towarzystwa Historyczno-Literackiego na cmentarzu w Montmorency pod Paryżem, gdzie zostały złożone prochy gen. Sosnkowskiego. Zbiórka przyniosła F. 26.024,73. ■ Tegoroczne nagrody *Wiadomości* londyńskich zostały przyznane Karolowi Wędziogolskiemu za „Pamiętniki”, Władysławowi Żeleńskiemu za cykl artykułów o Boy'u, Piotrowi Guzy za fragment powieści „Ciemne sklepienie” i Dawidowi Łazerowi za wspomnienia o Władysławie Broniewskim. Wszystkie nagrody zostały ufundowane przez p. J. Badeniego.

19-12-73

Konsulat Generalny PRL w Londynie zorganizował pokaz filmu „Hubal” w jednym z największych kin londyńskich „Empire”, rozsyłając ponad 1.000 zaproszeń. Sala, według informacji pracy angielskiej, była wypełniona przez emigrację, wśród której nie brakowało czołowych jej przedstawicieli. ■ Sławomir Mrozek, przebywający obecnie na stypendium akademickim w USA, został zaproszony na rok do Berlina przez niemiecką teatralną służbę wymiany kulturalnej.

22-12-73

Dwaj członkowie polskiej ekipy hokejowej, która brała udział w hokejowych zawodach w Szwecji, zwrócili się do władz szwedzkich z prośbą o azyl. ■ Szwecja zawarła z PRL umowę o budowę rafinerii ropy w Gdańsku na sumę 2 i pół miliarda szwedzkich koron. Ponadto PRL zakontraktowała w Szwecji 17 milionów ton rudy żelaznej. Umowa wchodzi w życie od 1976 roku i ma być ważna przez 5 lat. Import rudy ze Szwecji w roku 1973 wyniósł około 1,5 miliona ton (w roku 1972 tylko 0,9 miliona ton).

23-12-73

Na skutek oszczędności budżetowych radio Free Europe zamknęło swe biura w Berlinie Zachodnim, w Sztokholmie i w Atenach.

24-12-73

W Londynie zmarł Artur Szewczyk, wybitny działacz PPS.

2-1-74

W Londynie zmarł, w wieku 77 lat, płk Wincenty Bąkiewicz. Płk Bąkiewicz był szefem Oddziału II w 2-gim Korpusie.

5-1-74

Dziennik Polski w Londynie przyznał swoją nagrodę teatralną w wysokości £.stg. 100 Henrykowi Vogelfaengerowi.

6-1-74

Z okazji 50-lecia swego istnienia londyńskie *Wiadomości* wydały specjalny numer jubileuszowy.

7-1-74

W Oxfordzie zmarł, w wieku lat 73, wybitny historyk Denis Brogan. Członką jego pracą była książka „American Politics”.

10-1-74

W Berlinie Zachodnim aresztowano za działalność szpiegowską Eugeniusza Pieluczka, attaché ambasady PRL w Berlinie Wschodnim.

13-1-74

Znany socjolog angielski, Peter Reddaway, profesor w London School of Economics, ocenia ilość więźniów w ZSSR na milion osób, z tego 10.000 stanowią więźniowie polityczni.

14-1-74

Królowa Danii, Małgorzata, odznaczyła Czesława Słanię orderem „Daneborga” z okazji wydania setnego duńskiego znaczka w jego wykonaniu. Słania, obecnie mieszkający stale w Szwecji i uchodzący za najwybitniejszego grawera znaczków na świecie, otrzymał jeszcze z rąk zmarłego króla Gustawa Adolfa tytuł nadwornego królewskiego grawera.

15-1-74

Antoni Czulowski otrzymał tegoroczną nagrodę Związku Dziennikarzy Polskich w Londynie. Nagroda wynosi £.150. A. Czulowski przez 7 lat był redaktorem *Orła Białego* w Londynie a obecnie jest sekretarzem redakcji *Dziennika Polskiego*.

16-1-74

Zakończył się klęską 8-tygodniowy strajk górników hiszpańskich. Strajk został złamany przez dostawę węgla z PRL. M.in. transport 55 tysięcy ton dostarczonych Hiszpanii 16. 12. 1973 roku był przyjęty uroczystie przez władze hiszpańskie. W roku 1969 PRL również złamała strajk hiszpańskich górników.

17-1-74

W Londynie zmarł, w wieku 79 lat, gen. Karol Jan Ziemiński „Wachnowski”, przewodniczący Rady Federacji Światowej SPK. Był on współtwórcą 36-go pułku Legii Akademickiej i jego dowódcą w kampanii wrześniowej, a następnie dowódcą „Starówki” i zastępcą dowódcy Powstania Warszawskiego.

18-1-74

Z okazji przejścia na emeryturę red. Janusza Laskowskiego, który jednocześnie obchodził 40-lecie pracy dziennikarskiej, dyr. audycji zagranicznych w Radio Diffusion Française, p. Aycard, wręczył mu pamiątkowy medal Radia, a koledzy sekcji polskiej, rosyjskiej i rumuńskiej podarowali mu przenośny telewizor. ■ Policja norweska aresztowała polskiego uchodźcę, Wojciecha Gulgowskiego, kierownika wydziału maszyn matematycznych (Data Maskin) Uniwersytetu w Bergen za działalność szpiegowską. Współpracujący z nim sekretarz ambasady PRL, Fritek, został wydalony z Norwegii.

21-1-74

W Londynie zmarła, w wieku lat 77, Jadwiga Beckowa, żona b. ministra Spraw Zagranicznych RP, Józefa Becka.

24-1-74

W związku ze strajkiem górników w Anglii komuniści brytyjscy zwrócili się z apelem do PRL by wstrzymała dostawę łamistrajkowego polskiego węgla. Apel został załatwiony odmownie — PRL dostarczy do Anglii w najbliższym czasie pół miliona ton węgla. ■ Polskie Towarzystwo Historyczno-Literackie w Paryżu zorganizowało wieczór pt. „La musique de piano polonaise”.

26-1-74

Staraniem Stowarzyszenia Polskich Kombatantów w Paryżu odbył się odczyt Stefana Kisielewskiego pt. „Wspomnienia polityczne”.

29-1-74

W Centre d'Etudes Slaves, w paryskim Instytucie katolickim, odbył się odczyt Jana Mycińskiego, profesora z Uniwersytetu w Lille, pt. „Les premières années de l'Université Jagiellonienne”.

31-1-74

W Brukseli zmarł, w wieku lat 74, dr Jerzy Brzozowski, uczestnik Kampanii Francuskiej w 2 Dywizji Strzelców Pieszych, internowany w Szwajcarii, założyciel Polskiego Instytutu Naukowego w Belgii, b. Minister Pełnomocny Rządu Polskiego w Londynie — na Belgię. W latach 1936-1939 był on podsekretarzem stanu w Prezydium Rady Ministrów RP.

1-2-74

Ze statku Stefan Batory, który odbywał rejs wycieczkowy, 81 pasażerów (na 400) opuściło statek na postojach w Oslo, Hamburgu i Kopenhadze, prosząc o azyl.

6-2-74

Papież ogłosił stanowisko arcybiskupa Esztergonu, do którego przywiązany jest tytuł prymasa Węgier, za wakujące. Arcybiskupem Esztergonu i prymasem Węgier był od 1945 roku kardynał Mindszenty. Kardynał Mindszenty, który przebywa w Wiedniu, oświadczył że ta decyzja została powzięta przez Watykan jednostronnie i że nie zamierza dymisjonować ze stanowiska arcybiskupa-prymasa. Swoją decyzję kardynał Mindszenty motywuje tym, że ani Węgry, ani Kościół węgierski nie są wolne i że wolność sumienia i religii, zagwarantowana przez konstytucję węgierską, nie jest przestrzegana. ■ W Galerie Lambert w Paryżu została otwarta wystawa prac Witolda Januszewskiego.

11-2-74

Ks. Alicja Habsburg wydała nakładem f-my Nordstedt w Sztokholmie, swoje wspomnienia pt. „Princessa och partisan”. Ks. Alicja, z pochodzenia Szwedka, była żoną hr. Badeniego, a po jego śmierci wyszła ponownie za mąż za arcyks. Karola Albrechta z Zywca. Jej wspomnienia dotyczą okresu 2-jej wojny światowej i jej udziału w polskim ruchu oporu.

14-2-74

Miesięcznik *Na Antenie*, wydawany przez Polską Sekcję Radia Free Europe, a zlikwidowany ze względów oszczędnościowych 1 stycznia bież. roku, ma się ukazywać jako dodatek do londyńskiego miesięcznika *Orzeł Biały*. ■ W Brukseli, w galerii „L'Oeil” została otwarta wystawa obrazów Aleksandry Gaganaszwilli (AMGLE).

15-2-74

W ośrodku *Centre du Dialogue* w Paryżu Stefan Kisielewski wygłosił odczyt „Czy w Polsce istnieje życie intelektualne?” ■ W Bibliotece Polskiej w Paryżu odbył się uroczysty wieczór ku uczczeniu pamięci gen. prof. Mariana Kukiela, urządzony staraniem Polskiego Towarzystwa Historyczno-Literackiego. Przemówienia wygłosili płk Franciszek Grabowski i red. Witold Nowosad.

KRONIKA AMERYKAŃSKA

Prezes Polskiego Instytutu Naukowego w Nowym Jorku, prof. Mrozowski, zgłosił rezygnację z prezesury. ■ W końcu ub. roku Polska dostarczyła do Stanów Zjednoczonych węgiel wartości 2-ch milionów dolarów. Polski węgiel ma zastąpić deficyt paliwa płynnego w elektrowniach stanu New England. ■ Uniwersytet Gainesville na Florydzie wprowadził studia polskiego oraz wykłady na temat Polski, w ramach studiów zagadnień wschodnio-europejskich. Język polski został włączony do programu studiów na stopnie naukowiego magistra i doktora filozofii. ■ 27. 12. 1973 roku odbył się w San Francisco doroczny zjazd Polsko-Amerykańskiego Towarzystwa Historycznego. M.in. został omówiony stan badań naukowych nad historią emigracji polskiej w Kalifornii oraz problemy historii Polonii amerykańskiej w związku z przygotowawanymi obchodami 200-lecia niepodległości Stanów Zjednoczonych, które przypada w 1976. Prezesem na rok 1974 został wybrany prof. Jerzy Lerski z uniwersytetu San Francisco. ■ Kongresman John D. Dingell wystosował protest do Departamentu Stanu przeciwko przeszkodom stawianym Polakom zabiegającym o wize w ambasadzie amerykańskiej w Warszawie. Podaje on, że w roku 1969 ambasada odrzuciła tylko 865 podań o wize wjazdowe do USA, natomiast w roku 1973 odmówiono wiz 6.853 osobom. Kongresman podkreśla, że w 1973 roku na ogólną liczbę 54.248 turystów deportowanych ze Stanów Zjednoczonych Polacy stanowili tylko 816 osób. ■ Andrzej Biernacki wygłosił 5. 2. br. w Fundacji Kościuszkowskiej odczyt pt. „Historia nauki polskiej”. Andrzej Biernacki jest sekretarzem redakcji międzynarodowego czasopisma *Organon* poświęconego historii i filozofii nauki, wydawanego w Warszawie, oraz jest współredaktorem *Kwartalnika historii nauki i techniki*. ■ 2. 12. 1973 zmarł w Nowym Jorku, w wieku lat 80, litewski dyplomata Vaclovas Sidikauskas, b. przewodniczący Naczelnego Komitetu Wyzwolenia Litwy. ■ 19. 12. 1973 roku zmarł w Chicago, Ill., w wieku 83 lat, litewski generał Povilas Plechanovicius. ■ Polski Instytut Naukowy w Nowym Jorku otrzymał poważną dotację z Fundacji Rockefellera na studia nad polską grupą etniczną w USA. ■ Od końca października ub. roku dostawy ropy sowieckiej do portów w USA przekroczyły cyfrę 3 milionów ton. ZSSR wykorzystano bojkot Stanów Zjednoczonych przez Arabów oraz fakt, że w portach sowieckich była duża ilość tankowców amerykańskich, dostarczających Sowietom zboże — żeby nie wracały puste załadowano na nie ropę. Oblicza się że ZSSR zyskało na tej sprzedaży ok. 50 milionów dolarów. Eksport USA do ZSSR w roku 1973 wyniósł 1.400 milionów dolarów, natomiast eksport ZSSR do Stanów Zjednoczonych wynosi jedynie 214 milionów dolarów.

KRONIKA KANADYJSKA

PRL podpisała umowę z Kanadą na dostawę zboża przez trzy lata. Umowa przewiduje sprzedaż od 27.500 tysięcy buszli do 36.700 tysięcy buszli. Wartość transakcji waha się w obecnych cenach rynkowych od 137 milionów

dolarów do 183 milionów dolarów. Umowa została zawarta na warunkach kredytów krótkoterminowych, tak jak wszystkie poprzednie. ■ Adwokat B. B. Dubieński z Winnipegu został odznaczony Medalem Kanady. Mcc. Dubieński był pierwszym prawnikiem imigrantem, który został wpisany na listę adwokatów w Manitobie. W okresie międzywojennym był m.in. radcą prawnym Konsulatu RP w Winnipegu. ■ Jerzy Ambroziewicz, reżyser zespołu „Arabeska”, wystąpił w Toronto z montażem „Nowe wyzwolenie Witkacego”. Obok tekstu sztuki aktorzy prezentują, na podstawie różnych tekstów, postać Witkiewicza. ■ Na dorocznym zebraniu dyrektorów Funduszu Wieczys-Witkiewicza. ■ Na dorocznym zebraniu dyrektorów Funduszu Wieczys-Witkiewicza w Toronto postanowiono ustalić stypendia do wysokości 5.000 dolarów na prace naukowe o Polonii ufundować doroczną nagrodę w wysokości 1.000 dolarów za pracę literacką, sfinansować cykl wykładów na wyższych uczelniach pod nazwą „Polish Millenium Fund Distinguished Lectures”, zasilać biblioteki publiczne książkami o Polsce w języku polskim, lub obeym.

Z OSTATNIEJ CHWILI Z POLSKIEGO LONDYNU

Na ostatnim zebraniu POSK prof. Wajda oznajmił że wstrzymuje dalsze prace przy budowie POSK gdyż SPK dotąd nie wpłaciło £ 75.000 do czego dawno się zobowiązało. ■ W Londynie prez. St. Ostrowski mianował nowy rząd w składzie: mgr Alfred Urbański — Prezes Rady Ministrów i Minister Skarbu; prof. dr Jerzy August Gawenda — Minister za powierzeniem Zastępcą Prezesa Rady Ministrów; prof. dr Bronisław Hełczyński — Minister Spraw Zagranicznych; gen. bryg. Stefan Brzeszczyński — Minister Obrony Narodowej; mgr Stanisław Wiszniewski — Minister Sprawiedliwości; Czesław Czapliński — Minister Wyznań Religijnych, Oświaty i Kultury; prof. dr Wiesław Strzałkowski — Minister Informacji i Dokumentacji; Zygmunt L. Szadkowski — Minister Spraw Społecznych; Józef Poniatowski — Minister Spraw Krajowych. A prezesem Najwyższej Izby SPK wybrało na urzęmianowany gen. St. Kuniczak. ■ Prezydium Rady SPK wybrało na urzędującego wiceprezesa Rady Jarosława Żabę natomiast wniosek Zarządu Gł. dującego wiceprezesa Rady Ryszarda Zakrzewskiego na delegata do Rady Naro-SPK proponujący wybór Ryszarda Zakrzewskiego nie przeszedł. ■ 3 lutego dowej (na miejsce zmarłego gen. Ziemińskiego) nie przeszedł. ■ 3 lutego w Londynie odbyło się posiedzenie Komitetu Centralnego PPS, które miało burzliwy przebieg. P. A. Urbański składając sprawozdanie ze swej działalności zażądał oddania p. A. Ciołkosza pod sąd partyjny za utrudnianie stwo-rzenia rządu bez udziału K. Sabbata (Grupa Społeczna). Po dyskusji p. Urbański wniosek wycofał. Natomiast zebranie uchwaliło rezolucję potę-piającą działalność p. Urbańskiego jako premiera uważając ją za szkodliwą dla PPS.

SPROSTOWANIA

Do „Wydarzeń miesiąca” w ostatnich numerach *Kultury* zakradły się następujące błędy i przeoczenia:

W Nrze 12/315 (grudzień 1973) na str. 137 pod datą 14-11-73, wymieniając laureatów nagrody im. Pietrzaka podano błędnie nazwisko „Niemojowski” zamiast *Romanowski*.

W Nrze 1/316-2/317 (styczeń-luty 1974) pod datą 5-12-73 mylnie po-dano, że Paweł Litwinow jest „synem” Maksyma Litwinowa — winno być: *wnukiem*. Ponadto w tymże nrze na str. 227 pod datą 1-12-73, pisząc o sprzedaży obrazów w Hôtel Drouot w Paryżu, opuszczono nazwisko p. Lur-czyńskiego; winno być: „sprzedaż obrazów *Mieczysława Lurczyńskiego i Stanisława Eleszkiewicza*.” (REDAKCJA).

Listy do Redakcji

Szanowny Panie Redaktorze,

Uppsala, 21 lutego 1974.

Mimo że załączony list adresowany jest do warszawskiego tygodnika, uprzejmie proszę o jego wydrukowanie. Zależy mi na tym, by treść jego była znana Czytelnikom *Kultury*, a może — wobec panujących w Polsce obyczajów dziennikarskich — będzie to jedyna droga dotarcia do opinii publicznej w kraju.

Łączę wyrazy poważania,

Adam BROMBERG

Do Redaktora Naczelnego „Kultury”,
Warszawa.

Szanowny Panie Redaktorze,

W ostatnim numerze zeszłorocznym „Kultury” pisze KTT o moim poglądzie na sfingowany „wywiad” z Gombrowiczem w „Miesięczniku Literackim” w sposób wprowadzający w błąd czytelników. Osobiste ataki na mnie pozostawiam bez odpowiedzi — krytyczny czytelnik wie doskonale co sądzić o takich demagogicznych chwytach.

Sprostować pragnę jedynie fałszywe przedstawienie mojego stanowiska w sprawie zasadniczej, stanowiącej przedmiot artykułu w numerze 11/1973 miesięcznika *Kultura*. Dałem w nim wyraz mojemu oburzeniu z powodu opublikowania fragmentów „Dziennika” Gombrowicza nie tylko dlatego, że wydrukowano je wbrew zakazowi Pisarza, który kategorycznie sprzeciwiał się — za życia i w testamencie — dokonywaniu jakichkolwiek skreśleń w „Dzienniku”. Oburzył mnie głównie tendencyjny wybór tych fragmentów, metoda cytowania zniekształcająca poglądy pisarza, pominięcie poglądów niedogodnych redaktorom „Miesięcznika Literackiego”.

KTT nie może oczywiście zaprzeczyć postawionym w moim artykule zarzutom co do sposobu spreparowania tekstu wybitnego — jak przyznaje — pisarza polskiego. Zataja je jednak wobec czytelnika po to, by wziąć w obronę „Miesięcznik Literacki”. KTT pochwała niefrasobliwie „dowcipnie zakamuflowaną formę wywiadu” i każe czytelnikowi wierzyć, że otrzymał rzetelnie zaprezentowane poglądy pisarza „na sprawy literatury i sztuki”. Ale KTT wie doskonale, że tak nie jest: nawet fragmenty dotyczące literatury są zniekształcone, zubożone, myśli o sprawach społecznych, o polityce, o komunizmie itd. przemyślnie spreparowane w sposób urągający dobrem obyczajom.

Spór idzie o to czy wybitny pisarz POLSKI, którego nazwisko KTT wymienia obok Ignacego Witkiewicza i Brunona Schulza, ma takie samo jak oni prawo do pełnego wydania dzieł wszystkich, czy ma prawo do zaprezentowania się czytelnikowi, krytykowi literackiemu w swojej ojczyźnie takim

jakim jest. Nie przypadkowo KTT odmawia tego prawa Gombrowiczowi w oparciu tylko o przykłady pisarzy zagranicznych. Istotnie, nikt nie może narzucić wydawcy polskiemu obowiązku wydania dzieł wszystkich Balzaka, Steinbecka, czy Sartré'a. Ale wszystkie ich książki ukazały się w ich ojczyźnie; stanowią one niezbędne dla kultury ich narodu źródło wiedzy o wybitnym pisarzu, o jego ewolucji ideologicznej, artystycznej, etycznej. Jeśli, jak pisze KTT, „polski czytelnik płaci koszty blokady” dzieł Gombrowicza, to w świetle faktów ani pisarza, ani wykonawców jego testamentu czynić za to odpowiedzialnymi nie można. Jaki pisarz, jaki miłośnik literatury może się dziwić woli Gombrowicza, by w swojej Ojczyźnie myśl jego dotarła do czytelnika nieskazona, by swoje dzieła uchronić przed nożycami redakcyjnymi i skreśleniami?

Trudno się pogodzić z myślą, że znaleźli się — chyba po raz pierwszy w historii Polski — redaktorzy, którzy ogłosili tekst zmarłego wybitnego pisarza polskiego w nieautoryzowanych fragmentach oraz że znalazł się dziennikarz, który ich wziął w obronę.

Adam BROMBERG

Uppsala, 21 stycznia 1974.

11 lutego 1974.

Wielcy Szanowny Panie Redaktorze,

W szkicu Pelikana „Somnia vigilantium” (*Kultura*, Nr 316/317, 1964) na str. 10-ej uderzył mnie niemiłe zwrot: „...mierzi mnie publicystyka odwetowa, plotkarska, ujadanie zza granicy w stylu Tyrmanda czy Brychta...”. Niemiłe wrażenie ma następujące źródła:

1. Określenie „ujadanie zza granicy” łączy w sobie porównanie wspomnianych autorów do psów (wściekłych? łańcuchowych?) z rodzajem ubolewania, że znajdują się oni poza zasięgiem policji. Jest to klasyczny zwrot z komunistycznego repertuaru i pod piórem Pelikana dziwi.

2. W tym kontekście wymówienie jednym tchem tych dwóch nazwisk jest krzywdzące dla Tyrmanda, co najmniej o ile chodzi o jego pisarstwo i postawę w Polsce. Tyrmand w Polsce zawsze zachowywał się i pisał odważnie i uczciwie, czego nie można powiedzieć o Brychcie. Niedobrze, że różniczenia tego rodzaju zacierają się.

3. Zarówno Tyrmand jak Brycht korzystają z przysługującego im za granicą prawa do wolności wypowiedzi. Zapłacili za to prawo emigracją, czyli dobrowolnym wygnaniem. Nie jest to cena niska, o czym wiedzieli prawodawcy, umieszczający wygnanie tuż obok kary śmierci. Ich wypowiedzi mogą Pelikana mierzić, lecz nie upoważniają go do obelgi.

Byłbym wdzięczny, gdyby Pan Redaktor zechciał umieścić tych kilka uwag w dziale korespondencji.

Łączę wyrazy najgłębszego szacunku,

M. BRONSKI

Bruksela, 11 października 1973.

Szanowny Panie Redaktorze,

Z dużym zainteresowaniem przeczytałem „List otwarty do Papieża” O. Bruckberger'a w październikowym numerze *Kultury* (10/313). Sądzę jednak że dla obiektywnej informacji dobrze byłoby również usłyszeć głos Ojca Świętego. Jestem od kilkunastu lat czytelnikiem *Kultury* i nigdy jeszcze na łamach tego pisma nie spotkałem się z wypowiedziami Głowy Kościoła Katolickiego.

Należałoby może również scharakteryzować osobę O. Bruckberger'a. Jak Szanownemu Panu Redaktorowi zapewne wiadomo, jest on również autorem

„Listu otwartego do Jezusa Chrystusa” (Albin Michel). Udzielając Ojcu Świętemu cennych rad, ubolewając nad brakiem papieży-męczenników, zapomina zapewne, że najskuteczniejszy jest dobry przykład. Dlaczego nie miałby się udać do Rosji aby poprzeć ludzi oporu i stamtąd pisać swoje „Listy otwarte”, które miałyby wówczas o tyle większy ciężar gatunkowy.

Łączę wyrazy poważania,

Kazimierz CZARNOCKI

Rochester, 22 grudnia, 1973.

Drogi Panie Redaktorze,

O tym, że list prof. Andrzejewskiego, ogłoszony w grudniowej *Kulturze*, nie ma nic wspólnego z moją krytyką praktyki upraszczania polskich nazwisk, przekona się każdy, kto zechce porównać nasze wypowiedzi.

Jestem naprawdę zażenowany faktem, że profesor uniwersytetu, który właśnie opublikował książkę, w której tak namiętnie broni prostych prawd i uczciwości w polemikach, tendencyjnie zniekształca i kamufluje sens, tego co napisałem.

Łączę pozdrowienia,

Adam CZERNIAWSKI

Nowy Jork, 8 lutego 1974.

Szanowny Panie Redaktorze,

W recenzji Jana Frylinga o mojej monografii Józefa Wittlina (*Kultura* Nr 11/314) przeczytałam ze zdumieniem zdanie, w którym autor recenzji imputuje mi coś, czego nie napisałam: „Czytamy mianowicie, że Wittlin po wojnie nie powrócił do Polski, ponieważ nie miałby tam jako pisarz swobody wypowiedzi, jak jej nie miał w niepodległej Polsce”. Dr Fryling kontynuuje: „To, na niczym nieoparte twierdzenie, stawia znak równania między ograniczeniem swobody pisarza w Polsce niepodległej i w Polskiej Republice Ludowej. Przypisać tę opinię należy chyba jakiemuś nieporozumieniu”.

Rzeczywiście mogło zająć tutaj tylko nieporozumienie, gdyż podobnego twierdzenia ani takiej opinii o Wittlinie wcale w mojej książce nie ma.

Zdaje się, że już nie tylko o nieporozumienie, lecz o niezrozumienie mego tekstu chodzi i w innym miejscu, gdzie recenzent *mnie* przypisuje słowa samego Józefa Wittlina (zakończenie hymnu „Ballada-hymn”: „Świecie, ty moja ojczyzno!”) i na tej podstawie ze mną polemizuje...

Nie będę zajmowała się innymi zarzutami, stawianymi mi przez recenzenta, bo są to przeważnie sprawy gustu. Zgadzam się z Dr. Frylingiem, że nie warto parafrazować wierszy, o czym zresztą piszę na str. 22 mojej książki. W moim wypadku trudno było tego uniknąć. Żeby dać obcemu czytelnikowi nieco pełniejszy obraz poezji Wittlina, zamieściłam w tekście książki (nie mówiąc już o cytatach) i w Appendiksie 14 tłumaczeń jego hymnów i wierszy na język angielski, zrobionych przez trzech różnych tłumaczy i ukazujących się w druku przeważnie po raz pierwszy, o czym recenzent nawet nie wspomniął.

Na zakończenie chciałabym powtórzyć to, co powiedziałam we wstępie do książki: że nie miałam zamiaru napisać wyczerpującego i definitywnego studium o Józefie Wittlinie, o którym dużo jeszcze będą pisać, chciałam tylko obcemu czytelnikowi, władającemu językiem angielskim, dać możliwość poznania życia i twórczości tego wybitnego polskiego pisarza na wygnaniu.

Łączę wyrazy głębokiego szacunku,

Zoya JURIEFF
New York University

New Britain, 22 stycznia 1974.

Wielcy Szanowny Panie Redaktorze,

Pani Grażyna Nowak przedstawiając w krzywym zwierciadle (w bardzo krzywym) „Listów z Londynu” emigracyjne przywary, umieściła LISTY DO POLAKÓW w Kalifornii, pisząc:

„Więcej uwagi poświęciły mi kalifornijskie Listy do Polaków...” (*Kultura* Nr 1/316-2/317 1974, str. 58).

Będę Panu Redaktorowi bardzo zobowiązany jeśli zechce je Pan „przenieść na ojczyzny łono”, do rodzimego stanu Connecticut, gdzie powstały i gdzie zakończą swój żywot razem z żywotem wydawcy.

Pani Grażynie przesyłam pozdrowienia i odrobinę optymizmu z Ameryki.

Łączę wyrazy należnego szacunku,

Czesław MALISZEWSKI

Londyn, 26 stycznia 1974.

Drogi Panie Redaktorze!

Na list Pański z 13 grudnia 1973 roku w którym się Pan zapytywał „czy to prawda, że kmr. B. Wronski i p. R. Matlachowska odchodzą” i „jeśli to prawda — to byłby prawdziwy pogrom bibliotek i archiwów londyńskich” odpowiedziałam obszernie *expressem* z dn. 19 grudnia, że „wprost przeciwnie”... „p. Matlachowska sama ustąpiła z powodu złego stanu zdrowia... i że obecnie mamy o wiele młodszą... D. Jurkiewicz... bardzo wartościową, wykształconą i kompetentną osobę...”. Pisałam dalej... „kmr. Wronski nie opuszcza Instytutu Polskiego. Wprost przeciwnie — wchodzi obecnie i do Zarządu i do Rady... i obejmuje dział naukowo-wydawniczy, a specjalną jego troską będzie uporządkowanie wielkiego archiwum filmowego i fotograficznego...”.

Wydarzenia miesiąca w Nr. 1/316-2/317 *Kultury*, jak zawsze niezmiernie interesującym, podało natomiast tylko, że kmr. Wronski „przechodzi na emeryturę” tak jakby przerwał swą niezwykle pożyteczną działalność na terenie Instytutu Polskiego i Muzeum im. gen. Sikorskiego, 20 Princes Gate, London S.W.7, tak bowiem brzmi pełna nazwa tej instytucji, która od 1964 roku czyli od lat 10 gdy nastąpiło połączenie Instytutu Historycznego im. Gen. Sikorskiego z Polskim Ośrodkiem Naukowym, a ostatnio przyłączył się również Polski Instytut Historyczny.

Zbędny wydaje mi się dodatek wieku przy wiadomości o mianowaniu płk. Adama Łubkowskiego dyrektorem administracyjnym Instytutu; czyżby czytelnik miał to rozumieć jako podziw, iż mimo swego wieku jeszcze chce poświęcić swój czas i siły Instytutowi Polskiemu?

Gdyby wszyscy ziomkowie rozsiani w wolnym świecie doceniali wartość tej narodowej placówki i zechcieli się zapisywać na członków wspierających to by nie tylko starsi musieli się poświęcać, by pracować o tak skromnych uposażeniach, ale i młodszy mogliby być zaangażowani, gdyby Instytut rozpoznał większym budżetem i mógł znacznie podnieść uposażenia.

Serdeczne pozdrowienia łączę,

Aniela MIECZYŚLAWSKA

Londyn, 25 stycznia 1974.

Szanowny Panie Redaktorze,

W numerze 1/316-2/317 *Kultury* został ogłoszony Konkurs imienia

Józefa Wyrwy na prace o tematyce partyzanckiej. W tym ogłoszeniu znajduje się następujące zdanie: „Przeznaczona na Konkurs kwota 500 funtów (stanowiąca wysokość partycypacji Zarządu Głównego Żołnierzy A.K. w Londynie przy wydaniu książki Józefa Wyrwy pt. „Chłopcy z lasu”) podzielona zostaje na 3 części:...”.

Istotnie, Zarząd Główny Koła A.K. partycypował w wydaniu książki Józefa Wyrwy pt. „Chłopcy z lasu” i wpłacił 500 funtów bezpośrednio na rachunek „Oficyny Poetów i Malarzy”, przez którą książka ta była drukowana. Konkurs natomiast jest organizowany przez Instytut Literacki. Łącznie Zarządu Głównego Koła A.K. w jakiegokolwiek formie ze sprawą organizowania tego Konkursu jest całkowicie bezpodstawne. Zarząd Główny Koła A.K. nie ma żadnego powiązania z organizowaniem ogłoszonego w *Kulturze* Konkursu.

Z poważaniem,

F. MISZCZAK

prezes

Koła b. Żołnierzy Armii Krajowej

Baltimore, Md., 26 grudnia 1973.

Drogi Panie Redaktorze,

Bardzo niechętnie zabieram głos w sprawie artykułów publikowanych przez pisarzy polskich na emigracji. Chciałabym jednak przesłać Panu kilka uwag na temat artykułu p. Zbigniewa Byrskiego o Polonii Amerykańskiej. Robię to ze względu na moją pewną znajomość tego tematu.

Pan Byrski pisze: „Tak zwany 'renesans polskości' i wzrost uczuć do kraju pochodzenia, reklamowany przez prasę reżymową i coraz liczniejszych przywódców polonijnych jako 'powrotna fala patriotyzmu' jest oczywiście nieprawdą”.

Oświadczenie „jest oczywiście nieprawdą” jest stwierdzeniem raczej subiektywnym i nie popartym ani faktami, ani też danymi statystycznymi. Na „renesans polskości” należy spojrzeć nie jako na przejaw socjologiczny, albo też związane z obecnym stanem PRL, ale jako na przejaw socjologiczny, na jedną z faz z przemian społecznych w Stanach Zjednoczonych.

Ruch etniczny w Stanach Zjednoczonych, zmiana filozofii *melting pot* na pluralistyczną nie jest po prostu „fermentem etnicznym”, jest renesansem etnicznym, wynikającym z potrzeby indywidualnego człowieka znalezienia własnego miejsca na świecie i własnej historyczno-kulturalnej przeszłości. Dotyczy to grup włoskiej, greckiej, irlandzkiej, meksykańskiej i wielu innych grup etnicznych, to jest połączonych wspólnotą pochodzenia, obyczajów i wartości.

Zwężenie „polskiego etnicznego renesansu” do sprawy lokalnej, do „biletu wizytowego”, który Polonia chce okazać Ameryce, jest — wydaje mi się — sprawą uproszczoną.

Mówienie i pisanie o Amerykanach polskiego pochodzenia jako o Polonii, która „coś chce zadokumentować, czymś się wykazać, jest taka czy też inna” jest również raczej powierzchowne.

Pisząc o tej grupie należy przede wszystkim uwzględnić różnice klasowe. *Middle Class* to nie są tylko — jak pisze pan Byrski — „ludzie, których dochód roczny wynosi między 11 a 30 tysięcy”. Wskaźnikiem klasy jest wypadkowa wykształcenia i zawodu. Robotnik zarabiający 30 tysięcy rocznie z podstawowym wykształceniem jedynie, będzie należał do *working class*, a profesor uniwersytetu zarabiający 10 tysięcy rocznie — do co najmniej *middle class*.

Poszukiwanie własnej tożsamości jest objawem charakterystycznym dla czasów w których żyjemy. Naukowe pisma amerykańskie dyskutują problemy tożsamości seksualnej, zawodowej i również etnicznej. Jeśli Amerykanie pochodzenia polskiego zaczynają mówić i myśleć o swojej tożsamości etnicznej to jest to wynik nie tylko „renesansu polskości”, ale i objaw dojrzałości grupy etnicznej, którą nie tylko fascynują tańce i *polish cooking*, ale i wewnętrzne ludzkie przemiany.

Cieszę się, że p. Byrski używa dyskutowanych przeze mnie terminów *ethnic identity* i „podwójna lojalność”, lojalność jednak nakazywałaby drobną wzmiankę, że sprawa *ethnic identity* została przeze mnie opisywana.

Proszę przyjąć najlepsze życzenia noworoczne dla całego domu Państwa. noworoczne dla całego domu Państwa.

Danuta MOSTWIN

Warszawa, 3 stycznia 1974.

Szanowny Panie Redaktorze,

W numerze 11/314 *Kultura* pomieściła parę informacji fałszywych, niepozbawionych przykrych insynuacji, krzywdzących zarówno członków polskiego Pen-Clubu jak i całe środowisko literackie.

Fakt zasadniczy. Nikt podpisów nie wycofywał z tej prostej przyczyny, że nie było żadnego „Listu Otwartego” do prezesa Międzynarodowego Pen-Clubu. Prawdą jest natomiast, że Pen-Club Międzynarodowy zwrócił się do wszystkich członków naszej organizacji z propozycją poparcia petycji w sprawie zwolnienia Amalrika, zaznaczając jako datę ostateczną akcesu pierwszy wrzesień. Z powodów technicznych i czasu wakacyjnego zebranie Zarządu Polskiego Pen-Clubu odbyło się dopiero szóstego września. Jednocześnie uchwalono i przesłano na ręce sekretarza Międzynarodowego Pen-Clubu oświadczenie o pełnej solidarności z każdą akcją humanitarną przez Międzynarodowy Pen-Club podjętą.

W połowie sierpnia wysłałem do Londynu listem lotniczym mój osobisty akces do petycji w obronie Amalrika. List przyszedł na czas, co tłumaczy, że nazwisko moje znalazło się w opublikowanej petycji Międzynarodowego Pen-Clubu. Na inne insynuacje nie odpowiadam.

Numer *Kultury* wpadł mi do rąk dopiero parę dni temu, proszę więc wybaczyć to spóźnione wyjaśnienie, ważne jednak ze względu na charakter samej sprawy jak i powagę pańskiego miesięcznika.

Z poważaniem,

Antoni SŁONIMSKI

Paryż, 11 lutego 1974.

Szanowny Panie Redaktorze!

Uprzejmie dziękuję za przysłanie mi kopii listu p. Miszczaka. List ten jest dla mnie niezrozumiały. Z uwagi na fakt, że nie wszyscy czytelnicy będą się orientowali o co chodzi wyjaśniam, iż suma 500 funtów przeznaczona na nagrody w w/w Konkursie jest pośrednim zwrotem kwoty wyasygnowanej przez Zarząd Główny A.K. w Londynie na wydanie książki „Chłopcy z lasu”. Wpłaconą sumę 500 funtów Zarząd A.K. odzyska z nadwyżką z 500 egzemplarzy tej książki, jakie otrzymał do sprzedaży. Dlatego też nie zwróciłem tej sumy bezpośrednio Zarządowi A.K. i przelałem ją na cele akowskie. W związku z postępowaniem Zarządu A.K. w Londynie w czasie wydawania „Chłopców z lasu” — o czym pisałem w broszurze opublikowanej w listopadzie 1972 roku — nie chciałem, żeby książka ta była obciążona pomocą finansową Zarządu A.K. Podczas długich perypetii, jakie towarzyszyły wydaniu tej książki, chodziło o to ażeby Zarząd A.K. wywiązał się

z zaciągniętych zobowiązań i z chwilą kiedy wreszcie był zmuszony to zrobić, przelewam jego wkład na inny cel — co wynika z treści komunikatu, którego jak się okazuje p. Miszczak nie zrozumiał. List p. Miszczaka świadczy, że „Na Zachodzie bez zmian”, na Wschodzie również — zwłaszcza jeśli chodzi o przekazanie historii autentycznej działalności Armii Krajowej i dlatego potrzebne są inicjatywy w rodzaju ogłoszonego Konkursu.

Łączę wyrazy prawdziwego szacunku i poważania,

T. WYRWA

DALSZY CIĄG WPŁAT NA FUNDUSZ « KULTURY »

Dr August Polaczy, Monachium, po raz piąty	F. 178,00
François Prause, Yaounde (Kamerun), po raz jedenasty	F. 100,00
Inż. L. W. Skonieczny, Toronto, Ont. (Kanada), po raz szósty	F. 125,00
Prof. Henryk Skolimowski, Ann Arbor, Mich. (USA), po raz trzeci	F. 120,00
Zygmunt Sowa, Detroit, Mich. (USA), po raz ósmy	F. 100,00
Wacław Sudyło, Irvington, N.J. (USA), po raz dziesiąty	F. 30,00
Bogdan Szarlak, Monachium, po raz siódmy	F. 8,50
T. K. (Polska)	F. 287,50
Dr Marian Turski, Belleville, Ont. (Kanada), po raz dwudziesty ósmy	F. 100,00
C. Waluk, Kitchener, Ont. (Kanada), po raz czwarty	F. 80,00
Józef Wittlin, Bronx, N.Y. (USA), zamiast kwiatów na grób przyjaciela Alfreda Bersteina	F. 75,00
Prof. Janusz Zawodny, Philadelphia, Pa. (USA), po raz ósmy	F. 70,00
Janusz Zembrzusi, Paryż, po raz dwudziesty pierwszy	F. 100,00
Wacław Zielonko, Fort Frances, Ont. (Kanada)	F. 15,00
T. Żurawski, Cambridge, Ont. (Kanada), po raz drugi	F. 25,00
Zbigniew Byrski, New York, na Fundusz Wydawniczy „Archiipelagu Gułag” Sołżenicyna	F. 150,00

DZIĘKUJEMY!

W bież. numerze nie ma comiesięcznego artykułu Juliusza Mieroszewskiego, gdyż na początku lutego żona jego, Jadwiga, przeszła niezmiernie ciężką operację; jakkolwiek wynik jest pomyślny rekonwalescencja będzie bardzo powolna (Red.).

Włoski korespondent „Kultury”: Gustaw HERLING-GRUDZIŃSKI
Napoli, via Crispi 69. — Telefon: 66 57 28.

Wydawca: INSTITUT LITTERAIRE
91, avenue de Poissy, Mesnil-le-Roi, 78600 - Maisons-Laffitte.

Le directeur de la publication: Jerzy Giedroyc.
Dépôt Légal: 1^{er} Trimestre 1974.

KULTURA

REDAKTOR: JERZY GIEDROYC
Adres Redakcji: 91, avenue de Poissy, Le Mesnil le Roi
par 78600 Maisons-Laffitte — Telefon: 962-19-04

PRZEDSTAWICIELSTWA

	Egz. poj.	Prenumerata	
		1/2-rocznia	roczna
AFRYKA POLUDNIOWA : Dr F. Kaluza, 214 Giovanetti Str., New Muckleneuk, Pretoria, 0002	R. 1,20	R. 7,50	R. 14,50
ARGENTYNA : Natalia Dabrowska, « Libreria Polaca », Serrano 2076, Buenos Aires, Suc. 25	F. 9,00	F. 50,00	F. 95,00
AUSTRALIA : Polish Book Depot VISTULA, Daking House, Rawson Place, Sydney NSW. 2000, tel. 212-2013	\$ A 1,50	\$ A. 9,00	\$ A. 17,50
AUSTRIA : Henryk Odlanicki-Poczobut, Wien I, Schönlaternergasse Nr 5/2. Stiege/Türe 14, Tel. 52-40-762	—	Sch.A. 250,00	Sch.A. 450,00
BELGIA : Janina Korab Brzozowska-Csaky, 19, Amédée Lynan, app. 57, 1030 Bruxelles, Nr konta pocztow. 7315-20, Tel. 18-69-23	F.B. 90,00	F. B. 500,00	F. B. 950,00
BRAZYLIA : Janina Pomian-Piatkowska, rue Guiara 143, villa Pompeia, 05025 Sao Paulo, Tel. 62-0523	\$ US 2,00	\$ US. 11,00	\$ US 20,00
FRANCJA : do nabycia w redakcji « KULTURY » i w księgarniach polskich w Paryżu	F. 9,00	F. 48,00	F 90,00
HOLANDIA : Mrs J. Minkiewicz, Wielingenlaan 6, Vlissingen, (01184) 4073, Postgiro 1379176	Flo. h. 6,00	Fl. h. 35,00	F. h. 65,00
KANADA : Krystyna Krakowska, 5109 Blvd de Maisonneuve O., Montreal, Que. H4A 1Z1, Tel. 486-2839; B. Krasuski, 8 High Park Blvd., Toronto, Ont. M6R 1M4; Very rev. Donald Malinowski, Coralberry Ave., Winnipeg, Man. R2V 2P2; Tel. 339-5577; Z. Micherdzinski, 285-287 Ottawa St.N., Hamilton, Ont. L8H 3Z8, Tel. 545-2115; Henryk Slowikowski, 14 Southern Drive, Ottawa, Ont. K1S 0P4; Polish Voice Publishing Co., 1089 Queen str. W., Toronto 145, Ont.; « ZWIĄZKOWIEC », 1475 Queen Str. W. Toronto 3, Ont., Tel. LE 1-2491	\$ Can. 2,00	\$ Can. 11,00	\$ Can. 20,00
NIEMCY : St. Mikiciuk, 8 München 45, Gablonzerstr 7/1 ..	DM. 6,00	DM 35,00	DM. 65,05
NORWEGIA : Br. Lubinski, Klommenstengt 8, Moss	F 9,00	F. 50,00	F. 95,00
SZWAJCARIA : Maria Wasung, 6, rue des Lilas, Case postale, 1211 Genève 7. Tel. 33 34 20, Nr konta pocztow. 12.14431 ..	F. 8,00	F. S. 40,00	F. S. 75,00
SZWECJA : Norbert Zaba, Kallskärsgatan 3/IV, 115 33 Stockholm., Tel. (08) 60 15 70	K. S. 9,00	K. S. 50,00	K. S. 95,00
U.S.A. : S. Dobczynski, Alma Shipping Co, 121 St. Marks Pl., New York N.Y. 10009; L. Dudarew-Ossetynski, 1603 No Fuller Ave., Hollywood, Cal. 90046; Maria E. Dobrowolska, 4419 N. Pershing Dr., Arlington, Va. 22203; Ada Dziewanowska, 41, Katherine Road, Watertown, Mass. 02172; T. Konopacki, 27437 Detroit Road, Cleveland, Ohio, 44145, Tel. 8714847; Ch. M. Kretowicz, 4254-34th St., San Diego, Cal. 92104, tel. 284-6271; V.B. Kwast, 376, Wallingford Terr., Union, N.J. 07083, Tel. MU 8-0346; M. Kosciuch, 12331 French Road, Detroit, Mich 48234; Polish Book Store, 7970 Summerdale Ave., Philadelphia, Pa, 19111; Edward Posyniak, 595 Fillmore Av., Buffalo N.Y. 14212; The Polish Book Importing Co., 410 Matchaponix Av., Jamesburg, N.J. 08831. POLONIA , Bookstore, 2921 Milwaukee Ave., Chicago, Ill. 60618. R.J. Sas-Babczynski , 15717 Woodruff Ave., Nr 44, Belflower, Cal. 90706, Tel. 867-1857; Jan Wojcik, 674 Farmington Ave., New Britain, Conn. 06053; Księgarnia Ludowa, Peoples Book Store, 5347 Chene Str., Detroit, Mich., 48211	\$ US 2,00	\$ US 11,00	\$ US 20,00
W. BRYTANIA : Orbis Books (London) Ltd., 66 Kenway Rd., London, S.W.5. ORD.	£ 0,75	£ 4,00	£ 7,75
WŁOCHY : Witold Zahorski, Roma, via Gallia 60 Int. 27., Tel. 75-67-241	L. It. 1200	L. It. 6000	L. It. 11000

W krajach niewymienionych prenumerata roczna F. 95; półroczna F. 50.
Przesyłka pojedynczego numeru: F. 0,80.

Należności wysyłane pocztą prosimy przekazywać na nasze na konto pocztowe:
INSTITUT LITTERAIRE, 91, avenue de Poissy, Le Mesnil le Roi,
par 78600 MAISONS-LAFFITTE — C.C.P. PARIS 18-228-56 (z Francji)
lub C.C.P. PARIS 18-228-38 (z zagranicy).

Nowości wydawnicze

TOM 239 — WITOLD GOMBROWICZ

VARIA

Ostatni X-ty TOM „DZIEŁ ZEBRANYCH”
zawiera całą przedwojenną twórczość K. Gombrowicza
wraz z dużą powieścią pt. **OPĘTANI**

Str. 544.

Cena F. 50,00.



TOM 240 — WŁODZIMIERZ ODOJEWSKI

ZASYPIE WSZYSTKO, ZAWIEJE...

Powieść
o losach polskich Kresów pod koniec
2-giej wojny światowej

Str. 484.

Cena F. 45,00.



TOM 241 — ZESZYTY HISTORYCZNE

ZESZYT DWUDZIESTY SIÓDMY

zawiera m.in. prace: W. Jędrzejewicz — *Sprawa „Wieczoru” (Józef Piłsudski a wojna japońsko-rosyjska 1904-1905)*; T. Żenczykowski — *Rozmowy Delegatura Rządu — PPR w 1943 roku w świetle faktów*; Jan M. Ciechanowski — *Notatki z rozmów z płk. dypl. J. Bokszczaninem i z płk. dypl. J. Rzepeckim*; Wiktor T. Drymmer — *Wspomnienia (Cz. I)*; **POLEMIKI i RECEZJE**.

Str. 240.

Cena F. 20 (dol. 5,00)



TOM 242 — BOHDAN MADEJ

PIĘKNE KALALIE ALBO DOJRZEWANIE MIŁOŚCI

Powieść młodego pisarza krajowego, złożona w PIW'ie w Warszawie w roku 1970, który zawartą z autorem umowę rozwiązał w roku 1971, aby ponownie przyjąć książkę do druku w roku 1972. Na skutek negatywnego stanowiska cenzury i czynników partyjnych skład gotowej już książki został zniszczony a Komisja Kontroli Partyjnej ukarała autora naganą z ostrzeżeniem: „za napisanie książki niezgodnej z partyjnym punktem widzenia, o wielkiej szkodliwości społecznej”. Powieść wydana bez wiedzy i zgody autora.

Str. 168.

Cena F. 24 (dol. 5,25)

Cena 9F